

S. POSNER

DROGI
SAMOPOMOCY SPOŁECZNEJ

SZKICE I WRAŻENIA

In certis unitas
In dubiis libertas
In omnibus caritas.

*Dochód ze sprzedaży przeznaczony na rzecz
Muzeum przy Towarzystwie drobnego Kredytu
w Płońsku.*



PŁOCK.
Echa Płockie i Łomżyńskie.

WARSZAWA.
Jan Fiszer.

1903.



Доволено Цензурою.
Варшава, 17 Сентября 1902 г.

77711

~~~~~  
Druk K. Miecznikowskiego w Płocku.

DROGI SAMOPOMOCY.

D-151/27 184062



## TEGOŻ AUTORA

wydane oddzielnie:

**Prawo a Życie I.** Praca nagrodzona na konkursie „Gazety Sądowej“ (Warszawa Wende 1899).

**Nauki Prawne w Poradniku dla Samouków** tom III (Warszawa 1901).

**W sprawie wydawnictwa dzieł zbiorowych R. Hubego, A. Okolskiego i St. Łaguny** (Warszawa Wende 1902).

**Wł. Andrychiewicz.** Wspomnienie pozgonne (Warszawa Fiszer 1902).

### Ruch Etyczny.

1. *Zarys rozwoju Towarzystw kultury etycznej* (1900).
2. *Szlakiem Odrodzenia Moralnego* (w przygotowaniu).
3. *Nad Otchłanią* (Warszawa Księgarnia Naukowa) 1903.

## DO CZYTELNIKA.

Drobne szkice niniejsze z małemi wyjątkami drukowane były w ostatnich kilku latach w „Prawdzie“ (1898, 1900) w „Głosie“ (1897, 1902), „Kurjerze Codziennym“ (1898, 1899), „Gazecie Polskiej“ (1896), „Zorzy“ (1902), przede wszystkim zaś i w najistotniejszej części w *Echach Płockich i Łomżyńskich*, których współpracownikiem jestem od chwili założenia pisma. Wychodzą obecnie gdzie indziej poprawione i uzupełnione. Może i pod tą zmienioną zewnątrz postacią znajdą czytelnika i uznanie. Rozwinięcie naszkicowanych tutaj myśli i rzeczy znajdzie czytelnik w dwu książkach, które



wyjda prawdopodobnie w roku przyszłym: w pracy „Szlakiem Odrodzenia Moralnego“ (w wydawnictwie Ruch etyczny II) oraz w zbiorze szkiców prawnych p. t. „W służbie Temidy“. Luźnie tylko wiąże się z pozostałą treścią rozprawka „W ojczyźnie Boerów“ — nietylko jej wartość, ile sam jej przedmiot, ile wiekuiste symbole, które dedukcja logiczna i łzawy odruch uczucia z przedmiotu tego wyprowadzić się zdają, pozwoliły autorowi na dygresję taką.

Ogłaszając zbiorek niniejszy, spełniam poniekąd oddawna żywione pragnienie. Żyjemy, jak wiadomo, w wieku powszechnych, wielolicznych i żywiołowych centralizacji. Ze wszystkich stron zbiegają się ku wielkim miastom, ku stolicom, ku potężnym magnesom drobne i grubsze pyłki usiłowań duchowych. Publicyści i literaci, oddając swoją pracę na usługi stołecznego czasopiśmiennictwa, powodują się świadomie czy nieświadomie pobudkami zdrowej, rzecz

pewna, ambicji; zawszeć wywierać mogą wpływ poważny, szerokim łukiem opasający cały nasz krajowy świat czytelniczy. Pismo wydawane w Warszawie jest pismem ogólnym, nie uwzględniającym specjalnie interesów poszczególnych dzielnic kraju: zarówno na Mazowszu jak i w Krakowskim, na Kujawach jak i na Podlasiu — czytany będzie, a więc czytany będzie każdy literacki artykuł w czasopiśmie tym zamieszczony. Im wyżej wisi latarnia dana przestrzeń oświetlać mająca — tym większym będzie koło, które jej promień zakresli. W ten sposób jednak zapominamy o prowincji. Do dzienników prowincjonalnych nie pisujemy, co najwyżej — w pismach warszawskich co czas pewien skarżymy się na jałowość ich treści i dajemy nauki redaktorom, jak właściwie zagony swoje uprawiać powinni. „Prowincja“ nie drukuje zupełnie książek, tak iż w wykazach bibliograficznych Radom albo Kielce albo



Łomża, wymienione jako „miejsce druku“, należą do białych kruków bibliografji. Zaś o prowincji zapominać nie godzi się — nam literatom oczywiście. Inną jest dzisiaj prowincja niż przed laty. Budzi się. Krajobraz wczorajszej sielanki przeobraża się. Na tle dawnego pejzażu leśnego, niby olbrzymie muchomory, wyrastają kominy fabryczne, a za „kominem fabrycznym“ — przychodzą inne objawy nowocześnieści, rodzą się nowe kwestje i antagonizmy ogólne, rodzą się nowe potrzeby i pragnienia, z chaosu wynurzają się nowe cele, domagające się usilnej, wytrwałej, umiejętnej a pełnej zamiłowania rzetelnej pracy. Gdzież tu miejsce na absenteizm?

W tej myśli uważałem sobie zawsze za punkt honoru literackiego w miarę sił i możliwości nie uchylać się od współdziałania na tym polu. „W miarę sił i możliwości“ i tym tylko kryterjum mierzyć należy osiągnięty rezultat a jego niepokażność,

może zupełną znikomością zapomocą tego kryterjum wytlomaczyć. *In magnis—voluisse, satis.*

I dlatego też — zbiorek niniejszy obejmuje nietylko artykuły ogłoszone w „Echach Płockich i Łomżyńskich“, ale wychodzi z pod tłoczni drukarskich płockich. Może to zarozumiałość, ale wydaje mi się, iż spełniam obywatelski obowiązek. Zapewne, że innym, dumniejszym, uroczystszy światłem goreją wielkie a innym, skromniejszym małe, po bocznych ścianach potężnej świątyni naszych usiłowań społecznych rozrzucone ottarze. Jakże ciemno jednak byłoby w tej potężnej świątyni, gdyby światło tylko i jedynie u wielkiego ottarza palić się miało!

Panu A. Grabowskiemu, redaktorowi „Ech“, który chciał zastąpić mnie przy czytaniu korekty, i tutaj najserdeczniejsze składam podziękowanie.

Kuchary pod Płońskiem  
19 Czerwca 1902 r.



## T R E Ś C.

|                                                                     | Str. |
|---------------------------------------------------------------------|------|
| <i>Do czytelnika</i> . . . . .                                      | V    |
| I. <i>Franciszek Jarczyński</i> (wspomnienie<br>pozgonne) . . . . . | 1    |
| II. <i>Drogi samopomocy</i> (Ze stosunków wiej-<br>skich) . . . . . | 7    |
| 1. Wychodźstwo ludu wiejskiego . . . . .                            | 9    |
| 2. Obieźysasi w oświeceniu dziejów<br>naszych . . . . .             | 18   |
| 3. „Sposób“ na obieźysasów . . . . .                                | 27   |
| 4. Sprawy wychodźcze w Niemczech . . . . .                          | 37   |
| 5. Spółki melioracyjne . . . . .                                    | 44   |
| 6. Walka z wydumą piaszczystą . . . . .                             | 50   |
| 7. Stare, bardzo stare sprawy . . . . .                             | 58   |
| 8. Walka z pośrednictwem w handlu . . . . .                         | 61   |
| 9. Biura ludowe w Niemczech . . . . .                               | 88   |
| 10. O pełnomocnikach gminnych . . . . .                             | 93   |
| 11. Kogo wybierać na wójta? . . . . .                               | 105  |
| 12. Kapłani wstrzeźliwości na wsi . . . . .                         | 113  |
| 13. Guzikarze w powiecie płońskim . . . . .                         | 123  |
| III. <i>Nforyzmy</i> . . . . .                                      | 131  |
| 1. Nowocześni bohaterowie . . . . .                                 | 133  |
| 2. Nasza praca zbiorowa . . . . .                                   | 135  |



|                                                                                   | Str. |
|-----------------------------------------------------------------------------------|------|
| IV. <i>Uwagi nad kwestją oświaty</i> . . . .                                      | 139  |
| 1. <i>Najpilniejsza potrzeba</i> . . . .                                          | 141  |
| 2. <i>Co lud czyta i dla czego?</i> . . . .                                       | 152  |
| V. <i>W sprawie kolonji letnich dla Płocka i Łomży (1898)</i> . . . . .           | 159  |
| VI. <i>W Kinematografie. Mozajka działalności społecznej (Rok 1897)</i> . . . . . | 189  |
| VII. <i>Jaki pożytek z milionów?</i> . . . . .                                    | 289  |
| VIII. <i>W ojczyźnie Boerów</i> . . . . .                                         | 301  |

*Przebieg*

FRANCISZEK TARCZYŃSKI.

(Wspomnienie pozgonne).



Dnia 30 czerwca 1900 r. zmarł skromny pracownik, z zawodu nauczyciel kaligrafji i rysunków w gimnazjum żeńskim w Płocku, z zamiłowania archeolog. Kiedy po nawałnicach, które przeszły nad jego młodością i wczesnie posrebrzyły jego włos, ale zahartowały charakter, osiadł na miełźnie mazowieckiej, postanowił sobie złożyć dowody miłości ziemi, która mu życie dała i zaczął zbierać starożytności. Na kilka zaledwie miesięcy przed śmiercią oprowadzał nas po swoim „muzeum“, na poddaszu domu gdzie każdy cal ściany i podłogi wyzyskany był na nagromadzenie obrazów, książek, ubiorów, numizmatów i gdzie nie było tylko miejsca dla wygodnego łóżka, stołu i krzeseł. W tym świecie żył starzec, nad wiek swój rzeźki, wesoły, pełen nadziei i projektów, rad każdemu kto chciał wraz z nim oddawać się medytacjom historycz-



nym. Tylko wielka miłość, jakieś wcale nie współczesne zaparcie się siebie, jakieś bohaterstwo poparte ascetyzmem bez granic mogło stworzyć to „płockie muzeum archeologiczne“, którego mogłoby pozazdrościć konradowemu niejedno miasto pruskie, chęłpiące się taką instytucją, z tą drobną różnicą, że gdy tam stworzyła ją wola jednostek i organy władzy a samorządu miejskiego, tutaj powstało ono mocą jednego człowieka, bakałarza i rządcy domu...

Spis inwentarza wykazał, że ogólna ilość „sztuk“ nagromadzonych przekracza 5,000. „Teraz dopiero—czytamy w „Echach“—po bliższym rozpatrzeniu widocznym się staje bogactwo, jakie w puściźnie po sobie zostawia Płocczanin, Tarczyński“.

Rzeczą inteligencji miejscowej będzie prowadzić w dalszym ciągu dzieło tak pięknie zapoczątkowane. Przekazując swoje zbiory umiłowemu księdzu Kowalewskiemu, śnił zapewne, że urośnie z nich kiedyś muzeum archeologiczne i etnograficzne.

Byłoby bardzo bolesnym i wcalebyśmy się z tą myślą pogodzić nie umieli, iżby ten rozumny i szlachetny cel ziścić się nie miał. Najtrudniejszy początek jest już przełamany. To, co jest, wypełnić może zbiory muzealne na czas dość długi. Ileż rozko-

szy, ileż nauki wypłynąć może z oglądania, z badania tych objawów dawnej sztuki, dawnej kultury dla mas szerokich, dla młodzieży. Jakie obrazy wysnuwać z nich może fantazja, skądinąd przez naukę, przez tragedję historyczną nietknięta? Pomyślmy tylko! Oby ręce, w które złożono to wielkie bezgranicznie dzieło poświęcenia—okazały się z czasem rękami miłującej matki, a nie macochy!

Od wielu lat Tarczyński zbierał materiały do mapy archeologicznej gub. Płockiej i w ostatnich kilku latach zaczął dzielić się rezultatami swoich najczęściej *osobiście* (w literalnym tego słowa znaczeniu) dokonywanych poszukiwań. Miała z tych notatek powstać książka, obszerna i ważna, powszechnego a zasłużonego poparcia warta. Losy niedobre wytrąciły pióro z zastygłej dłoni. Na tydzień przed śmiercią rozpoczął poszukiwania archeologiczne w Romotowie w pow. sierpskim i tu skończył w znoju pędzone, ale z okiem w różowe światy wpatrzonym, pełne chwały i naśladowania godne dni swoje. „Białą szatą owiany“ przeszedł przez życie. Niechaj żyje w pamięci potomnych!





# DROGI SAMOPOMOCY

(Ze stosunków wiejskich).



I.

## Wychodźtwo ludu wiejskiego.

Żniwa już dawno powinny były być skończone, siewów od miesiąca niemal wszędzie już należało dokonać, a tymczasem w końcu września zbierano owsy, okopowizna w setkach folwarków zaledwie ruszona, z siewem nawet do Wszystkich Świętych nie uporano się. Gdzie przyjedziesz: do miasteczka w dzień targowy, do powiatówki, aby podatki popłacić, do sąsiada—wszędzie słyszeć jedno: brak rąk do pracy. Po pismach t. z. „broniących interesów ziemiańskich”—wypisano już całą bibliotekę elegji, usłużny reporter pooblewał potokami żółci zjadliwej t. z. głupotę chłopa, jego „owcze pędy emigracyjne“, naganiaczy z prowincyi nadbałtyckich, Niemca, który ciągnie Maćka



za kordon i t. d. i t. d. Mózg nasz łatwo odbierający wrażenia, poddający się łatwo suggestji—zaledwie obronić się może tym stale, miarowo uderzającym weń argument: niema robotnika! Zapadł się w ziemię, rozwiął się, niby mgła poranna w powietrzu. „Dwa lata temu—płacz szlachcica—dawałem mu złotówkę i pięć groszy, lżyłem, niekiedy częstowało się i szturchańcem—było go w bród. Dziś daję pięćdziesiąt groszy, dwa złote, nawet dwa i groszy dziesięć, obchodzę się jak z jajem—szukaj go z latarnią w dzień słoneczny“. Głos ten nie jest bynajmniej odosobniony. To nie tylko pan Antoni z pod Bieżunia i pan Bolesław z pod Pijawni, ale w Szczecińskim i Kutnowskim, w Olkuskim i Konińskim, pod wielkim miastem zarówno, jak i w promieniu osad „bezdymnych“ nieposiadających ani fabryk, ani przemysłu, — wszędzie na całej przestrzeni Królestwa — ta sama płynie pieśń Jeremjaszowa.

Rozumie się, że nie koniec na pieśni. Jeżeli kto chory, idzie do doktora, jeżeli sąd doskwiera—szuka rady u palestranta. W biedzie społecznej o radę jaknajłatwiej. U nas każdy zna się na Sienkiewiczu i każdy znachorem społecznym na świat przyszedł. Rada jest: „robotnik wiejski idzie

za morze, do Niemców „na Hanowry“, —nie pozwolić, zamknąć granicę!

Cóż znaczy prośba o zamknięcie granicy? Ci, co z żądaniem podobnem występowali, nie zdawali sobie bezsprzecznie sprawy z natury i charakteru swego żądania. Pozostawmy na uboczu względy moralne, żądanie takie wypływa z egoizmu, z chciwości,—więc próżno tam coś o moralnych względach mówić! Ale pozostają inne względy—prawne przedewszystkiem. Mości panowie zapomnieliście, że kodeksy współczesne—bez względu na to, pod jakim stopniem szerokości geograficznej na świat przyszły—nie znają niewolnictwa i nie pozwalają ograniczać wolności ludzkiej. Zamyka się granicę przed dżumą, przed cholera, przed wrogiem, ale przed człowiekiem, który nic gorszego nie popełnił, jak tylko to, że chce żyć i pracować—proszę bardzo!

A powtóre kodeksy te znają jako kardynalną zasadę—równość wszystkich przed prawem; nie masz w sądzie ani szlachcica, ani chłopca, ni żyda—jest tylko powód, pozwany, świadek, oskarżony. Z zasadniczych tedy względów każde takie zdanie spotkać się może z kategoryczną odmową. I tylko w drodze specjalnych administracyjnych, czasowo tylko i lokalnie obowiązujących,



zujących przepisów—można w niezmiernie małej części oczekiwać spełnienia nadziei swoich. A jak ponure światło na układ stosunków wewnętrznych rzucać musi taka procedura,—o tym nawet i pisać nie trzeba.

Przypuśćmy jednak, że istotnie granicę chwilowo na mocy przepisu zamknięto. Każdy rozsądny człowiek zrozumie, że sytuacja nie zmieniła się ani trochę. Przede wszystkim, widziałeś może, kochany czytelniku, jak rzeki na wiosnę z brzegów występują, jak mosty żelazne się zapadają, jak najpotężniejsze groble giną w otchłani: woda umie najdrobniejsze, dla oka ludzkiego niedostępne szczeliny odnaleźć, przez nie popłynąć, a raz przedostawszy się, prędzej czy później, cały w grobli nagromadzony ogrom pracy ludzkiej zniesie stanowczo i bezwzględnie. I tak zupełnie ma się z każdym ruchem społecznym. I dla tego żaden prawodawca nie wyda przepisu, o którym wie a przynajmniej wiedzieć powinien, że rozum ludzki tysiączne drogi odnajdzie, aby najmisterniejszą tkankę prawną rozpruć, w niwecz obrócić i „na swoim postawić“. To raz. Ale czyż tylko groźnym jest dla nas, rolników — wychództwo za kordon? A emigracja wewnętrzna, a wielkie miasta, a środowiska fabryczne, owe wielkie magnesy, ściągające zewsząd i in-

teligencję, i szlachtę i chłopa. W takim razie następny etap pożądlivosti wskaże z konsekwencją logiczną jako drugi cel: zamknięcie rogatek Warszawy, Łodzi, Sosnowca, Będzina, Radomia, Kielc i t. d. i t. d. To dwa.

Widzimy, że to tylko chochlik złośliwy podpowiedział projektodawcom żarcik okolicznościowego zamknięcia granicy. Ale może i nie chochlik. Ludzie wogóle mało myślą i niezmiernie mało wiedzą. Bo gdyby zechcieli zastanowić się nad istotą tego ruchu społecznego, a zapytali się ekonomistów i socjologów,—toby dowiedzieli się przede wszystkim, że ten ruch emigracyjny nie jest wcale osobiliwością, że zaczął się on stosunkowo dawno, że rozpalil się nasamprzód w Anglii (Rural Exodus), a następnie dopiero przeszedł na kontynent, objął w swe posiadanie całe Niemcy, gdzie dał początek o wiele gorszym, niż u nas dotychczas stosunkom, gdzie stworzył „Obieźsastwo“ i zaostrzył antagonizmy społeczne, a z Niemiec dopiero z biegiem czasu przedostał się do nas. A po wtóre dowiedziećby się mogli, że, złorzecząc i plwając, sobie nie ulżą. Często słyszymy i czytamy w korespondencjach „ziemiańskich“, że to tylko lenistwo i żądza łatwego zarobku pcha wieśniaka naszego w objęcia emigra-



cji. Proszę. To znaczy, że „na Hano-  
wrach“ pracować nie trzeba? Czy nie wie-  
cie, że chłop nasz, żywiąc się ziemniakami,  
pracuje za dwóch, trzech, aby tylko odło-  
żyć, że ponieważ nim wśród Niemców na  
obieźsastwie, nie dając ani uczciwego schro-  
nienia, ani łóżka, zmuszając niemal kobie-  
ty i mężczyzn do wspólnego pod jednym  
dachem noclegu\*).

A Brazylja? Jużście zapomnieli opisów  
Dygasińskiego, Hempla, ks. Chelmskiego?  
A czy robotnik nasz z rypińskiego, z sierp-  
skiego, emigrując czasowo do Stanów Zje-  
dnoczonych, nie musi ciężiej pracować, niż  
w domu, jeżeli chce tę samą płacę otrzymać,  
którą pobiera robotnik amerykański lepiej  
i to w ciągu kilku pokoleń żywiony, bar-  
dziej sprawny? Więc to nie żądza łatwe-  
go zarobku pcha naszego Maćka za Ocean,  
tylko inne jeszcze, oczywiście, głębsze przy-  
czyny. I pod tym względem znajdziemy

---

\*) Posiadam pod tym względem nieco danych  
autentycznych; zawdzięczam je obserwacji przyja-  
ciela, który pracował przez lat kilka w charakterze  
lekarza w pewnej wielkiej cukrowni w ks. Meklen-  
burskim i obserwował wychodźców polskich na plan-  
tacjach buraków. Ogłoszę je też kiedyś, — acz-  
kolwiek trzeba przyznać, że stosunki zmieniły się  
w ostatnich latach na lepsze.

informacje odpowiednie w nauce współcze-  
snej. Oto—u spodu, w podłożu wszystkich  
ruchów społecznych, nurtujących nasze cza-  
sy, leży dążenie coraz bardziej świadome  
mas ludowych do większej niezależności  
i samodzielności, dążenie do zajęcia wyż-  
szego społecznego stanowiska, chęć wzbu-  
dzenia szacunku dla osobistości własnej.  
Ideały godności ludzkiej, panujące na Za-  
chodzie od czasów Odrodzenia, zapuściły  
głęboko korzenie w sferach inteligentnych  
grup ludności i stały się tam stałym in-  
wentarzem, dziedzictwem, które przechodzi  
od jednego pokolenia do drugiego. Dziś  
te ideały, poczucie tych praw przekroczyło  
linję graniczną jednej tylko sfery i prze-  
dostaje się do innych, obejmuje coraz to  
szersze kręgi, entuzjazmując masy ludowe.  
Takie oto dążenie wyludnia powoli wieś,  
eliminuje wszystkie energiczniejsze i lepsze  
pierzwiastki, pozostawiając nieudolne tylko  
babę, dzieci, starców i kaleki. Zamknięci  
w pewnych przestrzennych granicach, pę-  
dzą rolnicy wiejscy możliwie zależny ro-  
dzaj życia; cały ich czas i cała siła do  
pracy ich rodzin — znajduje się w służbie  
obcej. Jeżeli tu nawet, w organizacji pra-  
cy na wsi, jest pewna drabina dostojenstw  
— od gęsiarza do świnopasa, od posyłki do  
parobka, od włodarza do ekonoma—to na



tym ostatnim punkcie kończy się ta drabina i koło się zamyka. Zrzadka i to tylko dzięki szczęśliwym „konjunkturom“ zdarza się możliwość zaoszczędzenia pewnej sumy pieniędzy i zakupu własnego kawałka ziemi, przydzierżawienia sąsiedniego działka, zdobycia po wieloletniej piekielnej pracy — niezależności.

I dlatego też sprawy kolonizacyjne tak pierwszorzędą odgrywają dziś rolę wszędzie: na Zachodzie i u nas na skutek działalności coraz żywszej—Banku włościańskiego. Ale ludzie, przede wszystkim zainteresowani, mało o tym myślą, dla tego najpewniej, że to jest tak proste i tak zupełnie jasne. Zamiast budowania własną pracą i własną „samopomocą“ systemu środków, któreby u korzenia samego prądu wychodziły podcięły, wolimy oddawać się próżnym i pustym żalom i „zapoczątkowywać działalność prawodawczą“. Widać, że są jeszcze ludzie na świecie, którzy spodziewają się, że tłukąc wodę w miedzianym młynie, zbudują coś stałego...

Jest to dla nas najzupełniej pewne, że tylko działalność ludzka, w danym razie działalność obywatelska, która z tych momentów psychicznej i moralnej natury wyjdzie, jako z ogniska fizycznego, i wzdłuż promieni, ognisko to tworzących, pójdzie,

że tylko taka działalność nasza doprowadzić może do rezultatu pozytywnego. Nie kręci się biczem z piasku, ani buduje stodoły na jeziorze. Tylko przekonanie, że działalność społeczna, jak wszelka moralność, zbudowana być może na poświęceniu i ofiarności obywatelskiej, stworzy nam nową, duchem tegoczesnej cywilizacji owianą organizację pracy. *In hoc signo vinces!*

Pod tym znakiem zwyciężymy.





## II.

### Obieżysasi

#### *w oświetleńiu dziejów naszych.*

Jak co wiosna, od lat kilku i w obecnej porze mówimy na wsi znowu o obieżysas-twie. Pełno w „Echach“ pod tym wzglę-dem uwag krytycznych i wiadomości bie-żących. Przed dwoma z górą laty pisałem na tym miejscu w tej kwestji obszernie i wyłożyłem tam teorię tych wprost z przy-rodzoną koniecznością w danych warun-kach czasu i przestrzeni ujawniających się emigracji ludu roboczego na wsi. Przede-wszystkim zaś zwrócić starałem się uwagę czytelników na bezowocność wszelkich usi-łowań w kierunku i pod kątem przymusu prawnego zapoczątkowanych. Opieka ustaw karnych nie przyda się na nic pod wzglę-dem skutków praktycznych, pomijając już to, że takie odwoływanie się do opieki or-dynacji policyjnych jest w wysokim stopniu

niemoralne i pod względem kulturalno-etycznym da w przyszłości skutki opłaka-ne. Mimo to rozwiązanie tragicznego za-gadnienia za pomocą interwencji państwa i prawodawstwa karnego wydaje się niektó-rym umysłom tak prostym i oczywistym, że wciąż pomimo opozycji nader szerokich kół obywatelskich sięgają po tę miksturkę ekonomiczno-polityczną. Mielśmy przykład oczywisty w jednym i drugim kierunku we wniosku T-stwa rolniczego w Łomży i we wniosku przeciwnym rolników płočkih.— Działo się to przed kilku zaledwie miesią-cami. Sprawa jest przeto zupełnie aktual-na. I pozostanie taką. Za to nam ręczyć mogą i bezwład umysłu ludzkiego i natu-ralny egoizm człowieka.

Wobec tego przypomnę na tym miejscu analogiczne sprawy z odległej przeszłości naszej. Czytelnik, nieprzekonany dowodami o jałowości policyjnie rozumianej samoobro-ny, powinien z tych dokumentów history-cznych wynieść jak najgłębsze przekonanie, że w takich wypadkach kodyfikowanie prze-pisów prawnych jest równoznaczne pisaniu liter na wodzie. \*)

\*) Por. *Bobrzyński* w *Roczniku Akademji Umie-jętności* (Kraków 1892) str. 153. Ob. również *Acce-sorya* statut y Konstytucye z Czaradzkiego, Ładow-skiego y Suplementu J. O. Xcia JMCi Żaluckiego





„Olbrzymia Rzeczpospolita nie była wcale jednolitą pod względem społecznym.— Część zachodnia w dorzeczu Warty i Wisły, gęściej zaludniona, rozwinęła się szybciej pod względem ekonomicznym. Mając do rozporządzenia względnie wygodne drogi komunikacyjne, zapewniony rynek zbytu, szlachta tych ziem miała wyraźny interes w prowadzeniu gospodarki folwarcznej, opartej na stałej, zorganizowanej pracy na roli. Chcąc zapewnić sobie *stałą pracę*—przytym pracę możliwie *tanią*, zrozumiała rychło, że zdobędzie ją najłatwiej na drodze zaprowadzenia i utrwalenia poddaństwa i robocizny. To też, wobec wzrostu przywilejów szlacheckich, udało się jej zabiegi swoje uwieńczyć powodzeniem, gdyby nie wschodnia ściana Rz-plitej. We wschodnich dzielnicach panowały stosunki bardziej odmiennie. Przestrzenie pod uprawę nadające się niezmiernie, ludność rzadka, dróg komunikacyjnych brak zupełny.—O gospodarstwie folwarcznym niema tam mowy zupełnie. Właściciel ziemi czuje się szczęśliwym, jeżeli przez zapewnienie swobód udaje mu się wogóle zgromadzić potrzebną dla za-

Biskupa Krakowskiego w pospolitości i t. d. przez JMCi Pana Michała *Słońskiego* zebrane roku od wcielenia przedwiecznej Prawdy 1760; str. 159—161 oraz 197—198.

łożenia osady ludność.—Wystarczają mu zgoła czynsze osadników; nie sięgał po ich swobodę; wiedział doskonale, że uznaniem tej wolności istnieć wogóle może ekonomicznie. Nie próbował tedy bynajmniej nakładać kajdan prawnych. Z tego przeciwstawienia Zachodu i Wschodu Rz-plitej jeden przedewszystkim rodził się skutek: masy ludu pracującego ruszyły z Zachodu na Wschód. Konstytucje sejmowe zachowały liczne ślady pośrednie tych wielkich wędrówek. Pełno tam skarg wzajemnych szlachty—jednej połowy Rz-plitej na drugą, jednych województw na drugie. Próbowano rozstrzygać te pretensje, łagodzić je, do ustępstw skłaniać,—napróżno. Poczynając od Jana Olbrachta (1496) przez cały wiek XVI, przez połowę XVII, aż do samych buntów kozackich, ciągnie się ta nieprzerwana skarg z jednej i migracji z drugiej strony. Na Wschodzie, jak już powiedziano, stan ekonomiczny i prawny ludności wiejskiej był względnie pomyślny, ciężary poddańcze małe: tego wymagał bowiem interes pana, interes kolonizacji. Taki stan rzeczy musiał się odbić i na stosunkach panujących w prowincjach zachodnich, musiał się odbić przedewszystkim w ten sposób, że szlachta nie mogła zwiększać ciężarów poddańczych inaczej, jak tyl-



ko zwolna i umiarkowanie, pierwszym bowiem z jej najistotniejszego interesu gospodarczego wynikającym obowiązkiem było: ludność wiejską od wychodźstwa powstrzymać. Trzeba było pozory wolności przy najmniej zachować. Albowiem kręcono na tę ludność bicz z ustaw karnych—bicz ten jednak nie dosięgał zbiegów; za krótki on był na ówczesne od morza do morza sięgające granice Rz-plitej.“

W tym zgiełku zupełnym, z pośród bezimiennej masy ludu kmiecego konstytucje sejmowe wyodrębniają, różniczkują jeden specjalny odłam, na który niniejsze kartki zwrócić uwagę zamierzają.

Odłam ten nosi nazwę *ludzi łożnych* (luźnych), lub *hultajów*. Przeciwno tej grupie kmieci skierowała szlachta całą rzeszę represalji karnych. W końcu XV w. ustalił się zwyczaj, że ludność wieśniacza w czasie żniw wychodziła na zarobek z Polski na Śląsk i do Prus, przez co, jak czytać można w ustawach roku 1496, w czasie żniw „nie można dostać łatwo w ziemiach polskich robotnika i sług“. Konstytucja tedy tegoż roku poleciła starostom, dzierżawcom i w ogóle szlachcie, aby wychodźców przytrzymywali i do robót swych polnych używali. Zajmują się temi „hultajami“ konstytucje z lat 1503, 1523, 1532, 1563 i 1588

bezustannie powtarzają skargi, wciąż podkreślając obowiązek władz w kierunku chwywania zbiegów. Dwie ostatnie konstytucje nie zadawałają się przypomnieniem tego obowiązku, grożą bowiem karą 100 grzywien, na niedbałe urzędy miejskie i starostów spaść mającą. Bardzo ciekawą jest pod tym względem konstytucja z r. 1593, najobszerniej rzecz tę rozpatrująca. Przytaczamy ją też w całości, jako nader ważny dokument.

„Iż się swawola wielka w ludziach *plebei generis utriusque sexus* bardzo rozbieżała, tak iż kmieci z ról, zagrodnicy z zagród, synowie kmiecy y córki idą od Rodziców swoich, słudzy od Panów umyślnie na hultajstwo uciekają, a rządzić się dorocznie nie chcą, tylko na dzień się albo na tydzień najmując: czym ludzie ubogie bardzo niszczą y do wielkiego niedostatku przywodzą, przez żniwa myta nieznosne iako na cały rok wyrządając. Czemu zabiegając aby za tym tak Nasze (królewskie), iako y Poddanych naszych majątności do zniszczenia y upadku nie przyszły, postanawiamy y rozkazujemy, aby tylko na wszelakie zbiegi y hultajstwo, męczyzny y białogłowy, którzyby z ról, z zagród, od Panów swych, albo dzieci od Rodziców swych odeszli a dorocznie się nie rządzili Starostom,



urzędom Miast y Miasteczek, tak Naszych iako y Poddanych Naszych, Duchownych y Świeckich, a na wsiach Panom albo Dzierżawcom swych wsi, wolno było każdego poimać, poimawszy okować, y do roboty przymusić tak długo, aż się Pan iego o nim dowie, y onego się upomni: którego zarazem gdy pokaże że iego własny będzie, powinien dawać *irrecuse*, wzięwszy za pracę y oną pilność *detentionis* dwanaście groszy. A mianowicie Urzędom wszystkim Starościm, y Dzierżawcom Naszym, tak Urzędom Miast y Miasteczek Naszych, iako y Poddanych Naszych Duchownych y Świeckich rozkazujemy: aby od przyszłego święta Małgorzaty S. to wszystko hultajstwo, którzyby nie służyli dorocznie mężczyzny y białogłowy od miast ekskludowali y potem przyjmować y przechowywać zakazali. A gdzieby znowu się wrócili, one imali, gdyż w Mieście o tym dosyć bacznie Urzędy wiedzieć mogą. Y kiedy ten porządek uczynią, aby pod winą Gospodarz każdy był, zaraz powinien dać znać Urzędowi, gdy kto takowy do niego w dom przyidzie: a Miasta mają się kontentować dla potrzeb swych komornikami, którzyby przy Mieście dobrze znaiomi od roku mieszkali. Wszakże i z takowych, gdzieby kto swego poznał, wydać ie powinni. A ktoby z takowych mia-

nowanych Urzędów, albo Panów takie hultajstwo w iurisdycji albo maiętności swej cierpiał, a podług tej konstytucji przeciw nim się nie zachował, pozwany pro poena duplici quatuor decem marcarum.....“

Konstytucja ta (o hultaiach czyli łóżnych ludziach) początkowo (1593 r.) wydana na życzenie województw poznańskiego i kaliskiego konstytucją 1601 r. rozszerzona została na województwa: łęczyckie, sieradzkie, płockie, mazowieckie i bełskie; roku 1620 na kujawskie, r. 1638 na sandomierskie, r. 1683—na Litwę.

W roku 1632-im na sejmiku wielkopolskim szlachta w uchwale swej stwierdziła uroczyscie nieużyteczność całkowitej jej akcji przeciwko wolności pobytu ludności kmiecej przez półtora blisko stuleci ujawnianej. W *laudum* tem spowiada się szlachta—przywołując „wielką desolację i spustoszenie wsi, która przez to się dzieje, że poddani panów swoich dziedzicznych odbiegają, a od wsi do wsi, od miasta do miasta się tułają, a rządzić się dorocznie nie chcą, albo na tydzień tylko się najmują, drudzy na rok, jedni chałupy i ogrody u panów sobie nająwszy i tam rok i czasem mniej przemieszkawszy, do innych wsi pomykają“.

Chodziło nam tylko o ten drobny „hultajski“ wykrawek przeszłości, o wizję po-



staci, która dziś, po stuleciach, w obieżysasa objawia się nam, współczesnym, kształtach. Obojętni są nam tedy drogi ostateczne, któremi kroczył proces przytwierdzania kmieci do roli, proces poddańczy. Nasz cel nie jest naukowy tylko, a raczej polityczny.—Starożytny „hultaj“ ma nam lepiej zilustrować dzisiejszego „obieżysasa“. Pierwszy stał się tylko cieniem błakającym się po pożółkłych kartach *Voluminów Legum*; drugi—płoszy sen z oczu właścicieli ziemskich i publicystów. Stoimy najczęściej wobec niego bezradni i oczekujemy „hasła“, które go unicestwi i z pola widzenia naszego zmiecie. Otóż przypominając sobie, jak to w dalekiej przeszłości starano się w sposób podobny kodyfikować przepisy karne przeciwko „hultajom“ wiejskim, uświadomimy sobie bezowocność tego odwoływania się naszego do pomocy maczugi policyjnej, a zaprzestawszy rozpraszania zabiegów nasze w kierunku uzdrowienia stosunków robotniczych na wsi, zjednoczymy je w jednym, tym większym i potężniejszym ognisku słonecznym, o którym mówił Seneka, gdy pisał: *Homo homini sacer!* (Człowiek człowiekowi świętym być powinien).



### III. „Sposób” na obieżysasów.



Oczywiście nie powiemy, jak w reklamach aptekarskich „jeden, jedyny“ sposób. Kwestja obieżysasów na wsi jest tak złożona, organizacja pracy jest tak misterną siecią „pajęczą“ tysiącznemi niemi zależności i wpływu związana z całokształtem życia wiejskiego, że byłoby to wcale nierozważnym, gdybyśmy mniemali, że można w jednym wyrazie niby w ognisku zespolić wszystkie setne i setne promienie, z których każdy swoje specjalne imię nosi i specjalnego uwzględnienia wymaga.— Za pomocą jakiegokolwiek bądź monizmu praktycznego nie damy rady polipowi niezdrowych stosunków w zakresie organizacji pracy na wsi. Tylko w bajkach arabskich—„Sezamy otwierają się.“ Tylko w świecie



królewskim spekulacji metafizycznej rozwiązują się tysiąckrotnie splecione węzły sprzeczności życiowych za pomocą magicznego zaklęcia czarnoksiężnika-filozofa. Nam pozostaje tylko ciężka, często niepowodzeniem usłana droga pracy, bez wytycznych prób i usiłowań. Tak postępuje kowal wiejski wobec zepsutej maszyny, której budowy nie rozumie; gdyby „duszę“ tej maszyny mógł wyczuć, gdyby plan budowy mógł wprowadzić do świadomości swej w takiej doskonałości i czystości linii, w jakiej poczęty został w głowie twórcy—nie potrzebowałby dziesiątej części czasu na dokonanie naprawy. Gdy zaś jest inaczej, postępuje empirycznie: tu rozluźni śrubkę, tam inną nakręci mocniej, tu sztabkę podeprze, tam zaklini—może po pewnej ilości takich rękoczynów maszyna znowu działać zacznie...

I my tylko ze stanowiska takiego empiryzmu, stosując ogólne i znane nam środki—chcielibyśmy uleczyć, jeżeli nie radykalnie, to przynajmniej „jakkolwiekby“, na potrzebę chwili nie „doskonałość“ stworzyć, a tylko współzycie nasze na wsi umożliwić, a gdy możliwe—umilić.

Pod tym względem, w promieniu takich zapoczątkowań wiele skorzystać możemy od bardziej świadomych sąsiadów naszych na Zachodzie. Nasze bóle, tak świeże i dla te-

go tak dotkliwie—są im od dłuższego już czasu znane; mieli czas nie tylko przyzwyczaić się do nich, ale poniekąd już zdołali przystosować się, a przystosowując stworzyli program środków naprawę stosunków na celu mający. O jednym z takich środków, o jednym „sposobie na obieżysasów“ chcę tu dziś opowiedzieć.

Niedawno zmarły znakomity rolnik niemiecki, Schultz z Lupitz, którego niespożyte zasługi na polu rolnictwa znane są i uznane daleko poza granicami Niemiec, opowiada w swojej autobiografii, że gdy zaczął gospodarować na swoich pruskich piaskach, był zupełnym nędzarzem. Po kilkudziesięciu latach wytrwałej pracy skończył życie nie tylko syt sławy i dostojenstw—członek sejmu, doktor honorowy uniwersytetu w Halli,—ale i bogactwa. Chwalił się, że majątek swój zdobył tylko dzięki zabiegom wyraźnie rolniczym. „Jakkolwiek naturalny układ stosunków wskazywał na potrzebę zbudowania gorzelni, piaski moje bowiem najlepiej nadawały się do uprawy kartofli, to jednak nigdy nie mogłem zdecydować się na ten krok, w moich oczach niemoralny, rozpajać lud za pomocą alkoholu dystylowanego z kartofli: myśl moja z obrzydzeniem uciekała od tego wskazania gospodarczego; wołałem zaprowadzać



kultury łubinowe...“ Te szczegóły pozwalają nam zrozumieć, kto zacytował ten dziwny imiennik „Szulców.“ Podajemy je tutaj nie tylko dla tego, że są charakterystyczne, ale i w innym jeszcze celu. Często słyszeć się u nas daje, że wszelkie doświadczenia społeczne, przedsiębrane przez jednostkę, kończą się niepowodzeniem finansowym działacza. Różni sknerzy i egoiści zwykli powoływać się na przykłady takie: ot widzisz, pan A. budował czworaki dla ludzi, niby pałace — poszedł z torbą; pan B. założył szkołę, „bawił się“ w różne „oświaty“, kupował gazety, książki, zamknął karczmę dominialną, trzymał dla wsi lekarza — dzieci jego służą itd., itd. Tymczasem przykład p. d-ra Schultz'a z Lupitz wyraźnym służy dowodem, że eksperymenty społeczne nie tylko nie pozerają fortuny, ale ją *powiększyć są zdolne*.

Schultz, mianowicie, założył w dobrach swoich kasę pomocy dla robotników. Chciał on przywiązać pracowników do warsztatu pracy, stworzyć warunki istnienia możliwe, takie, wśród którychby myśl robotnika nie potrzebowała tęsknić za innemi: ambicję jego zagrzać, czyniąc warsztat pracy nie przedmiotem nienawiści wspólnej, ale raczej przedmiotem emulacji. Miał na widoku i swoje oczywiście cele: robotnik przy-

wiązany do majątku inaczej zupełnie będzie pracował; inaczej będzie obchodził się z narzędziami, z inwentarzem. Zasobność majątku wzrośnie, kultura stale się będzie podnosiła.

Kasa dzieli się na dwa oddziały. Oddział A udziela pomocy na wypadek śmierci robotnikom stałym, t. j. takim, którzy w czasie od kwietnia do listopada pracowali w Lupitz więcej niż—50 dni, ich wdowom i sierotom; udziela jej również na wypadek choroby albo śmierci żony, albo dzieci, na wypadek nieszczęścia losowego, albo na wypadek, gdy robotnik nie jest w stanie opędzić wydatków na utrzymanie zbyt licznej rodziny. Pomoc nie powinna nigdy zawierać cech jałmużny, ale raczej wypływać jako zapomoga — ze wspólnie zbieranych oszczędności.

§ 3. Środki, z których tworzy się kapitał A, płyną z następujących źródeł: ze składek robotników, wymaganych przez prawo o ubezpieczeniu na wypadek kalectwa i starości; z pieniędzy karnych przysądzonych przez odnośną władzę zarządowi majątku w myśl ustawy służbowej i innych przepisów prawodawczych; z pieniędzy karnych wpływających do kasy dominialnej na skutek przekroczeń ordynacji utworzonej dla majątku; wreszcie z dochodów przewidzianych w §§ 7 i 10.



§ 4. Wdowa po robotniku stałym otrzymuje w przeciągu roku od śmierci jego zapomogę w ilości 1 marki tygodniowo i po 25 pf. na każde dziecko poniżej lat piętnastu. Termin roczny może być przedłużony dowolnie. Upływa w chwili zamażpójścia. Wdowa, która uchyla się od pracy, nie otrzyma żadnej zapomogi. Robotnicy znajdujący się w potrzebie mogą otrzymywać zasilki z kasy, przyczem rzeczą zarządu jest każdorazowo określić zakres potrzeby i pomocy. Jeżeli jeden lub kilku synów robotnika pobranych zostało do służby wojskowej—zarząd bierze to w rachubę, uważając tych synów, jako podpory, których brak należy wyrównać. — W razie, jeżeli państwo stworzy specjalną kasę pomocy dla wdów i sierot po robotnikach, przepisy w tym przedmiocie ułożone tracą moc obowiązującą.

§ 5—6. Oddział B zamierza: a) wynagradzać robotników z tytułu wyjątkowych zasług na polu gospodarczym, w zakresie żywienia i oszczędzania inwentarza, oszczędzania maszyn i narzędzi, wartości pracy, obowiązkowości i wierności; b) szerzyć oświatę, c) świadczyć pomoc w zakresie zakupna ziemi przy pomocy banków rentowych i t. p. Dochody Oddziału B. płyną z następujących źródeł; a) z procentów prze-

kazanych na czas życia obecnego właściciela od dwu pożyczek państwowych, (po 500 marek każda) w ilości 4 kuponów po 7½ marek, które to kupony stanowią mają cztery nagrody; b) z następujących źródeł: od każdej faktycznie sprzedanej tonny (20 centnarów) zboża ponad 130 mr. za tonnę 130 do 150 mr.— 75 pf., ponad 150 mr.— 1½ mr.; od każdej sprzedanej tonny kartofli i słomy ponad 25 mr. za tonnę, przy cenie 25 do 30 mr.—15 pf., powyżej 30 mr.— 30 pf.; od każdego sprzedanego morga koniczyzny albo siana powyżej 30 m. za móg przy cenie 30 — 40 marek za móg— 20 pf., powyżej 40 mr.—40 pf., od każdego centnara nasienia koniczyzny powyżej 40 m. za tonnę, przy cenie 40—50 m. 50 pf., powyżej 50 m.—1 marka. Od każdej zaoszczędzonej sztuki inwentarza pociągowego (według budżetu należy corocznie dokupywać dwie sztuki) — za każdego konia 30 m.; od zaoszczędzonych w porównaniu z zamierzeniem budżetowym wydatków na reparację maszyn i narzędzi, (rachunek kowali, stelmachów i fabryk maszyn)—10 m. od każdej zaoszczędzonej setki marek.

Wyplata tych tantjem następuje najpóźniej w styczniu każdego roku na podstawie ksiąg gospodarczych za rok kończący się w lipcu ubiegłym.



§ 7. *Podział dochodów:* a) nagrody wypłacane bywają bądź w gotówce—bądź w przedmiotach pożytecznych, z procentów od papierów państwowych. —Nagrodę wyznacza zarząd dowolnej ilości robotników bez różnicy wieku i płci stałym i niestałym robotnikom. Środków na wypadek wyczerpania się pierwotnego dostarczają inne przyczem wskazaniem jest postępowanie następujące. Z dochodów wyliczonych pod b) w § 9-ym oddziela się  $\frac{1}{4}$ , która przeznaczona się: 1) na oświatę (książki, dzienniki), 2) zakup biblii i śpiewników dla dzieci konfirmowanych, 3) nagrody, 4) na fundusz lit. A. Pozostałe trzy czwarte zostają wypłacone robotnikom stałym. Dzień roboczy nieletniego robotnika (bez różnicy płci) przyjmuje się za jednostkę zwykłą, dzień kobiecy za podwójną, męski za potrójną, dozorecy za poczwórną jednostkę—i oblicza się ilość dostarczonej przez robotników pracy w takich jednostkach.—W ten sposób otrzymuje się rachunek zysków, które każdemu z osobna przypadają. Zyski nie zostają wypłacone w gotówce—ale w dołączaniu każdego roku wpłacone być winny do kasy oszczędności na książkę imienną każdego robotnika. Książki zostają w rękach zarządu. Kapitały zapisane w książkach oszczędnościowych powinny być

wypłacane: bezzennym robotnikom płci obojga na wypadek opuszczenia służby albo zawarcia związku małżeńskiego; robotnikom żonatym zamieszkałym w domach folwarcznych w razie, jeżeli suma uzbierana przez małżonków wynosić będzie więcej niż 900 marek. W tym wypadku właściciel obowiązuje się wyrobić małżeństwu posiadłość rentową w myśl prawa z r. 1890-go w celu postawienia własnego domu i założenia ogrodu, przyczem ofiaruje wszystkie w tym celu potrzebne furmanki.

§ 8. *Zarząd* składa się z właściciela, z rządcy, który prowadzi księgi, jest kasjerem i zastępuje właściciela, oraz z dwu robotników, których co roku obiera ogół robotników stałych. Przy wyborach obowiązują następujące zasady: każdy robotnik liczący 24 lata posiada jeden głos, żonaty—dwa głosy itd. Członkowie Zarządu muszą od lat 5-u być stałymi robotnikami w Lupitz.

Nie będziemy wyliczali dalszych szczegółów ustawy kasowej, albowiem chodzi nam nie o wzór ustawy, ale o obraz instytucji.

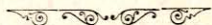
Rezultaty według zapewnień właściciela miały być bardzo dobre. Pomimo takich zapoczątkowań Schultz nie „poszedł z torbami.”

Udział w zyskach, jako zasada wynagradzania pracowników wiejskich, nie jest rze-



czą bezwzględnie nową. Sporadycznie praktykowanym był dawniej, i w podręcznikach „Polityki Agrarnej“ znajdujemy często listę ziemian, którzy na tym polu położyli zasługi poważne \*). Niema, powiedzmy wreszcie, w takich usiłowaniach zbyt wielkiej zasługi. Niema bowiem ofiary; jest tylko dobrze rozumiany, głęboko pomyślany interes własny. Jest to więc zasługa raczej rozumu, aniżeli serca, aniżeli sumienia.

Któżby jednak i tę zasługę chciał lekceważyć?



---

\*) Por. A. Buchenberger. Agrarwesen und Agrarpolitik 1892 r. Tom I, str. 601 i n. Sohnrey, w Schriften der Centralstelle für Arbeiter-Wohlfahrts-Einrichtungen № 9 (1896 r., str. 81—102), gdzie wydrukowana „Ustawa Kasy Robotniczej“ w Lupitz, str. 97—101.

#### IV.

### Sprawy Wychodźcze w Niemczech.

---

Wiele się pisze u nas o organizacji pomocy dla wychodźców do Ameryki i to już od tak dawnego czasu, że ta organizacja ma całą, długą historję. Historia ta byłaby bardzo śmieszna, gdyby nie była niezmiernie a głęboko smutna. Mamy bowiem cały szereg „specjalistów“, którzy wciąż a bezustannie uderzają w wielki dzwon samochwalstwa, ofiar i zasług publicznych, budują wielkie piramidy papierowe, upstrzone od góry do dołu napisami głoszącymi, co widzieli, co słyszeli, czego dokonali z myślą płynącą ku ideałowi *salus publica*. Tymczasem zaś—często, przy sprawdzeniu późniejszym przez następnych podróżników, okazuje się, że napisy owe zawierają opowieść o tym, czego nie



widzieli, nie słyszeli, nie dokonali. Dość przytoczyć takie oto dwa tomiki pióra p. Siemiradzkiego pod tytułem: „*Szlakiem wychodźców*”, wspomnienia z podróży do Brazylii“ (1900), aby sobie raz na zawsze wszelką naszą literaturę emigracyjną obrzydzić. Pomijamy już zupełny brak talentu literackiego, którego nie nabywa się pomimo ciągłego powtarzania tych samych anegdot, obrazów i porównań, ale co najgorsza, to owa zupełna niewiarogodność opowiadania, stwierdzona przez wielokrotną, rzadko owocną i korzystnie przeprowadzoną polemikę, owe ciągle sprzeczności w opowiadaniu o tym samym przedmiocie, powtarzane po kilkakroć w zupełnie odmiennym oświetleniu, cofanie się, wypieranie zdań istotnie wypowiedzianych, aczkolwiek mylnych (patrz polemikę p. Gruszeckiego z p. Siemiradzkim!). Wszystkie te cechy stwierdzone zostały, a jednocześnie zakwestjonowano, wobec istnienia takich nieporządków i takich informatorów, możliwość wywiedzenia się czegokolwiek o wychodźstwie polskim w Brazylii.

Mogłoby być jednak inaczej, czego najlepszym dowodem są organizacje pomocy dla wychodźców niemieckich. O jednej z takich instytucji chcemy właśnie pomówić.

Przed kilku laty utworzyło się stowa-

rzyszenie pomocy dla wychodźców niemieckich. Towarzystwo ma na celu: 1) udzielanie informacji bezpłatnych wychodźcom; 2) szerzenie idei o konieczności polityki wychodźczej narodowej; 3) ostrzeganie przed nieopatrznym wychodźstwem. Oto kilka szczegółów wyjętych ze sprawozdań corocznych. Przewodniczący, prof. Kettler z Hannoveru, zwrócił uwagę na to, że przyrost naturalny ludności niemieckiej w ilości 800 tysięcy dusz musi pobudzić do bardziej szczegółowego krzątania się w zakresie spraw wychodźczych. Zastanawia on się nad ewentualnym udziałem rządu niemieckiego w zakresie osadnictwa na kolonjach niemieckich. Rząd powinien popierać wychodźców. W tym celu należy tworzyć zorganizowane towarzystwa kolonizacyjne (*organisierte Siedelungsgesellschaft*), które powinny otrzymywać ziemię od rządu niemieckiego na warunkach możliwie dostępnych i odprzedawać ją oddzielnym grupom kolonistów na warunkach długiej i nieuciążliwej amortyzacji.

P. Lemcke, Niemiec zamieszkały w Meksyku, opowiada o Niemcach przebywających w tej miejscowości. Dotychczas niewiele naliczyć tam można rolniczych osad niemieckich. Kwestja ta atoli staje się doniosłą ze względu na działalność pewne-



go bogatego konsorcjum kapitalistów niemieckich, które nabywa tam wielkie przestrzenie gruntów ornych i zamierza zająć się rozprzedażą tychże drobnym osadnikom. Autor przekonany jest o możliwości powodzenia kolonistów nawet w granicach nader niewielkiego kapitału i powołuje się w tej mierze na doświadczenie kolonistów włoskich, którzy osiadali w Meksyku w stanie zupełnej nędzy, a obecnie uchodzą za nader zamożną klasę rolników miejscowych.

Sędzia Diltthey z Akwizgranu objechał kolonie niemieckie w Brazylii południowej, w La Plata i Afryce południowej. W Brazylii, jak zresztą wiadomo z dawniejszych opowieści, kolonie niemieckie znajdują się w stanie kwitnącym. Koloniści zajmują osady dochodzące do 100 i wyżej morgów i odznaczają się znaczną zamożnością; wszędzie pełno kościołów i szkół. Mówca całymi dniami jeździł, nie napotykając innych ludzi, jak Niemców, nie słysząc innej mowy, innego pozdrowienia, jak niemieckie. Rodziny są nader liczne, posiadanie 12 dzieci nie jest wcale rzadkością. W Argentynie jest wielu Niemców, którzy przywędrowali tu z nad Wołgi i z Wołynia—i ci zachowali swój język i swoje obyczaje. Tylko w Afryce połu-

dniowej język niemiecki ustępuje wobec powagi angielszczyzny.

Mówiono następnie o widokach dla wychodźców w Chinach. W tym zakresie nic dotychczas nie działo. Zanim rząd niemiecki nabył Kiaotschau, większe firmy wywozowe niemieckie zakładały swoje filje pod opieką flagi angielskiej. Ale i dziś imigracja Niemców do Chin jest minimalna. W r. 1899 zaledwie  $\frac{1}{2}\%$  ogólnego wychodźstwa przypadł na Chiny. Wogóle zaś mówca zapatruje się nader sceptycznie na widoki kolonizacji w Azji wschodniej. Kolonizacja francuska Tonkinu dała złe tylko rezultaty. Ażeby zostać „kolonistą“ w Indo-Chinach, należy posiadać co najmniej 50,000 franków. Chińczyk sam jest dobrym robotnikiem, posiada dobrą ziemię, dobre urządzenia, wygodne rynki zbytu. Słowem, autor ostrzega przed zakusami kolonizacyjnemi nad Jantsekiangiem.

Takie są rezultaty obrad prywatnego przedsięwzięcia ludzi dobrej woli. Niewiele tu stosunkowo frazeologii, poświęceń, martyrologii na chwałę—osobistego powodzenia. Mniej lub więcej są to wszystko rzeczowe tylko wskazówki, z których oczywiście korzystać będzie można. Nikt tam przed niewodem ryb nie łowi, nikt fantazyjnej przędzy różnorakich ulud nie roz-



snuwa, kolorowych baloników nie puszcza  
—tylko wszyscy chcą pracować, pracować,  
pracować.

O, gdybyśmy już mogli kiedykolwiek  
powiedzieć i w *takim* sensie: *tout comme*  
*chez nous!*



V.

## Spółki Meljoracyjne.

Roku 1899-go 19 lutego zebrała się we wsi Wola-Bukowska, pow. miechowskiego gromadka obywateli: był tam p. Gabrjel Godlewski, właściciel folwarku, był ksiądz Bronisław Sokołowski, proboszcz z Nasiechowic, byli pp. Szopińscy Ludwik i Antoni, Pytel, Rączka, Manterysowie Andrzej i Stanisław, Piwowarski, Bielawscy Stanisław i Jan, Kaczmarzyk—rolnicy okoliczni zamieszkali w Łętkowicach, Pojałowicach, Nasiechowicach i Prandocinie, był rejent z Miechowa, było wreszcie dwu świadków. Rejent wziął pióro do ręki i spisał akt treści następującej.

Wymienieni powyżej obywatele zawierają akt spółki. Chcąc otrzymać możliwie wysoki dochód z gospodarstwa rolnego, ulepszenia jakości nasienia, oraz narzędzi gospodarskich, podniesienia hodowli inwenta-



rza, obecni zawierają spółkę udziałową— której przedmiot stanowić będzie: kupno udoskonalonych narzędzi i zbóż do siewu, inwentarza rozplodowego, a wreszcie sprzedaż otrzymanego w ten sposób zboża i przychówku z korzyścią dla stowarzyszonych. Spółka zawarta zostaje na przeciąg lat sześciu. Na wypadek śmierci któregośkolwiek ze stowarzyszonych przed upływem tego terminu, prawa jego dziedziczą spadkobiercy, nawet nieletni, reprezentowani w takim wypadku przez opiekę. Na wypadek, gdyby jednak spadkobiercy nie chcieli przyjąć praw i obowiązków zmarłego stowarzyszonego, w terminie półrocznego wypowiedzenia zostaną skwitowani przez pozostałych członków stowarzyszenia; otrzymać mogą wszystko, co na rzecz zmarłego przypadać mogło w udziale i zyskach w dzień śmierci.

Kapitał zakładowy tworzy się w sposób następujący. — Każdy ze stowarzyszonych składa jednorazowo 20 rubli, prócz tego Gabr. Godlewski w celu powiększenia środków stowarzyszenia wnosi kwotę stu rubli z tym zastrzeżeniem, że przy podziale zysków suma ta nie będzie przyjmowana w rachubę. Na wypadek likwidacji otrzymają po spłaceniu udziałów pozostałych członków stowarzyszenia. Stowarzyszeni odpowiadają za zobowiązania spółki do wyso-

kości udziałów, zaś G. Godlewski również do wysokości stu rubli. Jako udziałowa— spółka nie będzie posiadała żadnej firmy. Jej prawne miejsce zamieszkania znajdować się będzie u Gabrjela Godlewskiego w Woli Bukowskiej. *Zarząd* stanowić mają: Gabrjel Godlewski, Piwowarski i Ludwik Szopiński, a tytułem zastępstwa (na wypadek choroby) Andrzej Manterys i Walenty Pytel, obowiązki kasjera pełnić będzie Jan Bielawski (zastępca Stanisław Bielawski). Większością głosów stowarzyszonych mogą być obrani do zarządu i na pozostałe urzędy, pozbawieni urzędów i na ich miejsce powołani inni członkowie. Zobowiązania pod groźbą nieważności zawierają w imieniu spółki trzej członkowie wybrani do Zarządu, przyczym każdorazowo powołać się muszą na brzmienie niniejszej umowy. Po upływie każdego roku w styczniu dokonywa się obrachunek zysków i strat. Wobec tego zarząd obowiązany jest prowadzić księgi handlowe. Ogólne zgromadzenie może być zwoływane i poza tym terminem w miarę potrzeby przez zarządzających i w każdym innym wypadku na żądanie jednej trzeciej spółników. Jeżeli na zebranie, zwołane w pierwszym terminie, nie przybędzie nawet połowa spółników, wtedy zebranie nie jest prawomocne; w takim wypadku Zarząd zwołuje ze-



branie poraz wtóry nie później jednak jak w miesiąc po dacie pierwszego; wtedy zebranie będzie prawomocne bez względu na ilość obecnych spółników. Zarząd interesami spółki pojęty jest w znaczeniu najobszerniejszym i obejmuje: najem składów i pomieszkania, służących, pisarzy, zakup nasion, inwentarza i maszyn, oznaczenie cen zarówno przy zakupie, jak i przy sprzedaży, stosunki z władzami administracyjnymi i sądowymi i t. d. itd. Poza tym zarząd ma prawo w myśl a. 1861 kodeksu cywilnego przyjmować nowych spółników i na warunkach w akcie niniejszym wyszczególnionych bez obowiązku zawierania nowych w każdym wypadku aktów, a tylko z obowiązkiem powiadamiania o tem spółników na najbliższym zebraniu ogólnym. Zarządzający również jak kasjer nie otrzymują za pracę swą żadnego wynagrodzenia. Podział strat dokonywa się w stosunku do udziałów; podział zysków w tym samym stosunku, spółnicy mają jednak prawo orzec, jaka część zysków powinna im być wypłacona, a jaka przelana do kapitału zakładowego stowarzyszenia. Bez zezwolenia zarządu nie wolno jest cedować udziałów na rzecz osób trzecich albo pozostałych spółników. Każdy spółnik ma prawo dokonywać rewizji ksiąg i dowodów. Wszy-

stkie spory, wynikające z tytułu niniejszej umowy pomiędzy zarządzającymi, kasjerem i stowarzyszeniem podlegają orzeczeniu sądu polubownego bez prawa apelacji; znajdujący się w sporze, obierają po jednym arbitrze, ci zaś superarbitra.

Na trzy miesiące przed siewem wiosennym i jesiennym każdy ze stowarzyszonych zawiadamia zarządzających, jaką przestrzeń zamierza obsiać nasieniem, sprowadzonym przez spółkę, i jakiego żąda nasienia. Rola przeznaczona do takiego siewu powinna być uprawiona możliwie dobrze i ziarno dostarczone przez zarząd powinno służyć tylko dla obsiania wymienionego pola. O ile nasienie nie zostanie spotrzebowane, powinno być zwrócone zarządzającym. Zboże, sprzątnięte z pola zasianego takim doborowym ziarnem, powinno być zwiezione na miejsce wskazane przez zarząd, a wtedy spółnik płaci za zboże do siewu i otrzymuje jednocześnie zapłatę za dostawione zboże, według średnich cen miejscowych bądź całkowicie, bądź też w pewnej części, o ile na to pozwalają środki stowarzyszenia. Cała nadwyżka otrzymana ze sprzedaży dostarczonego zboża ponad średnią zapłaconą za nie cenę — stanowić będzie dochód stowarzyszenia podlegający podziałowi. Zboże do siewu i wszelki wogóle majątek ruchomy



Towarzystwa znajdować się winien pod kluczem na odpowiedzialności dwu zarządzających. Spółnik uchylający się od spełnienia przepisów przez umowę wyszczególnionych, a specjalnie przepisu wymienionego na ostatnim miejscu, zostaje wykluczony ze spółki, udział jego przepada z tytułu postawienia w zwłoce na korzyść stowarzyszenia. Poza tym służy stowarzyszonemu prawo poszukiwania wszelkich strat na majątku spółnika, który nadużył zaufania, albo uchyla się od odpowiedzialności w stratach stowarzyszenia. Gdyby po upływie lat sześciu kapitał zakładowy zmalał więcej niż do połowy, zgromadzenie ogólne zastanowić się winno nad dalszym losem spółki.

Kasjer Bielawski otrzymuje zebraną (p. w.) sumę pieniędzy w ilości 380 rb. i kwituje z odbioru. Obecni wyrażają zgodę na wszystkie szczegóły umowy i stwierdzają tę zgodę podpisem. Skasowano papier stemplowy za 3 rb. 10 k. Pobrano 40 k. opłaty stemplowej z tytułu miejsca zawarcia umowy. Następują podpisy.

Do umowy powyższej nie potrzebujemy chyba komentarza. Sama mówi za siebie. Sama jest drogowskazem. Stowarzyszeni nazwali swoją spółkę „Jutrzenką” i słusznie; pomiędzy nocą a dniem blisko, najbliższej tego drugiego — jest świt. Po długiej,

jak gdyby nocy w stosunkach ludzkich — które obejmuje umowa powyższa, świtać zaczyna. Współzycie układa się według innej modły. Dwadzieścia lat temu wzory podobne byłyby czymś u nas obcym, zgoła egzotycznym. Dziś jesteśmy pod znakiem jutrzeńki.

Błogosławione zapoczątkowania, które do stosunków ludzkich, smutnych, mrocznych i jałowych, wprowadzić się starają jasny promień pracy w miłości i miłości w pracy.



## VI.

## Walka z wydmą piaszczystą.

W roku 1895-ym na zadrzewionej wyd-  
mie piaszczystej pomiędzy miastami Kolding  
i Esbjerg w Danji ludność miejscowa wznio-  
sła pomnik niejakiemu Henrykowi Dalga-  
sowi. Nie był to ani minister, ani generał;  
nie był to nawet poeta, ale był to jeden  
z najbardziej zasłużonych krajowi mężów  
w ciągu całego wieku XIX. Niekoniecznie  
dobrze czynię, odmawiając Dalgasowi na-  
grody za waleczność albo sztukę; był on  
wielkim i zasłużonym generałem w wieku-  
istej walce człowieka z naturą; był poetą,  
albowiem tylko marzyciel może podobną  
pracę rozpocząć i wierzyć w możliwość jej  
ukończenia. O czym zamarzył Dalgas, ja-  
kie bitwy wygrał— o tym opowiedzieć za-  
mierzamy.

Przed trzydziestu kilku laty część Danji,  
znana pod nazwą Jutlandji, znana była duń-  
czykom, jako synonim pustyni, jako kraina  
wiatru, piasku i wrzосу. Pozbawiona ro-  
ślinności i dróg, mało pociągająca iostęp-  
na, biedna i opuszczona, figurowała, tylko  
w geografji, ale w bilansie bogactwa naro-  
dowego zajmowała miejsce ostatnie. W epo-  
ce Krystjana VIII powzięto wprawdzie od-  
ważną myśl obsadzenia całego zachodniego  
pobrzeża pasem leśnym: miał to być wał  
ochronny przeciwko wydom piasku, posu-  
wającym się coraz dalej w głąb kraju.—  
Robota nie udała się, pomysł powędrował  
do archiwum. Zdawało się, że wszyscy za-  
pomnieli już byli o obowiązku względem  
wielkiej polaci ziemi duńskiej, gdy niezna-  
ny nikomu inżynier z ojca duńczyka, z ma-  
tki włoszki zrodzony, Enrico Dalgas (urod.  
1828 r.), powziął śmiałą myśl wznowienia  
pogrzebanego napozór zamierzenia. — Brał  
udział w sromotnej kampanji przeciwko Pru-  
som w chybionej obronie Szlezewiku, na po-  
lu jednak przegranej bitwy nie zagrzebał  
ideału i postanowił sobie inną drogą dojść  
do odrodzenia chwały ojczyzny. Pracując  
w Jutlandji w charakterze inżyniera kole-  
jowego, Dalgas zajął się badaniem geolo-  
gicznych warunków kraju i z tych badań,  
które pod tytułem „Obrazów geograficz-



nych“ ogłoszone drukiem zostały i obudziły powszechny interes, wysnuł wniosek, że należy przystąpić do pracy nad przeistoczeniem piasków jutlandzkich. 4 marca 1866 roku niewielkie koło swych zwolenników wiąże w „Towarzystwo kultury jałowych równin jutlandzkich.“ Składkę roczną określono na 4-ry korony, początkowo liczono 800 członków. Oczywiście, że wobec tak skromnych środków niesposób było myśleć o działalności na szeroką skalę. Odwołano się tedy do uczuć społecznych filantropów krajowych. Jak zwykle, głos nie pozostał bez skutku. Pierwszy, kupiec D. Adler pośpieszył z poważniejszą ofiarą. Towarzystwo mogło nabyć na własność większą posiadłość ziemską i przystąpić do urzeczywistnienia marzeń. Należało dowieść, że istotnie na tych jałowych wydmach będzie rosło coś więcej, prócz wrzосу i ubogiej trawy. Próba zaprowadzenia tam jodły górskiej (*pinus montana*) — udała się ponad wszelkie oczekiwanie. Podczas gdy sosna austriacka zwolna usychała, jodła wychodziła zwycięsko z zapasów z zabójczym wrogiem — naturą. Jodła ta umożliwiła plantację sosny. W przyjętym już zagajniku jodłowym i sosna udaje się dobrze. Sadzą ją też później, z biegiem czasu przerzedza się w zagajnik; wyrabują się jodły; sosny mają

więcej słońca i powietrza, rosną lepiej; jodła obalona pozostaje na miejscu, gnije i zasila ziemię.

Zaraz w pierwszych latach powodzenia Towarzystwo wywołało żywe współczucie i obudziło chęć naśladownictwa w ludności. Włościanie zaczęli tworzyć drobne spółki udziałowe, aby za składkowe pieniądze kupić ziemi i zaprowadzić plantacje. Ogólna przestrzeń zadrzewionych piasków wynosi już dzisiaj z górą *cztery mile kwadratowe*. Ilość plantacji wynosi 14, przestrzeń ziemi, znajdująca się w posiadaniu Towarzystwa, 15 tysięcy morgów. Eksploatacja jednak piasków jest nader kosztowna. W obecnej chwili Towarzystwo utrzymuje kasjera, rewizora, pisarza, 2 inżynierów, 8 leśników itd, itd, sztab pracowników kosztuje rocznie około 65 tysięcy rubli. — Skąd wziąć środki na zgromadzenie tak wielkiego kapitału? Zagajniki dochodu nie dają. Oto właśnie odpowiedź znalazł Dalgas w swoich geologicznych poszukiwaniach. Odkrył niewyczerpane pokłady marglu, które pozwalają opędzać koszty działalności kulturalnej\*). Aby eksploatować korzystnie pokłady, należało pokryć okolicę siatką kolejową. Uczyniono to. Wystarano się następ-

\*) Roczna produkcja marglu wynosi 19 tysięcy metrów sześciennych.



nie o taryfy kolejowe minimalne. Nie koniec jednak. Dalgas wpadł na myśl irygowania również okalających rzeczki miejscowości; piasek pokryty wrzosem, kruchy i spalony, dzięki sztucznemu nawadnianiu pokrył się bujną roślinnością. Dziś łąki otrzymane w taki sposób zajmują przestrzeń 20 tysięcy morgów. Wartość łąk wynosi  $2\frac{1}{2}$  miliona rubli.

Nie koniec jednak na tej „urzędowej” działalności Towarzystwa. Poza tym jest ono propagatorem podobnej pracy wśród właścicieli prywatnych, większych i mniejszych i bierze czynny udział w usiłowaniach tego rodzaju osób prywatnych.— Na rachunek tych właścicieli Towarzystwo zadrzewia pustkowia, zakłada żywopłoty, buduje kanały itd. Plantacja zajmuje w tym wypadku 90 tysięcy morgów. Poza tym Towarzystwo opiekuje się 38 drobnymi związkami włościańskimi, działającymi na przestrzeni 300 mil, gdzie ilość członków wynosi 15 tysięcy i gdzie co roku na wiosnę zakupuje się sadzonek na sumę 30-stu tysięcy rubli. — W ostatnich latach Towarzystwo zajęło się bardzo energicznie sprawą osuszenia błót, których i w Danji jest nader wiele. Urządzono kilka stacji doświadczalnych, gdzie na przestrzeni od 4—10 mr. prowadzi się robotę; ludność miejscowa ma

sposobność najlepszą do zapoznawania się z pracą umiejętną, mającą na celu przeobrażenia moczarów w żyzne pastwiska i uprawną rolę.

Obliczono, że prace Towarzystwa w epoce pierwszego dwudziestopięciolecia pochłonęły sumę trzech milionów rubli. Złożyły się na to składki członków, zapomogi filantropów, subsydja rządu, instytucji samorządu miejskiego i wiejskiego, wreszcie dochody z eksploatacji marglu i łąk. Jak widzimy, nakład kolosalny. A jakie skutki tych zabiegów? Równie wielkie. Pustynia po której hulał dawniej wichur, spalona od słońca, pozornie najzupełniej i wiekuiście jałowa, w znacznej części pokryła się ruiną zieloną łąk i lasów i corocznie powiększa się obecnie o pół mili kwadratowej.— Pustynia, w której piaski ruchome zasypywały wszelki ślad drogi, obecnie liczy tak wielką ilość dróg żelaznych, że niema w niej miejscowości oddalonej od kolei więcej niż o dwie mile. — Ludność miejscowa dawniej przymierająca głodem i uciekająca do miast na południe, znajduje na plantacjach, w kopalniach, przy robotach irygacyjnych stały i dostateczny zarobek. Inwentarz żywy powiększył się w sposób kolosalny. — Na jubileuszu z powodu dwudziestopięcioletniego istnienia Towarzystwa,



jeden z włościan obecnych opowiedział— „że dawniej marliśmy z głodu; posiadałem wszystkiego siedm krów i parę koni; obecnie zaś mogę się pochwalić 24 krowami i 5 końmi. Wszystko zawdzięczam ja i bracia moi—Dalgasowi.“

„Towarzystwo“ stara się działać i na zewnątrz bądź co bądź ograniczonego tere-  
nu pracy praktycznej. Urządza liczne od-  
czyty, ogłasza broszury agitacyjne, które  
w wielkiej ilości rozrzuca po kraju (po 20  
tysięcy naraz). Wreszcie należy zaznaczyć,  
że od lat 20 wydaje czasopismo specjalne.

Wszystko to uczynił jeden człowiek —  
skromny inżynier Dalgas. Pamięć jego czy-  
nów przetrwa z pewnością pomnik, jaki  
mu dźwignęła wdzięczność tych wszystkich,  
tych niezliczonych mas, które on dźwignął  
z mroku niewiadomości na światło rozum-  
nego czynu, z których zdjął kajdany nędzy  
i ucisku materialnego, którym wskazał no-  
we drogi błogostanu i dopomógł czynną,  
wieloletnią pracą utrwalić — wypróbować  
i uwiecznić.

Czy tylko w Danji bywają wydmy pia-  
szczyste? Spójrzmy tylko wokoło siebie.

Czy tylko w Danji rodzą się Dalgasi?

Porachujmy, ile pól leży odłogiem, albo  
mierne daje tylko urodzaje na folwarku  
obywatelskim, w zagrodzie włościańskiej.

Setki i tysiące morgów naliczymy tych nie-  
użytków: smutnych, jałowych, cmentarna  
owiewających nas melancholją. — We wsi,  
gdzie piszę te słowa, role włościańskie co-  
raz gorzej rodzą, ze wszystkich stron od-  
dane na pastwę wiatru i piasku, coraz szer-  
szym pasem pokrywają się pokładem su-  
chego piasku. Nikt nie myśli o wale ochron-  
nym, któryby samowolę sił przyrody okieł-  
zał i ograniczył. — I tak bywa najczęściej  
wszędzie. A może być i powinno być ina-  
czej. Będzie zaś inaczej, o ile w każdym,  
z nas obudzi się duch natchniony Dalgasa.





VII.

## Stare, bardzo stare sprawy.

*Echa płockie i łomżyńskie* zamieścili ciekawy artykuł, mający na względzie przedewszystkim sprawy miejscowe, a obok tego otwierający perspektywę na dalszą, o wiele dalszą przestrzeń. Była Rada Administracyjna Królestwa zaliczyła jeszcze w r. 1843 Narew w granicach Królestwa do rzek splawnych; w sensie prawnoadministracyjnym oznaczało to, że rzeka ta ma być zupełnie wolna od wszelkich tam i t. zw. zakolów. Postanowienie to miało oczywiście na względzie interesy szerszych mas ludności, ale obrażało korzyści pewnych grup — pozostało tedy niewykonane. Mianowicie nadbrzeżne wsie z dawien dawna żyły z rabunkowego połowu ryb w Narwi i, aby ułatwić sobie zarobek,

„począwszy od wczesnej jesieni aż do puszczenia lodów na rzece, zwiężając jej koryto przez odpowiednio urządzone zakoly, zastawiają specjalnie przygotowane sieci, w które z powodu zwiększonego pędu wody wpada wszelka ryba“. Nic w tym dziwnego, człowiek bowiem najczęściej idzie drogą najmniejszego oporu. To tylko dziwne, że władze miejscowe — administracyjne, rzeczne i sądowe, pozwalały nie tyle na tamowanie biegu rzeki (prawie że żadnego splawu dotychczas nie było, więc i tamować nie było czego), ile na bezkarne, łupieżcze tępienie ryb. Dopiero skargi kupców leśnych, dla których splaw tratw stał się zupełnie niemożliwym, obudziły owe władze z letargu i z rozkazu gubernatora łomżyńskiego przystąpiono obecnie do wprowadzenia w życie przepisu, który blisko 60 lat istniał li tylko na papierze. Ale cóż będzie z rybami? Tych już żaden wyrok sądu w Tykocinie nie obudzi. Zawsze i wszędzie to samo. Naczelna zasada naszego życia społecznego — polityka niedołęstwa tka na każdym kroku ową cudną przedzę grzechów społecznych, za które pokutować będą następne, aż do dziesiątego włącznie, pokolenia. Że tam jakiś ciemny a cheiwy rybak — nędzarz przedewszystkim — w pocie czoła pracował nad wytę-



pieniem jednego ze źródeł bogactwa krajowego, to jest dla nas najzupełniej jasnym, a że rozumiemy to przestępstwo, tedy umiemy mu przebaczyć. Ale gdzie to były w tym czasie klasy uprzywilejowane, uczone, szlachetne? Czemu to my dziś dopiero dowiadujemy się o tej *prywatnej* gospodarce rybaków nadnarwiańskich, którzy w tak znany sposób załatwili się z własnością *publiczną*? Na te pytania jest jedna wymowna odpowiedź: milczenie.

VIII.

## Walka z pośrednictwem w handlu.

Pod wpływem kryzysu rolnego, coraz silniej i boleśniej uciskającego naszych rolników, powstały i u nas dążenia o charakterze organizacyjnym i współdzielczym w dziedzinie rolnictwa, najmniej nietylko u nas, ale i na całym świecie cywilizowanym, dostępnej dla haseł działalności kolektywnej. Już od lat wielu tłukły się po bezbarwnych szpaltach naszej prasy projekty tworzenia „syndykatów“, „spółek rolnych“, sklepów obywatelskich“, nie było ani jednego debiutu masowego rolników naszych, ani jednego zjazdu, na którymby dążenia podobne ujścia sobie nie znalazły. Hasła te—co więcej—ucieleśnienie swoje znajdują. Już cały szereg „syndykatów“ wyłonił się z mgławicowego bytowania.—



Hasła te nie są bynajmniej wytworem jedynie tylko jakiejś tragicznej konieczności i wypływającej z niej bolesnej niemocy, która szuka lekarstwa—byle jakiego, byle tylko prędkiego—na dolegliwości swoje.

Jednostka pozostawiona samej sobie nie daleko zająć może; tylko w społeczności ludzkiej człowiek całkowicie siły swoje rozwinąć może.—Instynkt społeczny sam przez się jest bardzo silny u człowieka; podniecany jeszcze bywa przez świadomość korzyści, jaka ze stowarzyszania się płynie. Współdziałaniu takich oto czynników zawdzięczają swój rozkwit stowarzyszenia wszelkiego rodzaju, które z żywiołową siłą w ostatnich rozwinęły się latach. Stowarzyszenie staje się środkiem, za pomocą którego można granice materialnego dobrobytu rozszerzyć. Może ono mianowicie zdobyć i osiągnąć to, czego jednostka zdobyć nie jest zdolna, a co dla jej szczęścia według jej mniemania jest potrzebne. Życzenia i pożądanja jednostek zespolone w stowarzyszeniu nabierają powagi i ciężkości, mogą wrażenie wywrzeć, gdzie należy.—Niema prawie dzisiaj klasy, któraby z tego zaprawdę w skutkach magicznego środka nie chciała korzystać. Zarówno robotnicy miejscy, jak rolnictwo korzystają z niego z wielką zręcznością; właściciele do-

mów po miastach łączą się w stowarzyszenia, a za niemi drogą naturalnego odbicia, lokatorzy: za stowarzyszeniami sprzedających idą stowarzyszenia spożywców; jak gdyby po deszczu rodzą się stowarzyszenia oszczędnościowe; stowarzyszenia nauczycieli, urzędników, lekarzy i rzemieślników, a wszystkie one mają na celu obronę ekonomicznych interesów.

Działalność organizacyjna i współdziałcza w sferze t. z. produkcji rolnej ma już przeszłość niejaką w Niemczech (skąd wspomniane wyżej gotowe wzory przeszły do nas) i na Zachodzie europejskim w ogóle, podczas gdy działalność podobna w sferze spożywczej (konsumcji) ma już bogatą, a niekiedy nawet podziw budzącą historję.

Gdy już z racji kryzysu rolnego kwestja ta nabiera u nas pierwszorzędnego znaczenia, jako zagadnienie aktualne, może będzie na czasie zaznaczyć ciekawsze jej strony. Praktyka zachodnio-europejska pozwala w tym wypadku szczerze czerpać ze swych potężnych źródeł.

Pominiemy w przeglądzie niniejszym rozmyślnie czasy starożytnego świata i epokę średniowieczną, rozpatrywanie bowiem takich odległych zjawisk nie posiada dla nas aktualnego znaczenia. Sam XIX wiek da nam zupełnie wystarczającą ilość ilustracji.



Tendencje anti-handlowe występują najjaśniej u Karola Fouriera. Odróżnia on zasadniczo produkcję od handlu, uważając pierwszą za pożyteczną, drugi za *zbyteczny* i nieuczciwy. Za grzechy handlu poczytuje Fourier, że prowadzi on do zbyt wygórowanych zysków pośredników, do kryzysów przemysłowych wskutek spekulacji kupieckiej, do pasorzytnictwa społecznego wskutek niepojętego przepelnienia zawodu, wreszcie do fałszerstwa artykułów żywności.

„W Paryżu, mówi F., nie znajdziesz filiżanki czystego mleka albo kieliszka czystej wódki. Na każdym kroku nieporządek, anarchja i jeśli sprawy pójdą dalej w tym samym kierunku, to nie pozostanie nic innego, jeno monopol państwowy. Ten ostatni nie mógłby zaprzętać się takimi drobnostkami; dawałby przynajmniej towary w stanie naturalnym, podczas gdy dzisiejszy handel wyklucza zupełnie wszystko co naturalne z obiegu, nad którym panuje“. Żadnych jednak wniosków pozytywnych z postawionej przez siebie zasady „upaństwowienia handlu“ Fourier nie wyprowadził.

W Anglii znakomity Robert Owen projektował tworzenie spółdzielczych gmin—(communities), liczących 3—4 tys. członków, którzyby sami wytwarzali potrzebne

dla ich wyżywienia produkty rolne i przemysłowe; wymianą nieużytkowanych a wyprodukowanych przedmiotów zajmować się miały zarządy gmin. Ustrój taki wykluczał wszelki handel prywatny—zupełnie jak i próba „Banku wymiany pracy“ (Labour exchange bank 1832—4) w Londynie. Bank ten miał płacić zgłaszającym się doń producentom „sprawiedliwą cenę“ za dostarczane produkty i dawać wzamian przedmioty, jakich ci żądali. Alieści prędko musiał likwidować, zgłaszano się bowiem z zaofiarowaniem ram do obrazów, szczypców do ognia i t. p., a żądano wzamian chleba i mięsa, których bank nie posiadał, nikt bowiem tych przedmiotów dostarczyć nie chciał.—Gdy jednak projekty znakomite Owena nie trafiały na grunt przygotowany i dla tego prędko żywot swój efemeryczny zakończyć musiały, to nie kończyła wraz z niemi życia myśl, która spoczywała w załączku wszystkich tych projektów i znalazła formę, w której przeobrażać się mogła, przystosowując się do ogólnych warunków cywilizacyjnych swej epoki. Tą formą były stowarzyszenia społeczne.

Było to nieco więcej niż 50 lat temu, kiedy 28 biednych tkaczy, którzy nazwali siebie „uczciwemi pjonierami z Rochda-



le“ założyli w zaułku m. Rochdale sklepik—mający bardzo niewiele kapitału: 28 funtów szterlingów, ale natomiast oparty na górach całych różnorodnych celów i iluzji. Cóż bo wszystko miał sklepik spełnić? Miał sprzedawać artykuły spożywcze i ubrania; miał budować i kupować domy dla członków; miał produkować towary takie, aby przy ich wytwarzaniu mogli znaleźć zajęcie ci z pośród członków, którzy byli chwilowo bez pracy; w tym samym celu miał on zakupywać ziemię: wreszcie miał w ostatecznym rezultacie doprowadzić do utworzenia „kolonji“, któraby opartą została na wspólnej produkcji i podziale bogactw. To głosiły wszystkie statuty, spisane przez odważnych i ożywionych wielką ideą „pionierów“.

Sklep został otwarty i oparty na zasadzie dywidendy. Zarząd oznacza ceny towarów w sprzedaży detalicznej i osiągnięty zysk dzieli między członków w stosunku do ich zakupów. Kupujący otrzymuje pokwitowanie na sumę dokonanego zakupu; co kwartał pokwitowania (zazwyczaj marki blaszane) wracają do sklepu i następuje podział zysku, który w stowarzyszeniach spożywczych angielskich wynosi zazwyczaj 3 do 5%. Każdy może zostać członkiem stowarzyszenia, opłacając jeden

szyling (pół rubla) wpisu. Rzecz naturalna, że wobec podobnego ustroju każdy członek zainteresowany jest w ciągłym powiększaniu się zastępów członków: obrót bowiem staje się w takim razie większym, koszty administracji—mniejszymi, czyli że... dywidenda wzrasta w tym samym stosunku.

Stowarzyszenia, których liczba wzrastała ciągle, dzięki kongresom zostały zbite w jedną zorganizowaną całość i powstały dwa znowu stowarzyszenia wielkohandlowe (jedno na Anglię, drugie na Szkocję), które dostarczają stowarzyszeniom pojedynczym towarów po cenach targowych i dzielą następnie otrzymane zyski z niemi w stosunku do ilości towarów, każdemu dostarczonych. Od r. 1872 poczęto towary sprowadzać z własnych fabryk, które wprowadzenie są oparte na zasadach współdzielczych, ale należą do stowarzyszeń spożywczych—mają przez te ostatnie wyznaczonych dyrektorów i płacą robotnikom według cen ustanowionych przez trade-uniony. Oto jest statystyka, bilans ostateczny działalności na tym polu: stowarzyszenia spożywcze angielskie liczą 1,200,000 członków, mają rocznego obrotu około 400 milion. rubli, dają 30 milionów rubli zysku, posiadają własny kapitał żelazny w ilości 120 milionów rubli i dają zajęcie—10,000 robotników na



własny rachunek. Chociaż tedy cyfra 10 tysięcy producentów nie jest wielką w porównaniu z całokształtem ludności produkującej angielskiej, to jednak są to w każdym razie wobec samej zasady „uspołecznienia“ cyfry wielkie i wiele do myślenia dające\*).

Odsunęliśmy się nieco od głównego tematu naszego, nie sądźmy jednak, aby to miało miejsce ze szkodą czytelnika. Ruch współdzielczy na polu spożycia doszedł już był mianowicie do znacznej potęgi, kiedy taki sam ruch na polu wytwórczości (rolnej) dopiero się poczyniał. I było to zupełnie naturalne: tam bowiem jednoczyli się robotnicy, klasy pracujące i to w tym czasie, kiedy jeszcze Europa o kryzysie rolnym nie wiedziała. — Tragiedja stosunków dopiero, jakie zapanowały na całym Zachodzie europejskim, a następnie i u nas z chwilą wybuchu krytycznego w sferze produkcji rolnej, trwającego aż do chwili obecnej (i niewiadomo kiedy się kończącego), powoła do szeregu ludzi niechętnie zazwyczaj łączących się w szeregi. Doświadczenie stowarzyszeń angielskich może być wobec tego nader pouczające dla

\*) Por. *Beatrice Potter* [obecnie pani Webb] *The cooperative Movement* [1890] *Schultze-Gaevernitz* *Zum Socialen Frieden* [tom II].

tych, którzy płonkę współdzielczości zaszcześcić chcą na dziełce szczerze indywidualistycznej produkcji rolnej, nam zaś rozpatrującym te rzeczy teoretycznie, odsłoni widnokrąg i wskaże, gdzie przypuszczalnie mogą być słupy graniczne, o które rodzący się ruch oprzeć się będzie musiał.

Pierwszy kongres, który w sierpniu 1893 r. zebrał w Londynie delegatów „współdzielczości“ w jej różnych objawach: delegatów stowarzyszeń spożywczych, produkcji przemysłowej, syndykatów rolnych, banków ludowych i kas wiejskich, na jednym z posiedzeń swoich obradował nad kwestją zastosowania współdzielczości w sferze stosunków rolnych. Kongres powziął rezolucję następującą: „Uznając straszną powagę kryzysu rolnego, który pożarem swym objął Europę i sympatyzując z próbami dokonywanymi w tym kierunku przez wszystkie klasy społeczne, których dochody albo praca robocza zależą od eksploatacji ziemi, kongres poleca ich uwadze metody współdzielcze, jako środek praktyczny, mający na celu usunięcie zła w teraźniejszości i sprowadzenie lepszej przyszłości“. W szczególności zaś kongres zaznaczył dobroczynną działalność stowarzyszeń zakupu i sprzedaży przetworów rolnych — ferm opartych na podziale zysków między



zajętymi w nich pracownikami—sklepów współdzielczych dla robotników wiejskich i włoscian, wreszcie stowarzyszeń drobnych fermerów\*). Jednocześnie prawie (20 października 1895 r.), kongres banków ludowych włoskich, obradujący w Bolonji, powziął postanowienie „przeprowadzenia badań i zdobycia ułatwień sprawozdawczych na punkcie zakładania stowarzyszeń współdzielczych rolnych“. Dwie te rezolucje, zapadłe na północy i na południu Europy w tożsamy prawie wyrazach—są niezmiernie charakterystyczne. Przejdźmy jednak z obłoków pożądań i postanowień na grunt rzeczywistości.

Anglja, która zdołała osiągnąć, jak wskazaliśmy wyżej, tak znakomite rezultaty na polu współdzielczości spożywczej, wskutek bezsprzecznie specjalnych przyczyn (ilość

\*) Zaznaczyć należy zjawienie się tych ostatnich, które noszą nazwę *Allotment Societies*, jako czysto angielską instytucję. Wobec niechęci wielkich właścicieli ziemskich do wydzierżawiania swych posiadłości drobnym dzierżawcom, niedawno prawo upoważniło rady reprezentacyjne hrabstwa, aby na żądanie pewnej liczby mieszkańców gminy zakupywały, albo brały w dzierżawę wielkie obszary ziemi należące do landlordów i oddawały je następnie od siebie w drobnych działkach robotnikom wiejskim, albo najmniej zamożnym właścicielom z pośród drobnych fermerów.

drobniejszych właścicieli rolnych jest tam zupełnie nieznaczna) dotychczas nie stworzyła nic ważnego na polu współdzielczości rolnej. Niedawno dopiero powstał tam w wielkim stylu pomyślany związek „The national agricultural Union.“ Związek ten zamierza rozpaść się na liczne sekcje rozrzucone po dzielnicach rolnych, któreby (przy zastosowaniu metod współdzielczych) ułatwiły drogę przetworom rolnym z fermy na rynek; działałyby one, jak kupiec—grosista, pobierając komisowe od sprzedaży i rozsyłając produkty rolne do agentów (kupców detalicznych), znajdujących się w Londynie i po rynkach prowincjonalnych.—W miejscowościach, gdzieby znajdowały się „sekcje,“ utworzyćby należało składy zwożonych z okolicy przetworów, któreby przewożone w znacznych ilościach pozwalały czynić oszczędności na przewozie kolejowym; możnaby również w takich miejscowościach pobudować fabryki masła, albo rzeźnie, któreby na własny rachunek przygotowywały według zapotrzebowań wielkich rynków masło, a soląc i preparując mięso, przewoziły je tam, gdzie za nie największą można osiągnąć cenę.

Danja największe i najszcześliwsze zdołała dotychczas na tym polu rezultaty.—

Małeńki kraj, liczący zaledwie na naszą



miarę około 3 milionów morgów łąk i pastwisk, zdołał w przeciągu trzydziestu kilku lat powiększyć inwentarz mleczny o 56%, produkcję masła na wywóz z czterech milionów kilogramów rocznie (w epoce 1865—1869) podnieść do wysokości 55 milionów, wartości 125 milionów franków. Te kolosalne rezultaty osiągnięto dzięki organizacji wytwórców, dzięki mleczarniom współdzielczym i związkom dla sprzedaży i wywozu produktów mlecznych. Związki, rozporządzając znakomitemi środkami materialnymi, umiały zastosować w produkcji metody naukowe, czyli t. z. „pasteuryzację mleka,” a dzięki nauce ofiarując spożywcom mleko bezwzględnie czyste, producenci duńscy pobijają współzawodników na rynkach międzynarodowych i sprzedają w Londynie blisko połowę ogólnej ilości przywożonego tam z kontynentu masła; do Paryża zaś pomimo Normandji — duńczycy posyłają 40 tysięcy kilogramów masła miesięcznie, zawstydzając ojczyznę Pasteur'a. Wszystko to zawdzięczają zrzeszeniom wytwórczym, sprzedawczym, wywozowym. Ażeby zrozumieć, jakich rozmiarów dosięgła w Danji idea współdzielcza, dość powiedzieć, że jedno tylko (istniejące od 1887 roku) „Stowarzyszenie rolników duńskich dla wywozu masła” grupuje koło sie-

bie 84 mleczarnie i w r. 1899 miało 12 i pół milionów franków obrotu.

Obok mleczarni istnieją jednakże stowarzyszenia o innym zakresie, zakupujące nawozy, nasiona, pasze, sprzedające zboże i t. d.; należy zaznaczyć stowarzyszenie istniejące w Veille (Jutlandja), eksportujące jaja do Wiel. Brytanji. — Od 1888 r. pod wpływem zakazu przywozu świń z Danji do Niemiec poczynają się tworzyć zakłady solenia wieprzowiny na zasadach współdzielczości; obecnie liczy Danja takich zakładów około 20-tu, które „spożywają” pół miliona sztuk nierogacizny rocznie. — Cała produkcja idzie na rynki angielskie, które skupują corocznie na sumę 55 milionów franków solonej wieprzowiny duńskiej.

Niemcy liczą dzisiaj 1,366 mleczarni współdzielczych, 1,071 stowarzyszeń rolnych, 240 stow. robót rolnych, 92 stow. posiadaczy winnic, 160 stow. ubezpieczeniowych i t. d. Program działalności stowarzyszeń tych powtarza wskazane powyżej wzory. Stowarzyszenia pracy rolnej — zakupują maszyny rolne (od najtańszych aż do młocarni parowych); łączą się z niemi w niektórych dzielnicach (Wiel. Ks. Badenkie, prowincje nadreńskie) stowarzyszenia zakupujące stadniki czystej krwi w celu poprawy rasy bydła i koni w danej okolicy.



Ruch rolniczo-współdzielczy w Szwajcarii i Włoszech rozwija się prawidłowo i specjalnych jakichkolwiek cech charakterystycznych nie wykazuje. Włochy, jak to zauważyli delegaci francuscy na wzmiankowanym powyżej kongresie w Bolonji \*), ofiarują zadziwiające swą różnorodnością usługi wytwórcy przy sprzedaży przetworów. Itak stowarzyszenia współdzielcze, wywożące wino, nie załowały wielkich kosztów na sprowadzenie z Bordeaux kilku najlepszych kiperów i t. d.; dzisiaj udało im się opanować w zupełności rynek Ameryki południowej.

Serbja, która dopiero od 1894 r. zaczęła zaprowadzać u siebie kasy zaliczkowe systemu Raiffeisena, liczy dzisiaj według wskazówek przywódcy całego ruchu, Michała Awramowicza, 6 syndykatów rolnych i 15 kas wiejskich.

W Belgji ruch na tym polu rozpoczął się w r. 1891, a w r. 1895 liczono już 65 mleczarni współdzielczych, 45 syndykatów rolnych wielkich, wielką ilość syndykatów właścicieli drobniejszych, cukrownię współdzielczą, na tych samych podstawach oparty młyn itd. Według najnowszych danych

\*) Por. artykuły p. I. Mabillean w *Journal des Débats* z 10. X. i 13. XI 1895 r.

urzędowych \*) na 1 stycznia 1900 r. liczono w Belgji—638 związków rolniczych (50,475 członków), 623 stowarzyszeń, czyli *syndykatów* dla zakupu nawozów sztucznych i innych materiałów pomocniczych w gospodarstwie rolnym (50,357 czł.), 229 stowarzyszeń kredytowych (kas Raiffeisena) przy udziale około 10,000 człon., wreszcie 309 *mleczarni liczących 34,205 członków i 87,382 krów*. Cyfry te świadczą dowodnie i doniosłe o samoradnym, kolosalnym pędzie rozwojowym sił społecznych do współudziału uzdolnionych, pod względem uspołecznienia dojrzałych. Warto opowiedzieć w kilku przynajmniej słowach, jak powstają i rozwijają się takie organizacje. W roku 1898 w kilku zapalonych głowach błysnęła myśl założenia w najbliższej dzielnicy Flandrji, w Zele, stowarzyszenia spożywczego *Słońce* („De Zon“). W Gandawie przyjęto to komiczne postanowienie—śmiejchem „Tych żebraków chcecie—rozwijać, zespolić! Daremne zabiegi! Po półrocznych wysiłkach zginiecie śmiercią bankrutów!“ „Wobec tego przysięgliśmy, że w Zele będziemy piekli chleb tylko na dziesięciu. —

\*) Exposé statistique de la situation des associations d'intérêt agricole pendant l'année 1899. (Bruksela 1900).



Mieliśmy wszystkiego 1000 franków kapitału zakładowego. Przyjaciele z miasta przyszli poniekąd z pomocą. Zdobyliśmy dwa wozy kosztem 100 fran., kupiliśmy starego, patrzarchalnego konia z uprzężą; za 10 fran. nabyliśmy psa.— Wozy pomalowaliśmy na zielono i zakryliśmy na nich zmarszczki starości. Tytułem darmym otrzymaliśmy 10 wozów mąki i beczkę rodzynek... Rodzynki zdobyły nam sympatię ludności. Rodzynek mianowicie używa ludność miejscowa dla dzieci zamiast masła zbyt drogiego w tej okolicy... Dzisiaj „Słońce“ wypieka 200 do 500 pudów chleba tygodniowo. Wozy nasze rozwożą chleb w promieniu trzech mil wokoło. Od 1 stycznia 1900 r. posiadamy własny sklep spożywczy; zbudowaliśmy już też dom ludowy, w którym znalazły pomieszczenie: sala do czytania, sekretarjat, kawiarnia, sala zabaw itd...“ Rzecz pewna, że nie zawsze zapoczątkowania uwieńczone bywają przez tak znakomite rezultaty. I na zagonie ogrodniczym nie wszystkie posiane nasiona wschodzą, nie jedną wzeszłą już roślinkę zwarzy mróz nielitościwy, niejedną podepcze nielitościwa, czy nierozumna noga.

We Francji w roku 1884-ym liczono zaledwie 5 syndykatów rolnych. O rozwoju

w latach następnych daje pojęcie najlepsze załączona tabliczka:

| Rok  | Ilość syndykatów rolnych | Ilość członków             |
|------|--------------------------|----------------------------|
| 1884 | 3                        | Ilość członków niewiadoma. |
| 1886 | 93                       |                            |
| 1888 | 463                      |                            |
| 1890 | 648                      | 234234                     |
| 1892 | 863                      | 313800                     |
| 1894 | 1092                     | 378750                     |
| 1896 | 1275                     | 423492                     |
| 1898 | 1824                     | 491692                     |

31 grudnia 1899 r. liczono we Francji 2133 syndykatów. Ilość członków przekroczyła już znacznie majestatyczną cyfrę pół miliona stowarzyszonych.— Takie są dane urzędowe. Zaś optymistycznie usposobiony historyk syndykatów francuzkich *Hr. de Rocquigny* chciałby ilość syndykatów podnieść do wysokości 2.500, ilość członków do 800 tysięcy \*).

W Galicji w ostatnich kilkunastu latach doskonale rozwinęły się „Kółka rolnicze“. Poczęte w rozmiarach minimalnych, ale owiane duchem prawdziwej miłości współbraci w siermiedze rozrosły się już dzisiaj na wcale potężny organizm ekonomiczny i

\*) Les syndicats agricoles et leur oeuvre 1900 str. 50.



wychowawczy. Ostatnio ogłoszone sprawozdanie (XVIII) za rok 1900, liczące 85 stron in 4<sup>o</sup>, daje obraz różnostronnej a w wielu kierunkach dobroczynnej nad wszelki wyraz i w skutki owocnej pracy. Z zakresu *spraw rolniczych* działalność „kółek rolniczych” — obejmowała „historje gospodarstw włościańskich,” „poła doświadczałne” (w 114 miejscowościach u 182 posiadaczy), pośrednictwo zakupna nasion pastewnych (za 27 tysięcy koron), przyczem udało się uzyskać znaczny rabat u hurtowników, a także poczynić znakomite ułatwienia przy dostawach kolejowych, pośrednictwo w nabywaniu nawozów sztucznych (przyczem małorolni włościanie zakupili 200 wagonów samych nawozów fosforowych; zarząd zakłada również wzorowe gnojarnie i udziela wszelkich informacji w tym kierunku, pośredniczy w nabywaniu maszyn za 9,900 koron).

W zakresie *handlu* działalność Kółek rolniczych obejmowała: zakładanie sklepów, lustracje handlowe (przyczem lustratorowie zwiedzili — 247 kółek i wykazali dla 142 sklepów obrót roczny w ilości 3 milionów koron; dalej zarząd prowadził w Czernichowie praktyczne kursa handlowe, mające na celu dostarczenie sklepom wiejskim teoretycznie i praktycznie wykształconych skle-

pikarzy; szkoła liczyła 24 uczniów; zarząd udzielał kółkom potrzebującym bezprocentowych pożyczek, propagował asekuracje od ognia i na życie; ogłosił kilka broszur gospodarskich i handlowych, a obok tego pośredniczył w nabywaniu przez kółka książek (1142 koron), wydawał wreszcie „Przewodnik kółek rolniczych” w 2,400 egzem. Budżet roczny T-wa kółek rolniczych wynosi około 50 tysięcy koron. — Subwencja Sejmu, wydziału krajowego, różnych innych instytucji publicznych wynosi około 40 tysięcy, wkładki członków zwyczajnych 1800 koron.

Jakie jednak mogą być granice tego ruchu? Czy możemy przewidzieć obszar łozyska, jakie sobie wyźłobi? Przy tak ogólnie postawionym pytaniu prawdopodobnie nie możemy. W każdym atoli razie pytanie to nie jest li tylko retoryczne: i choć ruch jest nazbyt młody, aby już wnioski tak dalekonośne wysnuwać zeń można było, to jednak można znaleźć w ruchu starszym od niego pewne analogje. A mianowicie dotyczy to ruchu stowarzyszeń spożywczych angielskich.

Fanatyczna ich wielbicielka, która zdołała przelać ogień swoich zachwytów w chłodniejsze serca profesorów niemieckich (Brentano, Schmoller), pani Potter-Webb, sama



nie bez smutku zaznacza, że rozwój potężny współdzielczy znaleźć sobie musi wreszcie naturalne granice w klasach bogatych z jednej, w licznych gromadkach przenośnej i niegospodarczej ludności (nieprzejrzane zastępy robotników niewyspecjalizowanych i nie zorganizowanych trwale) z drugiej strony, które nigdy do ruchu nie przystąpią. Wszak potężna cyfra 1,200,000 spożywców i mniej imponująca 10,000 wytwórców zorganizowanych współdzielczo—to tylko śmietanka klasy robotniczej angielskiej. Spokojnie rozumując, przypuścić można, że za lat 30-ci na przykład liczby te podwoją się, o ile to dotyczy spożywców, których będzie wtedy 2—2½ miliona, a zwiększą w czwórnasób, o ile to dotyczy wytwórców, t. j. że liczba robotników wytwarzających, (albo właściwie przetwarzających) wyniesie 40—50 000.

Stowarzyszenia rolniczo-współdzielcze są to stowarzyszenia wytwórców przede wszystkim. — Czyliż zauważone tutaj zjawisko w mniejszym stopniu ich dotyczyć będzie? Przeciwnie. Tutaj więcej jeszcze znajdziemy czynników, odpornie działających na hasło organizacji współdzielczej. Pomijając jednak to jedno ogniwo w ogólnym łańcuchu przyczyn hamujących albo hamować mających ruch współdzielczy w rolnictwie

(siły bowiem, które poza tym ogniwem organizować będzie trzeba, starczą jeszcze na wiele dziesięcioleci), pozostanie nam parę jeszcze czynników poważnych, które dziś już ocenić jesteśmy w stanie. Przede wszystkim organizacji współdzielczej rolników przeszkadzać będą się starały organizacje pośredników samych, działających na drodze pomiędzy wytwórcą a spożywcą. Dziś już w samym początku ruchu mówi się o pewnych ograniczeniach stowarzyszeń spożywczych w Niemczech i parę razy wnoszono już na stół parlamentu odpowiedni projekt prawa.

Projekt ten dotyczy wprowadzie głównie tylko stowarzyszeń spożywczych powstałych w łonie robotników (i w ogóle sfer) miejskich, wyklucza on bowiem z pod swego wpływu stowarzyszenia spożywcze wiejskie; z ducha jednak prawa tego wnosząc, — przypuścić można, że czyni to dla tego, iż stowarzyszenia wiejskie są mniej liczne i mniej się we znaki dają klasie pośredniczącej handlarzy. Z chwilą jednak kiedy i te stowarzyszenia rozwiną swą bogatą i dobroczynną działalność, prawo z łatwością będzie mogło rozszerzyć swą moc i na nie. To raz.

Poza tym jednak i same sfery rolnicze niekoniecznie dalekie zakreślają sobie widnokręgi walki z pośrednictwem. — Bardzo



poważny i znany z działalności swej na polu współdzielczości rolniczej niemiec von Mendel w swym referacie \*), wygłoszonym na XIII zjeździe stowarzyszenia, mającego na celu reformę podatkową i gospodarczą (Steuer-und Wirthschafts-Reformer) — nie walczy wcale z handlem, jako takim wogóle. Przeciwnie, uznaje on go teoretycznie narówni z wytwórczością i konsumpcją jako podwalinę bytu ekonomicznego państw cywilizowanych. Chodzi mu o „zwyrodnienia“ jeno handlu i to tylko o ile te objawiają się w sferze zakupu przedmiotów potrzebnych rolnikowi (nawozy, pasza itd.) — w dziedzinie sprzedaży przetworów rolnych, oraz w sferze ułatwiającej zdobycie potrzebnych kapitałów obrotowych. Trzeba przyznać, że to widnokrąg wcale znowu nie tak obszerny, aby mu przypisać było można jakiegokolwiek bądź potężne organizacyjne, uspołeczniające znaczenie.

Często w prasie agrarnej niemieckiej, a jako stąd importowaną frazeologję — i w naszej „ziemiańskiej“ spotykać można zdanie, odmawiające handlowi cech produkcji, jako takiej, właściwych. Powtarza się wte-

---

\*) Der Zwischenhandel, seine Bedeutung, seine Gefahren für die Produktion insbesondere für die Landwirthschaft.

dy stare komunały z pisarzy średniowiecznych czerpane; niemiec lubuje się w słowach Lutra: „byłoby to bardziej bosko zajmować się rolą, pięknym i uczciwym źródłem do życia, a zmniejszać szeregi kupców“, cytaty te jednak mało uczą, bo dotyczą epoki zupełnie odmiennej, z którą nasze stosunki ekonomiczne tylko w bardzo oddalonym znajdują się związku. Mniemamy przeto, że hasła wygłaszane przy tej sposobności mają charakter czysto polityczny, organizacyjny w sensie partji i dyscypliny parlamentarnej, przejrzysty dla tych, którzy je wygłaszają, niejasny dla sfer, które organizatorom są potrzebne — zrozumiały zresztą zupełnie w stosunkach politycznych niemieckich, u nas zupełnie (w tym sensie) niezrozumiały. Pan v. Mendel miał zresztą rację (mówimy tu ze stanowiska socjologii), nie odmawiając racji bytu handlowi w ogóle. Nie wchodząc tu bynajmniej w bliższe rozpatrzenie kwestji, zali handel nie należy do „zawodów produkcyjnych“, kwestja ta bowiem jest w teorii ekonomicznej po dziś dzień sporna, zaznamy tylko, że niema historyka kultury bez względu na to, z jakiej klasy społecznej pochodzi, jakie żywi przekonania i ideały, któryby nie widział w handlu (mówimy tu o przeszłości) jednego z niez-



miernie ważnych czynników cywilizacyjnych\*).

Zanim postawimy ostatnią w artykule niniejszym kropkę, zapoznamy czytelnika z jednym bardzo ciekawym objawem pośrednictwa handlowego.

Ekonomista rosyjski, pan Janzuł, objężdzał niedawno ważniejsze europejskie miasta handlowe w celu zbadania handlu wywozowego. Przy tej sposobności rzucił mu się w oczy ciekawy niezmiernie charakter pośredników w tej sferze handlowej. Oto nieco złożony ustrój tych instytucji w paru słowach. Każdy rodzaj towaru, przeznaczonego do eksportu przez port hamburski—przechodzi przez ręce dwu pośredników, a mianowicie: „agenta eksportowego“ i „eksportera.“ Pierwszy umieszcza towar w swoim „eksportowym składzie prób i modeli,“ gdzie go może zobaczyć i wybrać kupujący; „eksporter“—to drugie stadium handlu wywozowego; on zaznajamia kupującego (zazwyczaj pochodzącego z Ameryki Południowej, Afryki a nawet Australji) ze sprzedającym to jest z fabrykantem, albo jego przedstawicielem, t.j. wzmiankowanym wyżej agentem eksportowym. Pierwszy, eks-

\*) Ob. w pracy mojej *Prawo a Życie*, zeszyt 1. Warszawa, Wende 1900 r., rozdział I, str. 3.

porter, zna zazwyczaj dobrze „kupującego“: jego stan majątkowy, jego obyczaje, przyzwyczajenia, gusty i t. d.; drugi jest specjalistą na polu „towaru“, który rozumie do najdrobniejszych szczegółów: często bardzo fabrykant produkuje według jego wskazówek. Obaż znowu pośrednicy znają znakomicie zamorskie kraje, dokąd posyłają towar, znają ich języki: (hiszpański, portugalski i angielski), zwyczaje i uzupełniają się wzajem. Janzuł przytacza parę ilustracji tych stosunków.

Pewien agent prowadzi handel na wielką skalę porcelaną, wywożąc fabrykaty niemieckie do Południowej Ameryki; posiada tam we wszystkich krajach mnóstwo agentów, którzy z obowiązku muszą mu nadsyłać wszystkie nowości miejscowe w formie rysunków, fotografii itd.; jeżeli np. w Montevideo albo Venezueli narodzi się jakiś bohater albo będzie miał miejsce jakiś ważniejszy wypadek, pośrednik hamburski posiada po paru dniach odpowiednie wizerunki: tysiące wazonów, urn i dzbanów wypłynie niebawem z fabryk niemieckich za morze do Montevideo. Jeśli w Rio de Janeiro moda nakaże malować na porcelanie widoki albo ptactwo, agent przesyła niekiedy znakomitym malarzom



monachijskim dziesiątki fotografii brazylij-  
skich, a po upływie paru miesięcy brazy-  
lijczyk chętnie kupuje u przemysłnego niem-  
ca dzbanki i półmiski z „drogim“ mu wi-  
dokiem, albo z wizerunkiem specjalnie „u-  
kochanej“ papugi.

Drugi agent, posiadający wielki skład wy-  
robów metalowych zadziwił prof. Janzulla  
swojami wiadomościami z dziedziny etno-  
grafji. Pokazywał dziesiątki rodzajów mie-  
czów i pałaszy — z nadzwyczajną łatwością  
nazywał odpowiednie plemiona afrykańskie  
i amerykańskie, objaśniał, dla czego w jed-  
nym wypadku kosa do sprzątania trzciny  
cukrowej jest cienka i długa, a w drugim  
gruba i krótka, dla czego fabrykuje różne  
rodzaje wozów i wędzideł itd.

A teraz, poznawszy zupełnie nam obce  
formy pośrednictwa, gdzie te ostatnie tra-  
cą zda się zupełnie swój pierwotny chara-  
kter i nabierają cech sztuki i umiejętności  
zarazem, przenieśmy się myślą na rynek  
któregokolwiekbaż z naszych „wielkich  
miast eksportowych“ Pacanowa i Złodzie-  
szyna, Sochocina albo Pijawni w dzień tar-  
gowy, uprzytomnijmy sobie całkowitą, tyle  
ponętą scenerję tych tytanicznych zapa-  
sów podaży i popytu i przypomnijmy do-  
brze nam znane typy, wszędzie te same aż

do najdrobniejszego ściegu, pośredników i  
faktorów w krótszych lub dłuższych surdu-  
tach, bogatych w wiedzę, rozumiejących  
wszystkie języki i wszystkie nauki, praw-  
dziwych fanatycznych kapłanów swego za-  
wodu.....





IX.

## Biura ludowe w Niemczech.

Każdy, kto w jakikolwiek sposób stykał się z ludem, wie jak skromne i wątpliwe są jego pojęcia prawne. Każdy najdrobniejszy zatarg z pracodawcą, z sąsiadem, każda kontrowersja z administracją — stawia go w położeniu bez wyjścia, z którego ratunek w stosunkach ludowych prowadzi prosto w szpony pokątnego doradcy.

Już oddawna też, pod wpływem natarczywej potrzeby, powstawać zaczęły biura porad prawnych ludowych na Zachodzie, skąd od paru lat przedostały się i na grunt warszawski.

Życie europejskie płynie coraz szybciej; powstają coraz to nowe stosunki ekono-

miczno-prawne, nieznane dawniejszym czasom, a wraz z temi nowotworami społecznymi — nowe i zawilsze zagadnienia.

Tak np. z chwilą powołania do życia prawa o obowiązkowym ubezpieczeniu państwowym robotników w Niemczech, porady stały się dla robotników bardzo naglące. Ubezpieczenie na wypadek nieszczęść przy pracy, starości i choroby stwarzają dla nieprzygotowanego robotnika całe szeregi niekiedy bardzo złożonych kwestji prawnych, których opanować sam nie potrafi. Prawda, że adwokat przysięgły znalazłby z łatwością lekarstwo na te niedomagania. Adwokaci jednak kosztują wiele — a kieszeń robotnika jest i wązka i płytka.

W takich warunkach, chcąc ratować biedaka ze szponów drapieżnych karczemnego jurysty, ludzie dobrej woli tworzyć zaczęli biura ludowe.

W r. 1889 komisja społeczna zjazdu przedstawicieli stowarzyszeń katolickich, który odbył się w Bochum (Westfalja) uznała „konieczność stworzenia w środowiskach przemysłowych instytucji, któreby udzielały robotnikom rad i informacji w sprawach, dotyczących obrony ich praw.“

W następnym już roku powstaje w Essen (stolicy „królestwa“ żelaznego Kruppa) pierwsze biuro ludowe. W pierwszym za-



raz roku istnienia swego udzieliło ono 1528 porad i informacji; w następnym — 3569, w 1892—7845, w 1893—11071, w 1894—14194 itd.

Tak znakomite rezultaty sprawiły, że za przykładem Essen poszły inne miasta: biura ludowe powstają w Akwizgranie, Bochum, Kolonji, Dortmundzie, Düsseldorfie i w wielu innych miastach, rozwijając się wszędzie znakomicie.

Organizacja tych biur jest następująca. Na czele instytucji stoi komitet działający pod wodzą jednego z przedstawicieli miejscowego duchowieństwa, a składający się z przedstawicieli miejscowych stowarzyszeń robotniczych.

Osoby, zapisujące się w poczet abonentów biura, wnoszą wpisowego od 50 fen.—1 marki i taką samą sumę corocznie. Płacący rocznie 3 i więcej marek noszą tytuł członków honorowych. Stowarzyszenia należące do biura płacą 10 marek rocznie, albo też za każdego z członków swoich 10 fenigów. Robotnicy nie będący stalemi abonentami biura płacą za usną poradę 25—50 fen., a za piśmienną po 25 fen. za każdą stronicę dokumentu.

Biurem zarządza prawnik, niekoniecznie uczony, ale taki, który posiada duże doświadczenie praktyczne. Najczęściej wy-

bierają członkowie komitetu na te posady starszych dependentów adwokackich, płaca roczna wynosi 1500—2000 marek.

Najczęściej zapytywane są biura w kwestjach ubezpieczeniowych, następnie idzie prawodawstwo w całej rozciągłości, wreszcie inne ważne kwestje z dziedziny opłaty podatków, służby wojskowej, zapomóg opieki nad sierotami i t. d. Rządziej proszą petenci o poradę w kwestjach prawa cywilnego i za wyjątkiem jednego, żadne biuro nie przyjmuje na siebie prowadzenia sprawy cywilnej.

Biura ludowe od samego początku istnienia pokrywały wydatki swoje z opłat członków. Biuro w Essen przynosi nawet dość znaczny stosunkowo dochód czysty. Zaufanie robotników do doradców rośnie coraz bardziej. Powołane już biuro w Essen oblicza np., że oszczędziło już członkom swoim około 80 tysięcy marek! Na podobieństwo katolickich powstało już kilka biur ludowych, zorganizowanych przez duchowieństwo ewangelickie. Jednocześnie stowarzyszenia robotnicze (bez charakteru wyznaniowego) powołały do życia około trzydziestu „sekretarjatów robotniczych” czyniących zadosyć tym samym potrzebom. Różnica sprowadza się tylko do tego, iż porady są zupełnie bezpłatne (ogół wydat-



ków 2,560 marek rocznie). W pierwszym roku istnienia udzielono 6,800 porad.

W czasie najbliższym magistraty różnych miast niemieckich poszły za przykładem tych znakomitych pionierów i zaczęły stwarzać instytucje podobne. Magistrat miasta Ham w Westfalji dał tu początek. Zaraz jednak po uchwaleniu w radzie miejskiej wniosku tej treści radcowie odstąpili praw swoich osobie prywatnej, zapewniwszy jej stały dochód, niemniejszy od 1,800 marek rocznie i zobowiązawszy się nie brać od szukających porad więcej ponad zatwierdzoną przez magistrat taksę. Taksa ta zresztą wzorowana jest na przytoczonej powyżej taksie biur ludowych. Czynności tej osoby podlegają oczywiście kontroli komisji składającej się z dwu radców miejskich, dwu przedsiębiorców i dwu robotników.

W taki oto praktyczny i dla najbiedniejszych sfer dostępny sposób walczą rozumni Niemcy z ciemnotą, chciwością i nieuczciwością pokątnych doradców.

Przykład ten godnym jest ze wszech miar naśladowania.



X.

## O pełnomocnikach gminnych.

Znany wam już pisarz, autor doskonałej książeczki „O kupnie gruntów“, wydał obecnie nową pracę, o której właśnie chcę wam opowiedzieć\*). Wszyscy na wsi wiemy ze słyszenia, kto to są pełnomocnicy gminni. Nieraz się zdarza, że słyszymy, jak w kancelarji gminnej rozpisują na tych urzędników wybory. Ale mało kto na nich zwraca uwagę, byle kogo wybieramy na na tę godność i nie wiele myślimy o tym, czy ci, których zaufaniem darzymy, zasługują na nie. Najczęściej pochodzi to stąd, że mało kto wie, czym się właściwie pełnomocnicy gminni zajmować winni, oraz

\*) Stefan Holewiński: O pełnomocnikach gminnych. Warszawa 1902 r. Szkic niniejszy drukowany był pierwotnie w „Zorzy“.



jaki jest zakres ich obowiązków i praw. Jest to błąd wielki, na którym cała gmina dużo traci i trzeba wszystko uczynić, co w naszej jest mocy, aby go naprawić.

A zdaje się, że wystarczy na to tylko trochę uwagi i dobrej woli, aby zle wypełnić. Przedewszystkim bowiem zle polega na tym, że my, gminiacy, nie znamy prawie zupełnie praw, które nam przysługują. W obejściu gospodarskim nikt z nas ziemi odłogiem nie zostawi, przeciwnie, nieraz jedną, drugą skibą worzemy się w pole sąsiada, albo, co łatwiej, w publiczną drogę, aby tylko tej naszej ziemi żywicielki było więcej i aby nie leżała wiecznym, jałowym ugiorem. Ale prawa swego to my nie rozumiemy nigdy, bo to nie jest rzecz, której się zmysłami dotknąć można, bo to nie jest krowa, wóz, ul, snop zboża; kiedy o takie rzeczy chodzi, to my doskonale umiemy ich „bronić“, a kiedy nam kto kłonicę zabierze albo snopek pszenicy z naszego na swoje pole przeniesie, wtedy wiemy gdzie „praw“ szukać i mało jest dziś ludzi na wsi, którzyby nie wiedzieli, jak tego „prawa“ dochodzić można. Rzecz się ma inaczej, jeżeli chodzi o prawo wogóle, to jest, o takie prawo, które nie jest własnością moją, nie stanowi „rzeczy“ i nie jest prawem ani Wojtka, ani Jędrusia, ani

Hieronima, jeno prawem wszystkich ludzi gminę zamieszkujących, o takie prawa, niestety, mało kto się troszczy, bo z tej troski nie widać odrazu płynącej korzyści. Otóż tak jest i z prawem pełnomocników w gminie. Nie otrzymują oni żadnej pensji i nie mają na pozór żadnej władzy. Co innego wójt, albo kasjer! Wójt ma przedewszystkim w oczach każdego gminiaka wielką pensję, posiada wielką władzę, jest pierwszą figurą w gminie, i od tego przepychu aż ćmi się w oczach każdemu, kto chciałby wójtem zostać. Kasjer niema wprawdzie pensji, ale ma dochody, w końcu każdego roku z ogólnych dochodów kasy gminnej wydzielane, przytym ma poniekąd władzę, bo od niego zależy komu przyznać pożyczkę, a komu odmówić, a że każdemu pieniądz bywa potrzebny, tedy umie taki tę władzę kasjerową ocenić,

Ale co innego pełnomocnik. Ten nie dostaje, żadnej władzy niema, niby to — tak myślą na wsi — ma rachunki przegłądać, więc podpisuje to, co mu sekretarz do podpisu daje; za nic go mają w kancelarji, a więc i poza kancelarją. Taki pogląd na urząd pełnomocników bardzo jest rozpowszechniony, a mimo to jest on najzupełniej mylny, i jeżeli w wielu gminach dzieją się nieporządki, jeżeli tu



i ówdzie wójt gminę okradł, albo pisarz wójta na żebraka wyprowadził, to dzieje się to w dużej części z winy pełnomocników, którzy obowiązków swoich, z prawa im przysługujących, nie wypełniali należycie. A nie wypełniali ich dlatego, że najczęściej ani obowiązków, ani praw swoich nie znali.

Chodzi tedy o to nasamprzód, iżby te prawa i obowiązki poznać.

Jakież one są?

Zakres obowiązków i czynności pełnomocników gminnych jest bardzo obszerny. Wszystkie niemal sprawy gminne mają z zasady prawa podlegać ich czujnej opiece. W ich rękach złożony został dozór nad biegiem całego zarządu gminnego.

Przedewszystkim pełnomocnicy, wspólnie z wójtem i sołtysami, winni dokonywać podziału między mieszkańcami gminy podatków i ciężarów gminnych oraz skarbowych w tym razie, jeśli zebranie gminne, mimo dwukrotnego wezwania ze strony wójta, podziału tego nie dokona. Podział ten polegać winien na ustaleniu, jakie podatki się należą, wiele morgów w gminie do opłaty podatków i ciężarów pociągnąć wypada i ile z każdego morga płacić się należy. Łącznie z tą sprawą pełnomocnicy obowiązani są sprawdzać kasę, dokonywać re-

wizji rachunków, co znaczy, że powinni co najmniej tak samo dobrze, jeżeli nie lepiej rozumieć się na nich, jak ten, kto je pierwszy układał. Ale nietylko powinien wobec tego umieć liczyć. Rachunki te układane są według pewnych reguł; musi tedy znać się na nich pełnomocnik, czyli posiadać znajomość rachunkowości. Musi być tak biegłym w rachunkach, jak ten, kto rachunki gminne prowadzi. Każdą pozycję musi przedewszystkiem sprawdzić z etatem, skontrolować i odpowiedni dowód (kwit) odszukać. Ale nietylko na tym sprawdzaniu polegać może robota pełnomocnika. Jeżeli podane są koszty odnowienia budynku gminnego, to pełnomocnik winien sprawdzić, czy cena nie była wygórowana, czy pieniądze rzeczywiście na dany cel obrócone zostały i t. d.

Najobszerniejsze prawa i obowiązki pełnomocników pozostały nam jeszcze do wyliczenia. Oto pełnomocnik jest doradcą wójta w sprawach gminnych, a jako taki, ileż on zdziałać może! Zanim opowiemy poszczególnie o tych czynnościach, należy zaznaczyć wogóle, że wszystkie sprawy, które w jakikolwiek sposób dotyczą zarządu i interesów majątkowych gminy oraz dobrobytu i porządku społecznego, winny być wedle zasady prawa załatwiane



przez wójta przy udziale i za poradą pełnomocników. Zobaczmy, czym oto zajmować się winien a może pełnomocnik.

Jeżeli w obrębie gminy zaczynają działać ajenci emigracyjni, bałamucący niepotrzebnie ludzi, to pełnomocnik może wiele zrobić, aby i ludzi oświecić i tę podstępna działalność ukrócić. Wiele dobrego może uczynić pełnomocnik, gdy chodzi o przedsięwzięcie środków przeciw pożarom, zarazom bydła i temu podobnym klęskom. Do obowiązków policyjnych zarządu gminnego należy przestrzeganie, aby ostrożnie z ogniem się obchodzono, nie palono tytoniu w bliskości zabudowań; należy tutaj także kontrolowanie narzędzi ogniowych. Jednorazowe sprawdzenie i podanie na karę nie wystarczy, trzeba ciągle ludzi pouczać i dawać im dobry przykład — nikt lepiej tego nie potrafi, jak pełnomocnicy. Mogą dalej wiele uczynić dobrego w sprawie utrzymania dróg i mostów, ukróćając istniejące nadużycia, kontrolując ceny i materiały, wreszcie umiejętnie kierując szarwarkiem w naturze. Dalej powinien czuwać nad tym, aby sołtys i inne urzędowe w gminie osoby należycie pełnili swoje obowiązki. Tutaj właśnie należy sprawa mianowania pisarzy gminnych. Ustawa (art. 246) wyraźnie nakazuje, aby pisarzy obierało albo

zebranie gminne, albo też mianował ich wójt za porozumieniem się z sołtysami i pełnomocnikami. Przytym dodać należy, że ten sposób mianowania obowiązuje wówczas, gdy zebranie gminne dla jakichkolwiek powodów wyboru pisarza nie dokona. Wiemy doskonale, że ten przepis Najwyższego Ukazu z roku 1864 nie jest wcale przestrzegany. Tymczasem zaś prawodawca rozumiał doskonale, dlaczego przepis ten umieścił. Chodzi mianowicie o to, że wybór pisarza jest dla spraw gminnych rzeczą wielkiej wagi. Pisarz jest stałym urzędnikiem gminy, on załatwia wszystkie czynności bieżące, prowadzi księgi gminne i protokoły zebrań gminnych, on ma ciągłą styczność z interesantami, on mieszka w kancelarii gminnej i jest najlepiej poinformowany o biegu spraw. Jest nie tylko najlepszym w urzędzie gminnym urzędnikiem, ale i buchalterem, rachmistrzem i prawnikiem. Najczęściej jest on mędrszy od wójta — ma nad nim przewagę, a wtedy staje się panem samowładnym zarządu gminnego. Od jego tedy *wartości moralnej* zależeć będzie ten zarząd.

Ale nie na tym koniec.

Zarząd gminą, o ile ma być dobrym, zależeć także będzie od jego łączności z pozostałymi urzędnikami samorządu gmin-



nego. O ile ta łączność będzie zupełna, całkowita, o ile tych wszystkich zarządzających sprawami gminy ludzi łączyć będzie jedno uczucie szczere i serdeczne, o ile oni się wzajem wspierać będą w swej służbie dla dobra ogółu—o tyle zarząd będzie pomyślny. Jeżeli zaś ta łączność ma być rzeczywista, to musi być oparta na blizkim stosunku, na dokładnej znajomości osób, na zupełnym zaufaniu.

Taki jest zakres obowiązków pełnomocników gminnych. Jak widzimy zakres ogromny; pełnomocnik, któryby chciał do prawdy, ze szczerego serca i z rzetelnego umysłu służyć gminie na stanowisku pełnomocnika—miałby roboty tyle, że nawet ledwieby jej mógł podolać. Łatwo każdy czytelnik zauważy, że ta robota jest niezmiernie odpowiedzialna. To też gmina powinna się dobrze namyślać, kogo na takie odpowiedzialne stanowiska wybierać należy. Musi to być człowiek nie tylko uczciwy, ale i rozumny, światły i wykształcony, taki, który ma swoje zdanie, wreszcie taki, który będzie miał trochę czasu wolnego, który niezupełnie będzie musiał oddawać się pracy na chleb. Widzieliśmy bowiem, że robota pełnomocnika wymaga dużo czasu i wiele zachodu. Dlatego nie powinien podawać się na pełno-

mocnika ten, kto tylko nie wiele temu zajęciu czasu mógłby udzielić. Że istotnie rola pełnomocnika jest bardzo ważna, o tym nie zapomniano w ustawie. Wójt i sołtys wybrani przez gminę i wieś mogą być niezatwierdzeni przez władzę wyższą; pełnomocnicy nie potrzebują żadnego zatwierdzenia przez naczelnika powiatu i od razu po wyborze rozpoczynają urzędowanie.

Wreszcie pozostaje nam jeszcze do opowiedzenia, kogo można wybierać na pełnomocnika. A więc co rok gmina ma prawo na rok jeden wybrać dwu pełnomocników. Wybierać ich można spośród osób posiadających w gminie własność nieruchomą. Ilość posiadanej ziemi nie wchodzi tu w rachubę. Więc może się zdarzyć, że gmina wybiera na pełnomocnika osobę, która nie należy do zebrania gminnego. Bo do zebrania gminnego należą właściciele, posiadający nie mniej jak trzy morgi gruntu — a pełnomocnik może jeszcze mniej posiadać. Nie mogą być pełnomocnikami tak samo, jak nie mogą pełnić żadnych wogóle urzędów z wyboru: niechrześcijanie, osoby nie mające 25 lat wieku, osoby pozostające jeszcze pod opieką lub kuratelą, osoby, które nie przemieszkały w gminie przynajmniej lat trzech, osoby skazane na kary, pociągające za sobą pozbawienie prawa



piastowania urzędów publicznych wogóle lub pozostające jeszcze pod śledztwem albo dozorem policyjnym.

Pełnomocnik może się sam zrzec hono-ru być wybranym w następujących wypadkach: jeżeli ma lat 60 wieku, jeżeli był już raz pełnomocnikiem, jeżeli jest ciężko chory, i jeżeli z powodu stałego swego zajęcia nie może ciągle przebywać w gminie. Pełnomocnicy wolni są przez czas pełnienia obowiązków od wszelkich powinności w naturze, a więc podwód, szarwarku. Wiadomo, że to na wsi jest wielkim ciężarem i że kto wolny jest od podwód, ten zyskuje na tym przywileju tyle, że może uważać, iż otrzymuje za pełnienie służby pewną stałą pensję. W ciągu roku, na który pełnomocnik został wybrany, jest on *niewzruszalny*, to jest, może być usunięty jedynie w tym wypadku, jeżeli popełnił jakie ogólne przestępstwo karne, albo jeżeli wyrok sądowy orzekł jego winę w zakresie służbowym, jako dowiedzioną. W takim wypadku rząd gubernjalny orzeka, czy należy pełnomocnika oddać pod sąd. Sądzić go może sąd okręgowy i izba sądowa i wtedy dopiero, kiedy zapadnie wyrok skazujący pełnomocnika, musi on ustąpić z zajmowanego stanowiska. Rzecz jasna, że nie może on dłużej zasługiwać na zaufanie wyborców.

Opowiedzieliśmy, czym mają być pełnomocnicy gminni, a teraz każdy łatwo zrozumie, że dzisiejszy stan rzeczy jest bardzo zły i że nie odpowiada wcale temu, który wypływa z ustawy. My sami winni jesteśmy, że jest tak a nie inaczej. Nie dbamy o nasze sprawy ogólne! Przyjmujemy na wiarę każde słowo, które nam powiedzą, kiedy mamy wybierać na zebraniu gminnym urzędników naszych, nie namyślamy się długo i niech tylko który śmielszy krzyknie głośno czyjekolwiek nazwisko, wnet powtarzamy je, nie rozumiejąc wcale, że często pod sobą tylko dolki kopujemy. Tak przywykliśmy do tego, że za nas ktoś inny wszelką robotę wykonywa, że nie umiemy dać sobie rady wtedy, gdy sami o losie swoim stanowią mamy. Głupi są wyborcy, którzy na uchwałę przychodzą, i tu dopiero dowiadują się, że trzeba wybrać pełnomocnika. Skąd wziąć czas wtedy, aby dobrze obmyśleć, kto zasługuje na to, aby go takim zaufaniem obdarzyć?

Wcześniej trzeba takie sprawy załatwiać, a tylokrotnie chodząc do kościoła, na targi, na odpusty — o tych rzeczach właśnie rozprawiać tu pilnie trzeba. Wtedy i wybór będzie trafny, a kiedy obierać będziemy mądrych i uczciwych, to i pełnomocnicy przestaną być tym, czym są dzisiaj,



najczęściej—śmiesznymi figurami, które ćwiczą się co czas jakiś w pięknym pisaniu, podpisując „z esami i floresami“ nazwiska swoje pod każdym papierem, który im w kancelarji gminnej podadzą. A wtedy i ustawa będzie wykonywana. Mądry i uczciwy pełnomocnik, dumny z zaufania, jakim go gmina obdarzyła, nie pozwoli praw swoich uszczuplać i potrafi zmusić do uszanowania prawa. Gdyż praw swoich bronić trzeba, a im ludzie będą mędrsi, tym lepiej rozumieć będą, jaka to wielka i święta rzecz praw swoich bronić.



## Kogo wybierać na wójta?\*)

~~~~~

Już na jakie pół roku przed upływem trzechlecia zaczynają się w gminie przygotowania do obioru nowego wójta. — Jak grzyby po deszczu rodzą się przeróżne kandydatury. Każda niemal wieś z liczby wielu a wielu wsi, jedną gminę stanowiących, daje po jednym—są zaś takie, które po dwóch i po trzech wydają kandydatów. Karczmarze zacierają ręce z radości, gdyż takie wybory oznaczają przedewszystkim... znakomity odbył na wszelkie gorące trunki. Kto zamożniejszy, posiada parę koni i cybularkę, zaczyna objeżdżać sąsiadów bliższych z dobrem słowem na ustach i dobrze wypełnioną flaszką w kieszeni. Kto biedniejszy, ale zawsze nie goły, bo taki kandydatury swojej poprzeć nie potrafi —

*) Z kalendarza *Gospodarz Polski* wydanego na r. 1903 przez Miecz. Brzezińskiego (Warszawa).

nie jeździ, tylko wyczekuje sposobności: w dzień targowy w miasteczku na jarmarku, na odpuszcie i gdzie popadnie „uwodzi“ kogo może — i głosy na siebie gromadzi. W każdej gminie jest cały szereg pijaków, którzy każdemu gotowi są kadzić kandydatowi. W jednym tygodniu wołają na jednego, w drugim na drugiego: cóż ich może obchodzić taki, czy inny wójt, gmina, sprawa publiczna? w gruncie rzeczy obchodzi ich tylko flaszka i wódka w niej się znajdująca. Mniejsza o rękę, dzięki której spływa ona do gardzieli, aby tylko płynęła... Oczywiście, że nie koniec na takich libacjach. Agitując i rozsyłając po gminie namawiaczy i naganiaczy, człowiek mimowoli nabiera przekonania o sobie; pycha wstępuje do serca, zaczyna myśleć o sobie, jako o istocie wyższej i lepszej. Przyszła wójcina przemyśliwa o tem, skąd dostać kapelusza z ptasim gniazdem pośrodku i peleryny, ażeby się ubrać do kościoła na podobieństwo pani sekretarzowej; przyszły wójt przymierza na targach u tandeciarzy wszelkiego gatunku „tuziurki“ i stara się mówić zamiast co — „czo“, zamiast sobie — „szobie“, zamiast szosa „sosza.“ Ma to być z pańska, tak niby-to mówi „ślachta“ oraz dworskie ekonomy... Współzawodnictwo staje się żywym i gorącym; gdyby to gos-

podarzy wyborców rzeczywiście obchodziło, byłoby istotnie „gorąco“ i nie obeszło by się bez szturchańców. Ale, że to w ogóle nikogo nie obchodzi prócz darmozjadów, krzykaczy i pozostałych współzawodników, tedy kończy się przedwstępna wojna wyborcza na gęstej obmowie wzajemnej kandydatów.

Ale to właśnie źle, bardzo źle, że rozumniejsi gospodarze z najzupełniejszą obojętnością wyczekują wyborów. Nietylko, że uchylają się jak mogą od tych honorów, ale często bezmyślnie zupełnie głosy swoje oddają. Zamiast tego, aby wszelkimi siłami starać się oddalać od ołtarza sprawy publicznej ludzi niegodnych zaufania społecznego, ludzi brudnych, czy zbrudzonych, w mętnej wodzie łowiących ryby — kupujących głosy za kieliszki wódki, o których ktoś powiedział niegdyś, że: „nie tyle a tyle mają głosów za sobą, ale tyle a tyle kieliszków wódki“; zamiast tego, aby wszelkimi siłami starali się obsadzać urzędy ludźmi odpowiedniami — ci rozumniejsi gospodarze zamieniają się w głuchoniemych: nie słyszą, nie mówią; gdyby nie to, że nieobecność na uchwale można karą przypłacić, większa część napewno by w dzień wyborów została w domu. Potym tylko, gdy już wszystko skończone, gdy nie najlepszy

zdobędzie najwyższy urząd w gminie, ale taki, co głośno krzyczy, a kłania się na prawo i na lewo, w górę i na dół, co potrafi mieć dwa sumienia, dwie wiary, co ni by wybrany, aby myślał o ogóle, o społeczności, myśli tylko o sobie, wtedy dopiero zaczyna się żalność, i skargi płyną, i złorzeczenia się sypią, niejedna łza, zdarzyć się może, popłynie...

Trudno tak odrazu powiedzieć, kogo należy na wójta wybierać. Można tylko ogólną zasadę postawić, bardzo ogólną, która znów w poszczególnych wypadkach cokolwiek się zmienić musi.

Musi to być przede wszystkim mądry — uczciwy i dobry człowiek, taki, który wie, po co siedzi na wysokim wójtowskim stolcu. Nie darmo on wszak bywa *jeden na gminę* (Ukaz Najwyższy art. 11), do niego należy *pierwszeństwo na zebraniach gminnych* (art. 15), on jest *bezpośrednim zwierzchnikiem administracji gminnej* (art. 94), *wykonywa nadzór nad sołtysami, nad pisarzem* (art. 23), może *za pewne wykroczenia ich karać* (art. 94), może w porozumieniu z pełnomocnikami *najmować pisarzy gminnych* (a. 77) i t. d. Tylko mądry człowiek potrafi z władzy sobie nadanej korzystać, zmusić innych, nietylko zresztą podwładnych sobie do poszanowania i wykonywa-

nia prawa. Tylko uczciwy i dobry człowiek nie będzie władzy swojej nadużywał dla swoich osobistych celów.

Musi to być człowiek niezbyt młody, bo tacy bywają niewyrobieni, często lekko-myślni, łatwo poddają się wpływowi postronnym, ale i niezbyt stary, tacy bowiem bywają mało sprężysti, łatwo ustępują naciskowi na nich wywieranemu. Musi to być w średnich najlepiej latach, zahartowany przez życie, doświadczony, łatwo poznający się na wartości otaczających go ludzi.

Dalej powinien to być człowiek jako tako wykształcony, nie w tym sensie, jak to się zwykle rozumie, to znaczy, aby umiał w śmiertelnym pocie „nagryzmolić” swoje nazwisko i czytać „na druku”, ale człowiek, który skończył jakąś przyzwoitą szkołę, czyta gazetę, wie, co się w świecie dzieje, co to jest prawo i gdzie go szukać, jakie sam ma obowiązki, jakie gmina ma prawa i jak tych praw bronić należy. Nie ktokolwiek bądź w gminie powinien stać nad wójtem, ale on, który z prawa jest pierwszym, powinien rzeczywiście w całym urzędzie gminnym być najmądrszym, najuczciwszym i najlepszym. Tylko taki bowiem wójt potrafi budzić dla siebie szacunek zarówno u przełożonych z mocy prawa, jak i u wyborców swoich; takiego tylko wójta

żądania słuszne będą wykonywane zarówno w wyższych zarządach krajowych, jak i w obrębie gminy przez gminiaków.

Popatrzmy na większą część dzisiejszych wójtów. Takie to wszystko, jak tak zwane uczone lalki, które bawią się dzieci zamożniejszych rodziców: w środku trociny, z wierzchu przystrojony i pomalowany kawał drewna czy porcelany, a jak *naciśnąć* otwiera ślepią i skrzeczy: „ma-ma”. Podarować dziecku taką lalkę—w pierwszych dniach bawi je ta dziwna sprężyna, co z trocin głos potrafi wykrzesać. Ale po kilku dniach znudzone jednostajnością ruchu i powolnością zabawki, rzuca je: lalka pobrudzona wala się po kątach, nos oddarty, falbanki stargane, jedno oko wybite. Żadnego przywiązania, żadnego poszanowania! Tak też bywa i z wójtami: najczęściej lalki malowane, nieświadomi i powolni—za naciśnięciem sprężyny wydają ciągle te same dźwięki: nie mają żadnej powagi w gminie, każdy ma ich za nic.

Wójt ma straszną moc zajęcia. Gdyby rzeczywiście miał wykonywać należycie to wszystko, co mu nakazuje *Ustawa gminna*—musiałby od rana do nocy siedzieć w urzędzie gminnym, doglądać pisarzy, rozmawiać z interesantami, albo jeździć w sprawach gminy. Dziś on najczęściej nic nie

robi, bo nic nie rozumie a nie rozumiejąc, boi się narażać na pośmiewisko podwładnych i mileczy. Przygląda się tylko, jak inni ćwiczą się w pięknym pisaniu; od czasu do czasu na życzenie pisarza wyjmując z kieszeni pieczętę i przykłada ją.... Poza tym często wcale do gminy nie przyjeżdża (siew wiosenny, siew jesienny, żniwa, kopanie kartofli)—chyba, gdy musi. I dlatego na wójtów nie należy wybierać ludzi biednych, a takich tylko, którym zajmowanie się sprawami publicznymi nie czyni żadnego uszczerbku w majątku, którzy, posiadając gospodarstwo, potrafią dać się tam zastąpić, nie potrzebują szukać i uganiać się za kawałkiem chleba, a natomiast cały swój czas oddadzą na usługi gminy.

Wójt w myśl *Ukazu* przy obejmowaniu urzędowania składa przysięgę. Zwykle to jest czysta formalność—spędza się do powiatu moc wybranych na różne urzędy i tam jeden za drugim powtarzają, bełkocząc, słowa, których nie rozumieją. Ale rzeczywiście—każdy wójt powinien po obiorze zaraz, a niemal w każdym odmawianym pacierzu przez cały czas urzędowania w sumieniu własnym powtarzać przysięgę, jako wiernie i uczciwie, bez myśli o sobie i swoich, ale myślą, sercem i pracą służyć chce braciom swoim, którzy w ręce jego

złożyli najwyższy honor, jakim rozporządzali,—klejnot, który on powinien tak czytym przekazać następcy, jakim go otrzymał.

Rozumie się, że takich wójtów, o jakich tu mowa, nie łatwo znajdziemy. Chodzi jednak o to, aby ci, których wybierać mamy, choć w części przypominali ten wzór, jaki wyżej staraliśmy się nakreślić.

Taki wzór trzeba każdemu gminiakowi w głowie i sercu nosić—za jego pomocą mierzyć tych, którzy w rzeczywistości wójtami są albo chcą być; za jego pomocą złych na dobre drogi sprowadzać, „niezgorszych“ w „lepszych“ przeobrażać. A zawsze myśleć nie o sobie, nie o swoich własnych interesach—ale o potrzebach braci, o sprawach całej społeczności, wśród której żyjemy.



Kapłani wstrzemięźliwości na wsi.

Do głuszy wiejskiej dziennik wielkomijski przyniósł wiadomość o nowej reformie zapoczątkowanej przez higienistów warszawskich. Mianowicie: włościanie powinni przestać palić. Obliczono, bowiem, (t. zw. statystyka zawsze jest na zawołanie!), że „chłopi tracą rocznie na tytuń tyle a tyle milionów“, że „wchłaniają tyle a tyle balonów nikotyny“; zadekretowano tedy, że jako rzeczy nieświadomi nie wiedzą, co czynią, i że należy ich w tym względzie oświecić. Zrozumieją bowiem, że za te przepalone miliony mogą zaprowadzić w gospodarstwach rolnych błogostan wysniony zaledwie przez autorów książek rolniczych, a w domu stworzą raj higieniczny. Nie mówiąc już nic o tem, że pod względem fizycznym nabiorą tężyzny, że naród bę-

dzie posiadał włościan silnych, zdrowych, dobrze karmionych i szczęśliwych.

Królestwo fantazji nie podlega żadnym ograniczeniom; jedno tam tylko panuje prawo—bezwzględnej wolności. Zaczynamy marzyć i wnet, płynąc linją zaświatową najmniejszego (zeru równającego się) oporu znajdujemy się po chwili w nieskończoności. Mówiąc aktualnie, w zastosowaniu do sprawy — zręczny, wytrawny palacz zaczyna „puszczać“ kółka, wnet cała gromada, sto, tysiąc zapełnia pokój, łączy się ze sobą w wieńce, w girlandy, które suną przed nami napowietrznym szlakiem hen! w lazury. A oko, co za niemi podąża wnet z równowagi wychodzi i może się zdarzyć, że oko sceptyka przeobrazi się w oko fantasty....

Pewnać to, że nie zapozwę szanownych projektodawców przed forum „nauki“. Przegrałbym z kretelem. Tam bowiem przede wszystkim decydują argumenty statystyczne, najogólniejsze prawa, abstrakcje oderwane od czasu i przestrzeni. Ale przeprowadzę dowód prawdy przed stolcem sędziowskim rozumu praktycznego, konieczności życiowej, historycznej. Przeprowadzę—bo będę miał za sobą argument rzeczywistości, socjologii, moralności.

Muszę bowiem zwrócić uwagę na to, że włościanin, o którym mowa, nie jest kate-

gorją logiczną; to jest nasz, rodzimego chowu, młodszy brat po pługu. Publicyści wszystkich obozów przypisują mu niezliczoną ilość zalet i wad, jemu jakoby *specyficznie* właściwych. Wydaje mi się—im dłużej wśród ludu przebywam, w miarę możliwości badając jego potrzeby, słuchając jego skarg i żalów, wglądając w jego niezmiernie ciekawą *duśkę* — że on — włościanin — nie posiada wcale ani jednych ani drugich. Posiada on, mianowicie, wszystkie cechy nam ogółowi polskiemu właściwe. Jakiś dowcipniś miał powiedzieć że „każdy kraj ma takich żydów, na jakich zastępuje“. Aforyzm ten ma rację bytu, tylko, że go należy rozszerzyć na wszystkie warstwy tej wielkiej całości etnopsychologicznej, którą nazywamy narodem. I ma sens o tyle, o ile rozumieć go będziemy w tem znaczeniu, że naród jest jedną całością, że pojęcie tego zawiera pewną sumę cech stałych, charakterystycznych dla wszystkich bez wyjątku warstw, całość tę składających. Nasza wieś jest brudna; brudnym jest nasz włościanin, brudnym jest nasz żyd. Ale zajrzyjmy do Niemców, na prawdziwą niemiecką wieś—tam i chłop i żyd są pod względem czystości zupełnie zasymilowani ze sobą. Są to zjawiska może znane ale nader często zapoznavane.

Słyszałem przed laty z ust jednego z największych etnopsychologów stulecia, jakie pod tym względem odbierał wrażenia. Mówił on mianowicie, że, wieś brandenburska uważana za czystą jest poprostu brudną w porównaniu ze wsią szwajcarską, w której każde obejście gospodarskie robi wrażenie warsztatu, na którym pracuje jakiś rzemieślnik — amator, a urok jej niknie, kiedy zwiedzamy wieś belgijską, gdzie na gumnach panuje już poprostu poezja: tu parobcy z kompostowych śmieci układają imiona swoich kochanek... Może to się komu wydawać śmiesznem. Dla człowieka, który chciałby zbadać bliżej duszę zbiorową—dokumenty takie posiadają nieocenioną wartość.

Owóż brudnym jest nasz włościanin dla tego samego powodu, dla którego my wszyscy jesteśmy brudni. Nasi higieniści niejednokrotnie wytykali damom wielkomiejskim, że żyją same i trzymają dzieci w warunkach możliwie niehygienicznych. Nie używają kąpeli. Rzadko zmieniają bieliznę. Niejednokrotnie skarżyli się lekarze na nieporządki panujące po za zewnętrzną kurtyną (możliwie jedwabną, możliwie szeleszczącą) swoich pacjentek. I tak od góry do dołu w całym społeczeństwie.

A że tak jest, tedy, jak mi opowiadali

włościanie, bez papierosa obejść się nie można. Proszę, usilnie proszę każdego higienistę, który w sprawach zdrowotnych wsi naszej głos zabiera, aby zwiedził albo raczej często i w dużej ilości zwiedzał chaty wiejskie, czworaki dworskie i chałupy gospodarskie, aby przyglądał się porządkom tam panującym, rozmiarowi izby, ochłodostwu i zamożności tych tragicznych siedzib, które wstyd jest nazywać domem, gdzie przebywa *homo sapiens v. industrius*. Otóż w takich warunkach śmiem mniemać, że gdy chodzi o zewnętrzny symbol ujawniający grę wewnętrzną czuć i uczuć, to palenie tytoniu powinno być raczej uważane za dowód bardziej rozwiniętej działalności kulturalnej; to jest bowiem dowód, że jednostka grzesząca przeciwko nakazom higieny reaguje już na czynniki ją otaczające, że protestuje w granicach możliwości do wykonania jaknajłatwiejszej przeciwko tym smrodliwym, niehygienicznym, niespołecznym, nikczemnym warunkom bytowania. I ten argument mógłby się komukolwiek wydawać niewystarczającym. Przypomnę tedy wrażenie, które odebrałem przed laty wielu za studenckich czasów: w prosektorjum siedzi na zydelku *gentleman* preparujący kość ludzką; w jednej ręce trzyma skalpel, w drugiej kromkę chle-

ba, wszystko okrwawione: ręce, twarz, chleb. I uśmiecha się do przybysza, który na jego widok otwiera usta z przerażenia. Po tym dowiedziałem się, że tacy gentlemen'i wypijają nawet spirytus z baniek, w których spoczywają spreparowane mózgi ludzkie... Oczywiście takim jest „wszystko jedno“. Oni już palić *nawet* nie potrzebują, choć powszechnie ludzie twierdzą (mylnie zresztą), że każdy anatom musi palić.

Oto jeden argument na korzyść palenia u ludu. Ale nie koniec na nim. Dlaczego, jakim prawem chcemy pozbawiać włościanina papierosa, kiedy palenie jest „przyjemnością“. Pomyśleć tylko, jak rozległą jest sfera rozkoszy w klasie zamożnej, u inteligentów, w mieście. Pod tym względem wyrobnik miejski jest nawet w szczęśliwszym położeniu. Możemy uczęszczać do teatrów, na koncerty, samym uprawiać muzykę, śpiew, czytać różne bardzo ciekawe, rozweselające albo naprowadzające tęsknotę książki, bawić się piórem lub rozmową. Dla nerwów naszych świat stoi otworem. I porównać z tym podzwrotnikowym, barwnym, pysznym ogródcem widnokreśli świata i życia włościańskiego! Dobrze, gdy się przynajmniej czytać umie. Dobrze, gdy się w tym światku „zabitym deskami w koło“, — książka znajduje. Ale

oczy zmęczone pracą, poczerwieniałe od wiatru — nie zawsze mogą spokojnie wodzić po zadrukowanym papierze. Niezawsze też kaganek chce się albo i może dobrze palić. W izbie ciasno, dzieci swawolą, często i inwentarz dokucza — przy fajce czy przy papierosie nerwy nabierają jakiejś prężności, młodnieją, rozgrzewa się fantazja — człowiek zapomina na chwilę o rzeczywistości, która doskwiera, o nieurodzaju, o niezapłaconych podatkach, o krowie, która zdechła... Uderzmy się w piersi, my inteligenci, którzy prócz wielu nauk posiadamy i „początki“ higieny — kto z nas nie chłoszcze, nie podnieca swoich nerwów. Jeden pije absynt, drugi w czarnej kawie szuka natchnienia, trzeciemu miłująca męża i spokój małżonka mokkę zamienia na kawę figową, czwarty naciera ciało zimną wodą, piąty — gorącą i tak w nieskończoność. Zważmy, że to są wszystko już nader silne środki i że krzywdą, u której początku one się znajdują, kończy się na orgji morfinistycznej. A palić — jakże my palimy? Mówią, że dziś coraz mniej ludzi zaczyna palić. Istotnie tak jest. Ale czy *ceteris paribus* włościanin pali tak, jak inteligent? Ostatni spożywa dziennie 10, 20 do 40 nawet papierosów, gdzież włościanin ma *czas* i *środki* na ta-

kie *marnotrawstwo**)! Niema czasu i niema środków! Rozumny gospodarz nie pali nigdy w podwórzu gospodarskim, w stajni, w stodole, z obawy pożaru. Środki są ograniczone i każdy dobrze się namyśla, czy „ukręcić jeszcze jednego papierosa“, może bowiem „nie starczyć do niedzieli tytoniu“. Hygieniści twierdzą, że nałóg palenia wzmógł się u nas w ostatnich kilkudziesięciu latach. Pytałem starych włościan — nikt nie potwierdził tego poglądu. Tu w mojej okolicy były dawniej plantacje i lud, ponoć, więcej palił, niż dzisiaj. Może gdzieindziej było inaczej. To zaś pewne, że ów samorodny tytuń był lepszy, a że palono fajki, tedy i proces palenia nie był tak szkodliwy. Nie ludu zaś wina, że produkcja tytoniu u nas upadła. Przyczyny są znane i historycznie stwierdzone jednakowe dla naszych i dla podolskich np. stosunków. Nie wina też ludu, że przestał posiłkować się cybuchem. Nasi ojcowie czy dziadowie palili fajki, — lud ówczesny szedł za ich przykładem. Współcześni palą papierosy — lud czyni tak samo. A że w pierwszym

*) Według moich spostrzeżeń włościanin pali przeciętnie o ile jest „palaczem“ 2 paczki tytoniu po 18 gr. na tydzień. Silniej rozbudzona „namiętność“ czy „nałóg“ podnosi tę cyfrę do 4 paczek na tydzień.

wypadku pali się bibułka francuska, a w drugim — zwyczajny nawet zadrukowany papier, to nie wina palacza, jeno kieszeni. Wedle stawu grobla!

Przestańmy wreszcie moralizować. Lud nie potrzebuje zupełnie moralizacji. Domy budują się od fundamentów a nie od dachu. Stwórzmy najpierw higieniczne warunki, a potem zobaczymy, że i człowiek stanie się zupełnie higienicznym. Gdyby panowie hygieniści wynaleźli sposób przeobrażania piasku w złoto, to wierzę głęboko, że w krótkim czasie mielibyśmy na wsi czworaki wzorowe, omal że nie kanalizację, ochronki wiejskie, może nawet kluby i resursy. Zakwitłyby wtedy wszelkie cnoty — higieniczne i moralne. Włościanin przestałby palić zły, niezdrowy tytuń, sięgnąłby po lepsze gatunki a możeby, mając co lepszego do roboty, przestał zupełnie palić. Ale nasz piasek mazowiecki, jak był, tak jest sypki i niełaskawy, tedy czekać musimy. Może ten postęp spłynie na wieś naszą, z innych jeszcze pochodząc źródeł. Już dziś inaczej myśli i czuje chłop niż przed dwudziestu, przed dziesięciu laty. A stało to się nie za sprawą moralizatorów i bynajmniej nie za sprawą higieny albo nauki wogóle. Stało się. A więc i wiele innych dobrych, potrzebnych rzeczy narodzić się

jeszcze może. Jestem z tych, którzy wierzą, że się narodzić muszą. Ale nic wżamian tymczasowo nie dając, nie mam odwagi odbierać tego, co jest, a co może i jest szkodliwym, ale czego zastąpić w tej chwili nie miałbym czem poprostu.

I dlatego, jak mówiono dawniej, składam do łaski opinii publicznej moje *niehygieniczne*, przeciwko surowym projektom bezwzględnych kapłanów wstrzemięźliwości *liberum-veto**).



*) Aby uniknąć wszelkich podejrzeń, że wypowiedziany tu pogląd ma swe źródło w osobistym usposobieniu, muszę dodać, że sam należę do braci „niepalącej“.

XIII.

Guzikarze w powiecie płońskim.



Nie poraz pierwszy poruszyć mi przychodzi sprawy przemysłowców guzikarskich w osadzie Sochocin i okolicy. Kilkakrotnie już przedemną zabierał w tej materji głos pan dr. Leon Rutkowski, który zresztą wogóle pierwszy wprowadził guzikarzy naszych na widownię publicystyczną. Sprawa ta jednak na aktualności nie straciła po dzień dzisiejszy. Przeciwnie, zdaje mi się, iż w obecnej właśnie chwili staje się bardziej aktualną — niż kiedykolwiek. I dla tego warto przyjrzeć się jej zblizka.

Nie będę kreślił tu historii powstania i rozwoju przemysłu tego. Uczyniono to przedemną, a zresztą jest to dla nas w chwili obecnej zupełnie obojętne. Dość, że przemysł ten zapoczątkowany u nas przez ro-

botników z fabryki wyrobów rogowych Ludwika hr. Krasieńskiego zaaklimatyzował się w sposób zupełnie poważny i rozwija się pomimo najgorszych warunków bezustannie.

Trudno dziś pomyśleć, coby mieszkańcy Sochocina poczęli, gdyby naraz przemysł ten stracił grunt pod nogami, gdyby tokarnie na zawsze stanąć miały. Bez przemysłu jakiegokolwiek bądź, chociażby najędźniejszego, najniewidoczniejszego, osady nasze żyć nie potrafią. Warto, abyśmy sobie ten szczegół nowy a ciekawy zanotowali.

W obecnej chwili stan rzeczy przedstawia się, jak następuje. Przemysł guzikarski jest złożony i obejmuje kilka kategorii pracowników. Na pierwszym miejscu znajdują się kapitaliści (t. z. *fabrykanci*). Przemysł bowiem wymaga pewnego kapitału i trzeba zakupić tokarnie, masę do wyrobu guzików i t. d. Fabrykant rozporządza pewną ilością (najwyższa norma obecnie 50) tokarń, które rozdaje, chcącym pracować bądź mieszkańcom Sochocina, bądź też wsi okolicznych. Rozdaje im masę zakupioną w Hamburgu bądź surową, bądź w połowie wykonaną, guziki oddaje następnie do nazywania dziewczętom. Następnie wiezie towar do Warszawy i tu sprzedaje hurtownikom na Nalewkach. Fabrykantów takich nie-

jednakowo zamożnych liczy Sochocin obecnie jedenastu, w tej liczbie 7 żydów i 4 chrześcian, którzy pospołu posiadają 270—280 tokarń. Nie wszyscy są zamożni, a właściwie takich jest zaledwie kilku. Ci tylko jeżdżą do Warszawy i mogą pozwolić sobie na pewne manipulacje z guzikami, pozwalające im czekać odpowiedniej koniunktury i t. d. Reszta ma zbyt mało kapitału, aby mogła oddawać się spekulacji i musi zaraz na miejscu spieniężać swój towar. W ten sposób powstała w Sochocinie druga grupa przedsiębiorców t. z. *handlarze*. Ci posiadają gotówkę, udzielają forszusów fabrykantom, kupują od nich wyrobiony towar i odwożą do Warszawy. Oni też prowadzą w większej ilości masę perłową do Sochocina i odprzedają ją mniej zasobnym fabrykantom^{*}). Oczywiście, ci tracą jak najmniej, ryzykują najmniej, jak zresztą wszędzie pośredniczące ogniwa w produkcji przemysłowej.

Wreszcie pozostają właściwi robotnicy — *tokarze*. Płaca jest różna, w zależności od wielkości guzika. I tak: od 16-ek płaci się 4 grosze od grosza, od 18-ek 5 gr., od 20—6 gr., od 24-ek 8 gr., od 28-ek 12 gr., i tak dalej, aż do 40-ek—za które bierze aż 40 groszy od grosza. Oczywiście cyfry te nie mówią. A więc powiedzieć trze-

ba, że robotnik w najlepszych warunkach, rozporządzając dobrym materiałem i pracując 15 godzin dziennie, może zarobić najwyżej rubla dziennie, jakkolwiek dodać należy, że wynagrodzenie to jest idealnie wysokie i rzadko bywa osiąganem. Tembardziej, że nie wszyscy robotnicy oddają się regularnej i całkowitej pracy przy tokarni. Wielu z nich posiada grunt i pracuje na roli — zarabkując przy tokarni podczas zimy, kiedy zajęcia w polu niema. Przeciennie tokarz odrobić może 30—40 gros dziennie. Do kategorii robotniczej zaliczyć należy *naszywaczki*. Liczy się, że na każdą tokarnię potrzeba 2-ch naszywaczek. — Otrzymują one po 2 grosze od grosa, naszyć może jedna dziennie najwyżej 20 gros.

Gdy o robotnikach mówimy, zaznaczyć należy, że ze stanowiska ich interesów przemysł ten dotyczy już dużej połaci ziemi. Zapoczątkowany został przemysł guzikarski nie w Sochocinie samym. — Przedostał się tam z okolicy, następnie ześrodkował się w Sochocinie samym, później zaczął ze stolicy puszczać odnogi na wschód — w obecnej chwili liczymy w *Kucharach* 30 tokarni u 17 robotników, (w tej liczbie u 12 gospodarzy, największa ilość tokarni u jednej osoby w trzech wypadkach) w *Idzikowicach* 3 tokarnie u trzech gospodarzy, w *Kadlu-*

bówce 1 tokarnia u jednego gospodarza; w *Rachelince* 2 tokarnie u dwóch gospodarzy.

Widzimy tedy, jak wielka ilość ludzi wiąże z tym przemysłem bytowanie swoje. Minęły już czasy naturalnego gospodarstwa i włościanin żyje dziś cały w gospodarce pieniężnej, wymiennej. — Z samej roli żyć ciężko; śruba podatkowa gnębi i doskwiera. Skąd wziąć gotówkę? Przychodzą lata nieurodaju. Skąd zaczerpnąć fundusz na przebiedowanie ciężkiego roku? Jedyna, jak dotąd, racjonalna odpowiedź — to przemysł. Trzeba szukać pomocy w pracy przemysłowej. Chodzi tedy o to, aby ta praca była racjonalną, aby była opartą na podstawach nie przypadkowych, nie chwilowych; aby była niezależną od samowoli jednostek, aby słowem radość życia wprowadziła pod strzechę, a nie większe jeszcze przygnębienie, a nie większą jeszcze zależność.

A o to, niestety, postarać się dopiero trzeba. Trudno bowiem wyobrazić sobie większą zależność i większy wyzysk. Początek to bierze oczywiście na głównym rynku. — Główny odbiorca, ów handlarz hurtowy, nie wiele sobie oczywiście robi z troski sochocińskiego fabrykanta. Ostatni znajduje się w najzupełniejszej zależności od niego. — Chce przyjąć guziki — przyjmuje, nie chce odrzucić. To nie chleb, który zawsze spo-

żywcę znaleźć może. Zresztą i tu o powodzeniu stanowi sezon, moda, gust chwilowy ostatniego odbiorcy, który znajduje się w głębi Rosji, może nad chińską granicą... Niechaj tylko jeden agent zasygnalizuje brak pokupu na guziki, wnet cały handel usypia. A że fabrykant czekać nie może, tedy przyjmuje warunki możliwe, czy nie możliwe, wszelkie bez względu na wyzysk, któremu podlega. Ma on jedną „pociechę“. Oto odbija sobie własne straty na tych, którzy od niego zależą, na robotnikach. — I oto wytwarzają się najzupełniej niezdrowe stosunki. Gros zamiast 144 na gruncie tutejszym liczy 160 sztuk: co przy 30—40 grosach produkcji dziennej, czyni 3—4 gr. nadrobionych bez wynagrodzenia guzików. Przy oddawaniu roboty fabrykant odlicza niezmiernie wysoki procent na guziki wybrakowane (niedokładnie wyrobione, połamane i t. d.) Z puda dobrej masy można utoczyć 120 gros guzików. Gorszy materiał dziurawy daje mniejszą ilość, otóż jeżeli robotnik z puda nie utoczy 115 gros, to za pięć sam zapłacić musi. A bywa taka nawet masa, że z niej zaledwie 95—6 gros wyrobić się daje. Powiadano mi, że według zapewnienia pewnego fabrykanta, każdy robotnik „daje“ fabrykantowi w najgorszym wypadku pół rubla tygodniowo

zysku (brutto). Przy odpowiedniej konjunkturze, wobec silniejszego zapotrzebowania w Warszawie, norma ta podnieść się może nawet do dwu rubli tygodniowo: ale robotnik w tych zwyczajach żadnego udziału nie bierze. Co najwyżej w takich wypadkach fabrykant nie przebiera tak skrupulatnie dostarczonego towaru, nie odlicza tak wielkiej ilości na braki, daje chętniej zaliczki.

Jak widzimy tedy, cały ten handel jest jedną drabiną wyzysku. Handlarz wyzyskuje położenie fabrykanta, ten wyzyskuje robotnika. Biedniejszego fabrykanta wyzyskuje miejscowy bankier — czy też handlarz, który znowu płaci haracz od siebie handlarzowi warszawskiemu. Jak przy podatkach pośrednich, płaci zawsze ostatni spożywcą...

W obecnej chwili przemysł guzikarski przeżywa ciężką chwilę kryzysu. „Warszawa“ ma dość guzików; produkcja tedy została ograniczoną do *minimum*. Czy prędko się podniesie, nikt powiedzieć nie umie, takie to wszystkie chwiejne, zmienne, z pianny, z piasku budowane. W takich chwilach zaczynają się mnożyć pomysły ratunkowe. Oczywiście jest jedna potrzeba naczelną: wyemancypować się od zależności warszawskiej. O różnych projektach słyszałem — nie wydają mi się one bynajmniej racjonalnemi. Założenie własnego sklepu nie ura-

tuje sytuacji, bo sklep ten nie przyciągnie klienteli od hurtowników, którzy są panami rynku. Chyba będzie musiał sprzedawać towar po cenie niższej od konkurencyjnej, a wtedy cóż zyskają fabrykanci? Wreszcie nam nie o samych tylko przedsiębiorców chodzi, a o to raczej, aby cały ten przemysł oprzeć na bardziej racjonalnych i sprawiedliwych podstawach. Aby z tego łańcucha produkcji wylamać wszystkie ogniwa pośredniczące, pasożytnicze. Aby jaknajbliżej połączyć wytwórcę z właściwym kupującym guziki dla własnej potrzeby spożywczą. Może uda się w głównych zarysach nakreślić plan uzdrowienia.

Tymczasem zaś zwracam się do pp. fabrykantów i robotników guzikarskich z uprzejmą prośbą, aby, bądź w formie listów do redakcji „Ech“, bądź wprost mnie osobiście komunikowali swoje własne spostrzeżenia co do samego przemysłu, jego organizacji, jego przyszłości. — Wszak powyżej przytoczone dane mogą być niepewne, niezupełne, albo wprost na niedokładnej wiadomości oparte. Gdyby tak było, wszelkim poprawkom i uwagom rad będę prawdziwie i serdecznie nawet o nie proszę.*)

*) Artykuł pisany i drukowany w Styczniu 1902 r.

A F O R Y Z M Y.

I.

Nowocześni bohaterowie.

Prowincya nasza nie wyszła jeszcze z epoki mitologicznego „bohaterskiego“ bytowania. Jej życie — jest jeszcze często, prawie zawsze, życiem jednostek. Zbiorowych usiłowań prawie śladu niema. Zapoczątkowane — nie mogą przełamać pierwszych lodów; pozornie zespolone za lada podmuchem niesforności obalają się. Jak w antycznym świecie bywały epoki, kiedy cały wielki świat szarych życiowych stosunków, pracy, szczęścia i nędzy ogniskował się i krystalizował w Herkulesie albo Odyseuszu, tak i w odmęcie naszego życia prowincjonalnego jego historia jest często, niestety bardzo często, życiem jej wybitnych przedstawicieli. Są w każdym mieście gubernialnym i powiatowym „nazwiska“, które widzimy wszędzie; ludzie, co wszystko robią i wszystkim się zajmują; wszystko za-

początkowują a niekiedy i doprowadzają do końca; budzą Muzy, szerzą oświatę, tworzą przemysł: są gospodarzami wiernie a szczerze pełniącymi obowiązki amfitrjonów przy publicznej biesiadzie, kiedy chodzi o to, aby miasto nie prezentowało tylko swoich nieporządków uświęconych tradycją w przeszłości, a niechlujstwem i złą wolą w teraźniejszości. Takich bohaterów ma Łomża i Siedlce, Międzyrzec i Płońsk. Wszyscy ich znają: ogół, szukający w „korespondencjach własnych“ wiadomości prowincjonalnych, spotyka ciągle ich nazwiska, przez długi szereg lat te same, zasłużone, czeigodne nazwiska pionierów lepszej kultury, „Robinsonów“ często gęsto nawet pozbawionych—Piętaszków. Czy to chodzi o kredyt tani, czy o towarzystwo muzyczne, o czytelnię, czy o towarzystwo rolnicze—zawsze występują ci sami obywatele, niezmordowani, acz nie zawsze kompetentni, często nieprzygotowani, ale niezłomni apostołowie „dobrej nowiny“, siewcy przyszości, zapoznani męczennicy, gnani entuzjazmem poprzez cierniste krzaki ciemnoty, zawiści, złej woli i głupoty ludzkiej. I dla tego też być może „korespondencje prowincjonalne“ są tak bezbarwne i monotonne, bo są biograficznymi przyczynkami — a często niczym więcej.

~~~~~

## II.

### Nasza praca zbiorowa.

---

Dlaczego nasze występy zbiorowe nie udają się prawie nigdy? Nikt statystyki tych promiennych prób i rozwianych iluzji nie próbował dokonać, ale gdyby dał taki obraz graficzny za przeciąg tylko kilku lat—rezultat byłby bezsprzecznie „piramidalny.“ Większą bowiem część naszej energii społecznej trwonimy na generalne próby żywych obrazów p. t. „Akcja zbiorowa“, próby reklamowane przez reporterów, oblewane nektarem wszelakich nadziei, a pierwszego przedstawienia jakoś doczekać się nie możemy. Dlaczego?—pytanie to powraca wciąż na szpalty rozumiejszej prasy naszej, drzemie pod progiem świadomości każdego z nas, co sam pragnął skosztować chleba w wspólnej pracy, drzemie a budząc się, sprawia ból nie-szczęśny, który znowu przechodząc w stan.



chroniczny, spowija nas w smutek zupełnie beznadziejny; odbiera chęć do pracy, do życia w gromadzie; wyrzuca myśl naszą na szczyty wiecznym śniegiem pokryte, a uczuciom wznosić każe nieprzystępne fortece egoizmu i samotności...

Na to pytanie silono się znaleźć odpowiedź łatwą. „Weź w rękę—mówił nam genialny publicysta—garść Polaków, polej wodą, po chwili słońce wysuszy wilgoć, na dłoni pozostanie—garść zatimizowanego *piasku*; weź natomiast garść Niemców, uczyni na nich podobne doświadczenie, otrzymasz—kuleczkę *gliny*...” Barwnie to zestawienie dobitnie stwierdza *stan* rzeczy, ale przyczyn nie wskazuje. I w dalszym ciągu brzmi nam w uszach szept bolesny szumanowskiej melodji *Warum?*

Zresztą porównanie z Niemcami jest skądinąd pouczające. Dlaczego np. Niemiec umie powściągnąć swoje ambicje, przytłumić ducha protestu, okiełznać indywidualizm i anarchię? Czy dla jakichkolwiek idealnych pobudek? Zanadto dobrze zna go historia, znamy go „osobiście“, abyśmy go o takie herezje podejrzewać mieli! My zaś etno-psychologicznie nie zesłiśmy jeszcze w te przepastne kręgi, kędy rządzi zimnym rozsądkiem pchany „interes“; w nas zaś tkwi jeszcze głę-

boko gest rycerski trubadurów, gest oficera, co nigdy żołnierzem nie byli być nie umiał. Przyjrzyjmy się „naszym“ tańcom: to polonez, to mazur; wszystkie figury do popisu solowego, wszystkie zindywidualizowane, zatimizowane, doskonale uwydatniające cechy wybitne typu, jednostki: zespołu niema.

I jest w nas jeszcze, we wszystkim, co robimy, namiętny szept kochanka: „Czarę wychylić odrazu, spalić się w wielkim słońcu, co dzień żyje! Co nam do jutra, co nam do filistrów! Raz żyjemy, a więc bez miary: wszystko albo nic“. Entuzjazm jednak gaśnie, słońce, co zaszło, nazajutrz zajaśnieje wielkim światłem, ale na apolinowym wozie naszego entuzjazmu, naszego szału nie będzie. Owóż do wszelkiej roboty wnosimy ten tylko szal kochanków. Tymczasem praca społeczna nie może być budowana na miłości kochanków, jeno na miłości braci. Ta ostatnia zowie się inaczej przyjaźnią. Pierwsza jest egoistyczną, żarłoczną, może dać rozkosz bólu, i ból rozkoszy. ale społecznie biorąc, jest jałową, bo łatwo przechodzi w szal wampirów, który wysysa z nas—rozmiłowanych, rozszalałych—wszystką krew naszej energii. Druga zaś jest uczuciem społecznym; cała uwita jest z *ustępstw wzajemnych*. Nie przedstawia najmniejszego pola dla osobi-



stych ambicji, dla uzurpacji i despotyzmu. Miłość niszczy, bo wszystko chciałaby w danym momencie czasu i przestrzeni dla siebie zdobyć, wszystkim bezwzględnie zawładnąć. Przyjaźń buduje wielkie a święte, a marmurowo trwałe pałace zgody braterskiej. *As twam asi*, (ja jestem ty) mówią buddyści. Ona nie wybucha oślepiającym płomieniem obrazów pani Costenoble, jeno ogarnia nas, oskrzydla, owiewa, upaja łagodnym ciepłem, co płynie z obrazów prerafaelitów i z kart Ruskina. Ale dziś jej jeszcze niema. Nie dorośliśmy jej; za dużo w nas „*Nad-człowieka*“: zanadto Kochamy siebie. Tylko najdoskonalsze okazy gatunku ludzkiego zdobyć się potrafiły na taką symfonię życia, długo—albo krótkotrwałą, w skutkach swych jednak nieobliczoną, płodną, boską (Schiller — Goethe, Marx — Engels). Nie nam do tych Giewontów uczuć i myśli! Na naszym padole, w płytkiej sadzawce drobnych spraw, drobnych ambicji panować długo jeszcze będą hamulce wszelakiego postępu, wszelkiej dobroczynnej pracy społecznej, uspołeczniającej i uspołecznionej, które jeśli czasami ustępują berła władzy, to tylko dreszczowi miłosnego upojenia, krótkotrwałego niby efemeryda, i jak ona bezpłodnego.



## UWAGI NAD KWESTJĄ OŚWIATY.



I.

## Najpilniejsza potrzeba.

---

My wszyscy czytelnicy „Ech“ czegoś „potrzebujemy.“ Rolnikowi potrzeba wysokich cen na zboże, albo taniego kredytu, doktorowi pacjentów, adwokatowi klientów, kupcowi dużych obrotów, wreszcie redaktorowi... abonentów, ale wszystkich nas niezależnie od naszych specjalnych, prywatnych potrzeb łączy jedna naczelna: potrzeba oświaty. Szlachcic nie wyzyskuje naturalnego bogactwa swej osady, włościanin źle uprawia rolę, kupiec nie korzysta z koniunktur — bo jest ciemny; nie wysadzamy dróg naszych drzewami, mówiąc (z jakże przerażającą słuszością!), że nie uszanuje ich zbrodnicza ręka przechodnia; nie uszanuje, albowiem jest ślepa i ciemna. Życie na wsi monotonne i niezłożone na pozór daje na każdym kroku obfitą karmę wyzrekanom na ten temat, wyrzekaniom, ma-



jącym u nas już kilkudziesięcioletnią historję. Historia ta jest zresztą dosyć smutną pod względem rezultatów, a pod względem terapeutycznym tak bezowocną, że powoływać się na nią nie mamy po co, nie odczuwamy poprostu „potrzeby“. Natomiast wzory zachodnio-europejskie, a w szczególności amerykańskie są tak pojętne, tak pociągają syrenim śpiewem usiłowań i skutków, że skorzystam ze sposobności, aby od nich rozpocząć list mój dzisiejszy.

Czyś zapoznawał się kiedykolwiek, łaskawy czytelniku, ze statystyką oświaty? To tylko napozór, gdyż patrzeć obojętnym okiem na szeregi nieskończone cyfr, nudna i nużąca sprawa, Należy się im tylko dobrze przypatrzyć! Są bowiem jak owe obrazy, które tylko z pewnego oglądane stanowiska, zdolne nam są ofiarować prawdziwą rozkosz estetyczną, oglądane zaś wprost, bez przygotowania, bez odnalezienia właściwego punktu, przedstawiają dla oka jeno taniec bezładny kolorów i plam. Cyfry te rozpatrywane umiejętnie, i w rękach właściwych, przemawiają nawet do nas; mówią językiem smutku bezgranicznego, albo hymnów zwycięskich — trzeba tylko umieć je zapytać. Czy wiesz, że w Anglii było w roku 1870-ym 8000, a w r. 1889-ym 20,000 szkół, że ilość uczniów

urosla za ten przeciąg czasu z jednego do  $4\frac{1}{2}$  milionów, że wreszcie szkoły te kosztowały (r. 1889) około 80 milionów rubli rocznie. Czy wiesz dalej, że we Francji od pogromu niemieckiego w r. 1870-ym ilość szkół wzrosła o 11 tysięcy, ilość uczących się o cały milion i że szkoły te kosztowały (r. 1889) 150 milj. franków rocznie. Czy wiesz wreszcie, że w Stanach Zjednoczonych na 62 miliony ludności było 216 tysięcy szkół, 14 milionów uczniów i że szkoły te kosztują 265 milionów rubli rocznie. Inaczej mówiąc: na 100 anglików uczęszcza do szkoły 16, na 100 francuzów 15, a na 100 amerykańców 25. W Stanach Zjednoczonych na głowę ludności wypada wydatków na cele oświaty  $4\frac{1}{2}$  rubla, w Anglii 3 ruble, we Francji 2 ruble, a w Cesarstwie Rosyjskiem (19 kopiejek.) *Rok 1889)* Z tych kilku cyfr już wnosic można, jak znaczną uwagę poświęca społeczeństwo amerykańskie sprawom oświaty ludowej; wszakże nie bez powodu. Rozwój ekonomiczny Stanów Zjednoczonych idzie tak prędko naprzód, w wyścigu stałym z przemysłem europejskim otrzymuje tak stale i równomiernie na wszystkich polach działalności gospodarczej palmę pierwszeństwa, że nam spokojnym, w lenistwie zastygłym synom starej, w tradycje i historyczne ane-



gdoty bogatej cywilizacji trudno nawet zrozumieć i objąć linię rozwojową tych stosunków amerykańskich. Oczywiście nie mamy miejsca tutaj, aby dać pełny ich obraz i tylko na kilku rzutach szkicowych porzucić musimy. Za przeciąg dziesięciolecia 1880 — 90 wzięto pod pług 50 milionów akrów ziemi, która dawniej leżała odłogiem; produkcja zboża urosła o 53%, a jego wartość o 32%; ilość bydła rogatego z 96 milionów urosła do 139 milionów. W roku 1880 Ameryka pod względem ogrodnictwa i sadownictwa stała na tym poziomie, co my np., t. j. miała z tego źródła niezmiernie małe, albo wcale nie miała dochodów. Produkcja owoców obliczona była na zbyt miejscowy; nie wiedzano, jak przewozić owoce, jak je konserwować i t. d. Po dziesięciu latach stosunki uległy radykalnej zmianie. W Stanach, które specjalnie w tym kierunku pracują — w New-Yorku, Marylandzie i Kalifornii powstają setki suszarni owoców, budują się specjalnie koleje żelazne, wagony, wywóz owoców suszonych wzrasta do setek milionów dolarów. Jedna tylko Kalifornia wywozi rocznie za 8 milionów rubli owoców. Weźmy inny przykład. W roku 1878 Ameryka produkowała  $\frac{1}{3}$  część żelaza, wytwarzanego przez Anglię. W roku

1890 produkcja amerykańska przerosła już angielską i wyniosła 600 milionów pudów (produkcja rosyjska wynosi 26 milionów pudów). W Stanach Zjednoczonych spotrzebowanie żelaza na głowę ludności wynosi 300 funtów, w najbardziej przemysłowych krajach europejskich 175 f., a w innych krajach 11 funtów na głowę.

Czemże można objaśnić ten kolosalny, bajeczny rozwój bogactwa i działalności ekonomicznej? Czy warunkami naturalnymi? Według obliczeń, którym należy dać wiarę, urodzaje amerykańskie są trzy razy mniejsze od angielskich; czy różnicami plemiennymi? — wszak ludność amerykańska składa się z emigrantów europejskich w pierwszym, a już co najwyżej w drugim lub trzecim pokoleniu. Czy taniością produkcji? Wszak wiadomo, że stopa życiowa w Ameryce jest bez porównania wyższą niż w Europie, a robotnik tak wynagradzanym, że nasz emigrant — chłop mazowiecki — przysyła do kraju dziesiątki i setki zaoszczędzonych dolarów. Nauka, która zajęła się od lat kilku badaniem stosunków amerykańskich, przychodzi do wniosku, że jedyną odpowiedzią na te pytania jest tylko kolosalne opanowanie przez Amerykanów sił przyrody. W Ameryce, jak nigdzie indziej pracuje za człowieka przyro-



da, wyzyskiwana, opanowana przez maszynę.

Pewien statystyk francuski obliczył, że robotnik francuski wytwarza rocznie za sumę  $4\frac{1}{2}$  tysiąca franków, podczas gdy amerykański za 10 tysięcy franków, jakkolwiek pracuje średnio o 3 godziny mniej od francuskiego. Według niemieckiego agromoma prof. Wilckensa, przyczyna ciążącej nad Europą konkurencji amerykańskiej tkwi nie w przestrzeni niezajętej ziemi i w łatwości przewozu, ale w ruchu umysłowym, który opanował cały naród od jego szczytów aż do najniższych szczebli drabiny społecznej. Świadoma swych celów i drogi, do tych celów prowadzącej, nauka amerykańska stara się, aby wiedza przestała być własnością pewnych tylko sfer społecznych, ale raczej aby stała się wspólną karmicielką dla całego narodu. Tutaj zdobyto najpiękniejsze rezultaty współdziałania głowy myśliciela i ręki pracownika.

Jeśli teraz od tych stosunków, które jednemu wydać się mogą, jak gdyby z przędzy fantazji utkanemi, wyśnionemi i sztucznie stworzonemi wzorami, jeśli od tych potężnych rezultatów zdobytych w sferze oświaty ludowej, przejdziemy na nasz zagon rodzinny, to wrażenie, które otrzymamy, będzie mniej więcej takie, jakie odczu-

wamy, przechodząc z salonu milionera do wypełnionej niezdrowemi wonnościami atmosfery izby piwnicznej wyrobnika miejskiego. Nie możemy zestawić porównawczo materiału statystycznego naszego z amerykańskim, cyfr tych bowiem niema, a o ile są, to mają właśnie wszelki charakter fantastyczny, mówiąc grzecznie—elukubracji niepiśmiennego i nierozumiejącego swej odpowiedzialności autora. Gdybyśmy tedy zaczęli pisać o tem, czego nam właściwie potrzeba w dziedzinie oświaty ludowej, to na pytanie to odpowiedzieć byłoby trudno, albo i wcale nie zdołalibyśmy odpowiedzieć, czego nie mamy. I dlatego najłatwiej ująć tę odpowiedź w formę jednego wyrazu: w sferze oświaty, potrzeba nam... „oświaty“. A więc trzeba, aby lud pobierał wykształcenie dla jego umysłu i serca dostępne, aby jego nauczyciele—iluz powołanych, jakaż nicłość wybranych—o celach nauki, o jej apostołskim posłannictwie przekonać mogli i chcieli, aby lud do szkoły uczęszczał chętnie i aby rezultaty zdobytej wiedzy mógł przepatniać dla użytkowania w życiu praktycznym. Chcielibyśmy, aby, gdy potrzeba życiowa odwoła dziecię wiejskie od książki i zamkną się za nim wrota szkoły, nie zamknęły się za niem również bezpowrotnie wrota gościnne nauki. Aby wędrowni



nauczyciele szerzyli wśród ludu wiadomości techniczne; torowali drogę postępowi w dziedzinie rolnictwa, wpajali zasady racjonalnej hodowli inwentarza, pszczół, drzew owocowych. Chcielibyśmy również, aby oświata była podszytą moralnością. Aby nie dzieliła rodziny wiejskiej na wrogie odłamy piśmiennych i niepiśmiennych członków.

Kiedy przed paru laty próbowano u nas założyć warsztaty rzemieślnicze, włóścianie, najodporniej przyjmujący wszelkie wystosowywane do nich żądania składek na cele oświaty, odrzekli między innemi: „i tak to żadnego szacunku dla mnie nima, a jok cytac ino zacnie, abo panem majstrem ostanie, to nijakiego posanowania dla ojców nie bendzie miol i wygno starego z chałupy.“ W sprawie tej, mniemamy, koniecznym jest współdziałanie społeczeństwa wewnętrzne z działalnością zewnętrzną państwa. „Inteligencja“ nie powinna zapominać o odpowiedzialności, która ciąży na niej wobec przyszłości i wobec historii, powinna wyzyskać każdą możliwą drogę, prowadzącą promienie oświaty do ciemnej głowy włóścianina. Powinna zakładać czytelnie i ochronki wiejskie, rozwijać zmysł porządku i gospodarności u kobiet wiejskich, baczyć, aby nauka szkolna odbywała się prawidłowo, aby wszyscy z niej korzystali, co chcą

i mogą, aby nauczyciele spełniali swe obowiązki z miłością i powagą. Słowem, powinna być przewodniczką i opiekunką, starszą siostrzycą w wielkiej rodzinie narodowej, gdzie wyrazy „ciemny chłop“ i „kopciuszek“, z racji pewnych historycznych i aktualnych warunków, stały się i są w większej części wypadków synonimami.

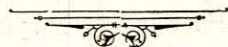
Kwestja ta bowiem ma i inną jeszcze stronę. Każdy z nas rozmyślał niejednokrotnie nad zagadnieniem „wielkich ludzi.“ Zkądże się oni biorą? Czy ich ludzkość albo jakiegokolwiek bądź społeczeństwo wydało zbyt wielu, abyśmy mogli nie czynić wszystkiego, co w naszej leży mocy, iżbyśmy stworzyć dopomogli najdogodniejsze warunki dla objawienia się każdej zdolności, każdego talentu w jakiegokolwiek bądź dziedzinie czynu, myśli, słowa? Prawda, że nauka może „nauczyć“, może uczynić daną jednostkę dla społeczeństwa pożyteczną albo i niezbędną, ale nauka nie tworzy talentu, nie uczyni, że bezduszna, zimna masa marmuru przeobrazi się w Galateę, jak chce piękny mit grecki. Prawda to, jak i to, że setki talentów giną skutkiem nieprzyjanych warunków bytu, że setki znakomitych a może genialnych pomysłów nie objawiają się światu, choć istnieją w mózgu swych twórców, bo niema ożywczych pro-



mieni słońca, któreby je do życia powołać chciały i mogły. Gdybyśmy nawet przyznali, powtarzamy słowa znakomitego ekonomisty angielskiego, że według zasad największego prawdopodobieństwa dzieci utalentowane rodzić się mają w tak zwanych klasach wykształconych, skutkiem działania praw dziedziczności i t. p., to i w takim razie nie należy zapominać, że klasy żyjące z pracy rąk, o wiele razy przewyższają swą liczebnością klasę inteligentną, i że dla tego wielu bardzo ludzi utalentowanych, urodzonych w tych klasach, bezpłodnie ginie dla kraju, nie mając możliwości nauczania się czegokolwiek. Niema też większego marnotrawstwa w dziedzinie rozwoju dobrobytu narodowego, jak niedbałość, która pozwala, aby geniusz, mający się narodzić wśród klas nieoświeconych, dla braku nauki miał zmaleć lub zginąć w ciężkiej pracy i przepaść dla ludzkości całej. Mądrość, jaka spoczywa w wielkich wydatkach państwa i inicjatywy prywatnej na cele oświaty ludowej, nie może być mierzona bezpośrednio tych wydatków rezultatami. Sumy te bowiem są to kapitały, które w przyszłości dopiero dadzą dobre odsetki; otworzą one bowiem dla wielkich mas ludowych możliwość wysunięcia naprzód swych geniuszów. A ekonomiczna wartość narodzin w

danym kraju jednego chociażby genialnego człowieka w dziedzinie wiedzy technicznej pokryje w zupełności wydatki na oświatę całego wielkiego miasta. Jedna bowiem myśl jakiegoś znakomitego inżyniera, który wynalazkiem swym zdołał uczynić pracę robotnika bardziej produkcyjną, powiększy zdolności produkcyjne całego kraju o tyle milionów, o ileby ich powiększyć nie zdołała praca setek tysięcy ludzi.

Naród, mówił znany myśliciel i patriota francuski Jules Simon, „naród, który posiada najlepsze szkoły, będzie bezsprzecznie dziś albo jutro pierwszym narodem w świecie.“ Zapiszmy to sobie w raptularzyku naszym.





II.

## Co lud czyta i dla czego?

~~~~~

Wypracowania dziennikarskie na temat czytelnictwa ludowego, mnożące się na łamach tej czcigodnej prasy, która teraz dopiero dowiedziała się, że lud chce czytać, nie mogą oczywiście ani na rozwój czytelnictwa wpłynąć, ani też skierować go w pewne apriorystyczne koryto.

Ludzie t. z. „dobrej woli“, których wszak nie brakło nigdy i zdaje się nigdzie, działali i działają bez względu na pochwały albo kręcenie reporterskim nosem tych panów dziennikarzy, których zapał do sprawy społecznej rośnie w stosunku prostym do honorarjum od wiersza.

Wszelkie jednak uwagi pozytywne ze sfer istotnie i szczerze interesujących się

sprawą czytelnictwa ludowego mają niezmiernie doniosłe znaczenie, bo nie każdy, kto „ludowi“ daje książkę do ręki, z racji swej inteligencji, wykształcenia i kwalifikacji specjalnych, jest w stanie skalę zapotrzebowań i możliwości własnej pedagogicznie i społecznie rozmierzyć i poznać. Na dwie kwestje zwracamy dziś uwagę. Dużo się pisało i pisze na temat, co lud „chętnie“ a co „niechętnie“ czyta. W odpowiedziach tych mieszczą się wskazówki dla wydawców. Mniemamy, że odpowiedzi tych wydawcy albo słuchać nie powinni, albo przyjmować je z wielkim, wcale nie homeopatycznym *cum grano salis*. Obowiązek mamy przedewszystkim uczyć lud, a sprzedając albo ofiarując mu książkę, wyemancypować go z pod wpływu tandeciarskiej książeczyny jarmarcznej tego lub innego kierunku lub autoramentu. Jeżeli zaś mamy uczyć, to nie pytajmy się ucznia, co mu się podoba, boć rzeczą lekarza jest, przepisywać lekarstwa. Oczywiście, że lekarzem tym nie powinien być „znachor“ ani „owczarz“ literatury ludowej, jeno człowiek, znający się nie tylko na „recepturze“, ale i na pacjencie. Oczywiście, że lekarstwo winno być odpowiednio przyrządzone, tak, aby do celu trafiło i wrażenie wywarło.

Lud nasz, na ogół biorąc, ma zanadto t. z. zdrowego rozsądku (mówimy tylko ze względu na potrzebę i wymagania literackie), a za mało wyrobionego smaku. Tak np. ludowi—mówimy to oczywiście na podstawie własnych tylko doświadczeń—nie przypada do smaku... Prus. Pewien wcale rozumny i biorąc pod uwagę stosunki miejscowe, dość odczytany „objekt oświaty“ oświadczył mi wprost po przeczytaniu jednego tomu ogólnego zbioru dzieł Prusa (w wydaniu najnowszym), że dalszych czytać nie będzie, bo szkoda na to czasu. „Takie koncepty to każdy chłop zrobi i jeszcze ludziska powią, że głupi.“ Przypadkowo była w tym samym tomiku „Placówka“ ta przypadła do smaku, tylko że „trochę przydługa“; w małej książce „O ojcowiznę“ było opowiedziane „wiele lepiej“. Ten sam czytelnik dwa razy z rzędu czytał trylogję Sienkiewicza i świeżo wówczas wydanego „Kordeckiego“ Kraszewskiego i nie miał słów podziwu dla tych książek, które, nawiasowo dodając, zrozumiał najzupełniej, jak to miałem sposobność poznać. Zdaje mi się, że w dziełach Prusa włościaninowi nie imponuje rzeczywistość życia szara, niekiedy ponura, ta sama, w której czytelnik żyje, którą oddycha i... której nienawidzi. Od książki wymaga, aby go z tej

rzeczywistości wyprowadziła w jakieś lepsze, dlatego może, że nieznane, zaświaty, których słabe cieniowe kontury widzi w chwilach rzadkich swych snów. I dla tego właśnie, przypuszczam, zajmują i zachwycają go opisy wypraw (Sienkiewicz) i czynów (Kordecki) bohaterskich.

W życiu i bilansie życiowym włościanina naszego książka nie jest czemś zwykłym, przedmiotem, z którym się człowiek zrośł, do którego przywykł. Jest to jakaś pozycja niezwykła, niecodzienna, niepowседневna, nieszara. Kult i powaga drukowanego słowa—cechy, których się pozbyć nie mogą ludzie średnio inteligentni, codziennie czytający dzienniki („to stało w gazecie“), owa często domniemana tylko i zwo-dnicza powaga jest w wyobraźni i pojęciu włościanina nierozzerwalnie związaną z wyobrażeniem „książki“. Na skutek tej rozumiałej zresztą psychologii, wymaga od treści tej książki czegoś odpowiadającego stanowi ducha, z którym do czytania zasiada: treści nie nikłej, nie zamykającej go w czterech nagich kątach życia własnego albo życia sąsiadów i t. d. Dlatego właśnie więcej go zajmą fantastyczne opowiesci Verne'a aniżeli powieści Junoszy i t. d. Oczywiście te z jednostkowej obserwacji wyprowadzone wnioski nie mają pretensji

do teoretycznych uogólnień, ani tem mniej do powagi wskazań wydawniczych. Pragnę tylko zwrócić uwagę na pewną zaniedbaną, o ile się zdaje, cechę umysłowości ludowej.

W cennej pracy M. Brzezińskiego, drukowanej przed kilku laty w „Głosie“, uskarżano się na brak odpowiedniej literatury prawno społecznej dla ludu. Niezmiernie słusznie. Niejednokrotnie zgłaszano się do mnie, żądając książki „o prawach“. Szczególnie chodzi o prawa policyjne, bo wykształcenie prawne otrzymuje nasz włościanin w sądzie gminnym, „terminując“, jako powód i pozwany, oskarżyciel i oskarżony. Nic dziwnego, że w tej atmosferze wykształcenie przybiera charakter mocno podejrzany. Na punkcie prawa administracyjnego istnieje u nas książka Konica i Olshewskiego „Podręcznik dla władz gminnych“, który chybił celu, bo władze gminne nie potrzebują się uczyć z podręcznika, mając do czynienia z cyrkularzami i rozporządzeniami, a o ile potrzebują nauki, to ją czerpią z podręczników rosyjskich. Książka ta skrócona i przerobiona odpowiednio mogłaby przynieść pewien pożytek. Należałoby dodać konspekt prawa cywilnego i karnego, z wzorami skarg i przykładami, wskazówki co do kompetencji

władz włościańskich. Sądzę, że najodpowiedniejszą byłaby *encyklopedia wiadomości prawno-administracyjnych*. Rzecz ta wymagałaby znaczniejszego nakładu pracy, powinna powstać tylko w drodze pracy połączonej kilku osób, obeznanych z potrzebami życia ludu, ale opłacałaby się swoim, miałaby i głębokie społeczno-moralne znaczenie, bo wytrąciłaby, a przynajmniej próbowałaby wytrącić berło wszechwiedzy prawnej doradcom wiejskim, których jest coraz więcej,—brodatych i goloonych, w długich i króciutkich surducikach. Ważną również, a nieuwzględnianą dotychczas w technice wydawniczej kwestją jest fakt, że książki ludowe muszą być koniecznie wydawane w oprawach. Kto miał pod tym względem nieco wprawy, ten wie, w jakim stanie wracają książki wypożyczone chłopskiemu czytelnikowi, brudne, w strzępach, z rozrzuconymi kartkami. Żadne kary, ani prośby, ani groźby nie pomagają, bo pomódz nie mogą ze względu na warunki, w których włościanin odczytuje książkę. Należy uwzględnić te warunki—że, mianowicie, jego ręce są ciężkie i spracowane, że w chalupie niema niekiedy miejsca na przechowanie książki pod kluczem i t. d. i dawać trwałe oprawy. Pod tym względem wydawnictwa Wawelberga nie powin-

ny służyć za wzór, bo oprawa trylogji Sienkiewicza i pism Prusa jest nader nietrwała i w krótkim czasie ulega doszczętnemu zepsuciu.



W SPRAWIE KOLONJI LETNICH

dla Płocka i Łomży (1898).

I.

Dwadzieścia i parę lat mija od chwili, kiedy w głowie pastora w Zurychu W. Biona zaświtała myśl wysyłania dzieci biednych wyrobników miejskich na wieś, dla wypoczynku letniego i nabrania sił. Skromne były to początki; w pierwszym roku zaledwie 68 dzieci skorzystać mogło z gościnności kolonji letnich miasta Zurychu. Ale snąć myśl dobroczynna, popierana przez higienistów i patryjotów, którym zdrowotność i zanik sił u ludności wyrobniczej miejskiej dużo dawały do myślenia, padła na grunt przyjazny. Już w roku 1878 Zurych wysyła 242 dzieci, w roku 1884 liczba ta przekracza tysiąc, a w 1895 ogółem wysyła Szwajcary z 21 miast kantonalnych i pomniejszych osad fabrycznych 2,197 dzieci. Za czas dwudziestoletniego istnienia instytucji kolonij letnich w Szwajcarji, odbyło wilegaturę 21,729 pa-

ecjentów, rekrutujących się z pośród najbiedniejszej sfery pracowników miejskich. Rzecz jasna, że z pośród wielu tysięcy „powołanych“ zaledwie mała częśćka okazała się „wybraną“. Środki nie pozwalały na szersze zastosowanie „pełnych“ kolonji; próbowano tedy chociaż częściowo wpływać na uzdrowotnienie dzieci za pomocą t. z. półkolonji albo kuracji mlecznych. Dzieci zapisane, jako potrzebujące kuracji, nie wysłane jednak na wieś dla braku środków, otrzymują codziennie rano i wieczór przez cały czas pobytu ich rówieśników na wsi po porcji mleka i chleba; raz w tygodniu dzieci takie pod przewodnictwem nauczycieli i nauczycielek miejscowych wychodzą za miasto na dłuższe spacerki.

W Szwajcarji próbowano tej metody od r. 1880; do roku 1895-go korzystało z tej skromnej pomocy 28,344 pacjentów. Za przykładem Szwajcarji poszły inne kraje europejskie. W Niemczech za sprawą znanego higienisty doktora Varrentrappa wysłał m. Frankfurt nad Menem 37 słabych chłopców. Wnet inne miasta i środowiska przemysłu, na skutek agitacji, rozwiniętej przez kilku przedstawicieli higieny publicznej, urządziły swoje kolonie letnie i to w tak szybkim czasie, że już w roku

1880-ym można było pomyśleć o organizacji narodowej ruchu kolonijnego. Zmysł organizacyjny, dążność do zrzeszenia pojedynczych wysiłków, są to cechy naczelnego charakteru niemieckiego. Towarzyszy im niezmienna wytrwałość i cierpliwość na drodze do pewnego, jako rozumny, powziętego celu. Nic tedy dziwnego, że działalność na polu uzdrawiania dzieci miejskich doszła w Niemczech do tak potężnych rozmiarów. W roku 1885 zjednoczenie kolonji letnich niemieckich, posiadające swe biuro w Berlinie, poczęło prowadzić regularną i odpowiadającą ściśle rzeczywistości statystykę. W roku 1885 wysłano w Niemczech 13,907, w r. 1890 25,827, w 1894-ym 29,295 dzieci na wieś. W ruchu tym brało udział 125 miast. Ogółem wysłano dzieci od roku 1885 — 95 231,640. W tej liczbie z dobrodziejstwa pełnych kolonji korzystało 66.000, z półkolonji (kolonji wiejskich, kol. mlecznych) 24,000, z kuracji w miejscowościach leczniczych i kąpielowych (morskich, solankowych i t. d.) 75 tysięcy dzieci. Kolonie letnie posiadają w Niemczech 28 zakładów własnych w stacjach kąpielowych (morskich, solankowych i t. d.), a 11 nad brzegiem morza. Jak dalece instytucja kolonji letnich absorbuje uwagę publiczną w Niemczech, do-

wodzi cyrkularz, wydany przez ministerjum oświaty Królestwa Pruskiego, w którym czytamy: „Sprawozdanie złożone przez stowarzyszenia wysyłające biedne dzieci na letni wypoczynek dają niezmiernie dodatni obraz usiłowań w tym kierunku prowadzonych. Na podstawie sprawozdań tych wytworzyć sobie można przekonanie, że idea kolonij letnich znalazła dobroczynny odźwięk w sympatjach wszystkich warstw społeczeństwa. Ze względu na szybko i zadawalniający postęp sprawy tej rząd królewski nie przestanie w dalszym ciągu zwracać na nią uwagi“. Dzisiaj istnieją kolonje letnie w Europie i nie tylko w Europie. We Francji magistrat (rada municipalna) miasta Paryża wydaje rocznie 150 tysięcy franków na kolonje letnie stolicy, dzięki czemu 3,350 dzieci pod przewodnictwem 170 nauczycieli korzystać może z wywczasu wakacyjnego.

Prócz tego istnieje tam stowarzyszenie „Trois semaines“, założone przez księdza Lorriaux, posiadające własną willę na wsi i zamierzające założyć dom zdrowia nad brzegiem morza. Stowarzyszenie to dało przytułek w roku 1894-ym 1,000 dzieci. Kolonje letnie istnieją we Włoszech, w Austrii, (Galicja) w Danii i w Holandyi, w Anglii stowarzyszenie filantropijne *Chil-*

dren' Country Holidays Fund wysłało z Londynu w roku 1893-im 25,568 dzieci na dwutygodniowy wypoczynek letni. Takie same stowarzyszenia istnieją w Ameryce (niezmiernie liczne), w Hiszpanii, w Cesarstwie rosyjskiem. Nawet w Argentynie, w Buenos Ayres założono kolonję letnią, a i dzienniki japońskie rozwinęły znaczną agitację na rzecz tej znakomitej idei. Kongresy higieniczne od roku 1882-go, terytorjalne i międzynarodowe oświadczają się jak najgoręcej za szerzeniem tej dobroczynnej zasady. Istnieje cały szereg badań, które wykazały dowodnie i namacalnie, jak kolosalnie wpłynąć może na zdrowie pobyt dziecka w zdrowym, moralnym otoczeniu przez parę tygodni—zdala od pyłu, zgiełku i nędzy miasta, zdala od miliardów bakcyllusów, działających we wszelkich środowiskach przemysłowej walki o byt, bakcyllusów fizycznej i moralnej natury, prowadzących ludność ku zwyrodnieniu i upadkowi.

Zdrowa młodzież oznacza zdrową przyszłość narodu. Dla tego też idea kolonij letnich tak prędko, jak gdyby obuta w siedmiomilowe buty, podbiła sobie cały świat uczonych, filantropów i patriotów.

II.

Dość wcześnie zawitała myśl kolonji wakacyjnych w nasze strony. W r. 1879 w odczycie publicznym „O szkole i zdrowiu“ wspomniał o nich d-r Stanisław Markiewicz, a jednocześnie kółko filantropów, które gromadziło się około niego, poczęło prowadzić agitację na rzecz instytucji. Brak atoli zupełny środków, brak poparcia ze strony Towarz. Dobroczynności opóźniały urzeczywistnienie gorących pragnień tych ludzi, tak iż dopiero w r. 1882 Warszawa poszła za przykładem kilkunastu już wtedy działających w tym kierunku miast europejskich. Należy nam zaznaczyć, że wyprzedziła pod tym względem Petersburg i Moskwę, aczkolwiek te ostatnie rozporządzają zgola innemi środkami, i co więcej, jak to przyznanym nam zostało przez hygienistów rosyjskich, stała się dla nich poniekąd pierwowzorem, z którego odrysowano w latach późniejszych architekturę kolonji w różnych miejscowościach Cesarstwa Rosyjskiego. O ile jednak poród samej zasady był ciężkim, o tyle z chwilą przyjsia na świat, kolonje letnie warszawskie stanęły odrazu na pewnym a trwałym gruncie powodzenia. Następująca tabliczka statystyczna wykaże nam dowodnie stopniowy rozwój instytucji:

W r. 1882	wysłano na	wieś	52 dzieci
„ 1883	„ „ „	84	„
„ 1884	„ „ „	136	„
„ 1885	„ „ „	204	„
„ 1886	„ „ „	246	„
„ 1887	„ „ „	288	„
„ 1888	„ „ „	296	„
„ 1889	„ „ „	417	„
„ 1890	„ „ „	450	„
„ 1891	„ „ „	493	„
„ 1892	„ „ „	884	„
„ 1893	„ „ „	1368	„
„ 1894	„ „ „	1821	„
„ 1895	„ „ „	1875	„
„ 1896	„ „ „	1961	„
„ 1897	„ „ „	2315	„

Ogółem w przeciągu lat szesnastu istnienia kolonji letnich warszawskich, korzystało z ich dobrodziejstwa około 31,000 dzieci. Absolutnie biorąc jest to oczywiście nader nie wiele. Według obliczeń Rüstel'a, człowieka, który wiele lat życia swego poświęcił sprawom kolonji berlińskich, 4% dzieci od lat 7—15 potrzebuje opieki kolonji. Względnie jednak i do stopnia zamożności naszej i co więcej względnie do tego, co uczyniono na tym polu zagranicą, cyfra to bardzo wielka. Paryż, który jak wspomniałem wyżej ofiaruje koloniom corocznie z funduszków miejskich zapomogę

w ilości 150 tysięcy franków, liczy w kolonjach letnich wobec 2 milionów ludności zaledwie $3\frac{1}{2}$ tysiąca dzieci, Berlin wobec ludności trzy razy tak wielkiej jak ludność Warszawy, wobec stopy zamożności tej ludności, paręset razy przewyższającej nasze bogactwo miejskie, w r. 1896 wysłał około 4 tysięcy dzieci, a z pośród wszystkich innych miast niemieckich, liczących swoje kolonie letnie, jeden tylko Hamburg zbliża się do liczby dzieci wysłanych przez Warszawę.

Równolegle do ilości wysyłanych dzieci wzrastał i budżet kolonji warszawskich.— I tak, gdy w r. 1884 wydatkowano $2\frac{1}{2}$ tysiąca rubli, w r. 1886 $3\frac{1}{2}$ tysiąca, a w r. 1895 ogólna suma rozchodu wzrosła do 12,385, w r. 1896 do 19,231, a w r. 1897 do poważnej sumy 22,813 rub. 81 kop. Jeżeli zważymy, że „bogaty“ Berlin ofiaruje na rzecz swych biednych dzieci około 100 tys. mar. rocznie (w ostatnich latach) i że na tę ofiarę składają się sami bogaci bankierzy, przemysłowcy i rentierzy, gdy budżet wpływów kolonji letnich warszawskich wykazuje stale nieprzejrzone szeregi drobnych najczęściej „grosików wdowich“, naszej filantropji wielkomięskiej—to przyjdzie nam uchylić czoła przed wysokością spełnionego zadania i przed znakomitością osiągniętego rezultatu.

W samej rzeczy zauważmy, że „przychód“ r. 1897 obejmuje następujące pozycje:

1) remanenta z r. 1896	rb.	8,808,74 $\frac{1}{2}$
2) z ofiar wpłynęło w r. p.	„	14,373,64
3) procenty od kapitałów	„	961,55
4) sprzedaż rabatowa	„	4,978,86
5) składka członków	„	510

Ogółem rb. 29,632,79 $\frac{1}{2}$

Na r. 1898 pozostało w kasie blisko 7 tysięcy rubli. Nie zapominajmy również, że zarząd kolonji, dążąc do możliwie szerokiej oszczędności w administracji, zakazuje bezwarunkowo amputacji oszczędnościowych na żołądkach i wygodzie dzieci. Żadnych zbytków, ani wybryków, ale strawa powinna bezwarunkowo odpowiadać wymaganiom higieny. Dla tego też koszt dzienny utrzymania dzieci waha się pomiędzy 25—15 k. na osobę, ale dla tego też obejmuje 0,64—0,49 funtów mięsa, 1,11—0,73 kwart mleka, 0,92—1,17 ft. pieczywa i pokarmów mączkowatych na dobę. Są to porcje, które zadowolić mogą wybredne chociażby wymagania higienistów. Ale dla tego też rezultaty pobytu dziecka na wsi są tak widoczne. Przeciętna przyrostu wagi ciała w ciągu 4 tygodni wynosiła np. w r. 1896 trzy i pół funta, wahając się między 15 i 0,5 ft.

Przez lat piętnaście byt kolonji letnich warszawskich nie należał do szczęśliwych. Kolonje były, jak owe rośliny na jeziorach, co rosną bez korzeni. Corocznie trzeba było starać się o specjalne zezwolenie władzy na zbieranie składek, na wysyłanie dzieci i t. d. Podziwiać tedy trzeba wytrwałość, z jaką lekarze warszawscy: Fritsche a szczególnie Markiewicz przy współudziale kilkunastu osób z szeregów inteligencji warszawskiej (w połowie kobiet), przełamując tysiączne przeszkody, zwyciężając lenistwo nasze, zapominając o własnych krzywdach, o potwarzach i obmowach, bez których niemasz działalności społecznej, dążyli stale do jednego ukochanego celu. Nareszcie w roku 1897 po paroletnim daremnym „pukaniu“ przekształcono dorywcze „kółko filantropijne“ na stałą organizację „Towarzystwa kolonji letnich w Warszawie“. Od tej chwili rozpoczyna się nowa era w dziejach sympatycznej instytucji. Posiadając zdobyte w 15-letniej pracy doświadczenie, oparte na stałych podstawach bytu prawnego, nie utraciwszy sympatji społeczeństwa, a przeciwnie dzięki stałej popularyzacji swych haseł i zdobyczy, zyskując coraz więcej zaufania w kołach maluczkich—instytucja kolonji letnich warszawskich patrzy śmiało w przyszłość. Przyszłość bo-

wiem otwiera przed nią dalekie i szeroko pomyslane perspektywy działalności: zbudowanie własnych zakładów leczniczych w miejscowościach kąpielowych (na podobieństwo istniejącej już kolonii w Ciechocinku), wykształcenie stałego personelu kolonijnego, zwiększenie wysyłki dzieci do pięciu tysięcy dzieci rocznie, utworzenie nowych kolonji dla młodzieży (od lat 13—17), zorganizowanie pół-kolonji dla dzieci mniej potrzebujących ciągłego wypoczynku na wsi, oto garstka nie zupełna na chybi-trafi zebrana tych nici różnobarwnych, z których utkaną będzie „przyszłość“ kolonji letnich warszawskich.



III.

Nie po różach płynie ścieżyna naszej działalności społecznej. Jakże gęsto usłana jest ona cierniem, a głógiem. Zda się, iż grając w orkiestrze społecznej, dostroiłeś wszystkie instrumenty do jednego wspólnego kamertonu, iż harmonijnie łączyć się zaczęły tony w akordy, a akordy w zdania i tak dalej, i tak dalej. Wnet jednak odzywają się ze zgrzytem dysonansu puszczyki „krytyki“. Nie chodzi tu o ową sprawiedliwą, na faktach opartą, z miłości

i prawdy zrodzoną krytykę. Ta ostatnia jest w skutki płodną, zbawienną, jest twórczą, jest fermentem, dzięki któremu „teraźniejszość” przeobraża się w „przyszłość”. Ale taka krytyka nic wspólnego nie ma z owem zrządzeniem niedowarzonych polityków z narożnej cukierni, z potwarczością sykofantów, z oskarżeniami Meletusów, których aż nadto wiele liczą epoki, nie szczycące się bynajmniej posiadaniem Sokratesów.

Niekiedy ci „krytycy” występują w rynsztunku strażackim. Gasić ognie zapалу! „Nic nie było, nic nie będzie”. „Z próżnego i Salomon nie należy”. „Wątpienie jest początkiem filozofii”. To jest ich amunicja filozoficzno-praktyczna. Gdy kolonje letnie warszawskie rozpoczynały swój pochód z krain nicości ku szlakom powodzenia, stałego i zorganizowanego bytu, dziwili się tacy panowie odwadze garstki pionierów nowej idei społecznego współdziałania na korzyść wydziedziczonych. Gdy już myśl znalazła trwały grunt pod nogami, rozpoczęła się epoka potwarzy i oskarżeń: „marnujecie grosz publiczny, jesteście administratorami nieudolnemi”; według jednych żywiono dzieci zbyt dobrze, zanadto smacznie i obficie i z takim zarzutem wystąpić się odważyła znana specjalistka od

smażenia kotletów, Cwierciakiewiczowa; byłoby to, jak mówią Anglicy „nosić węgiel do Newcastle”, gdybyśmy zechcieli wyliczyć te wszystkie objawy bezrozumnych zrządzeń, oskarżeń i nagan, które spotkały kolonje letnie z obozu tej właśnie „krytyki”. Niemasz jednak lepszej odpowiedzi na wszystkie zarzuty, nad prawdę, nad fakt, nad bezpośrednio, a doświadczalnie zdobyty rezultat.

Oto właśnie kilka w tym rodzaju szczegółów spisanych z akt doświadczalnych praktyki zagranicznej (a więc przedmiotowej). W wykładzie mianym na 65-ym Zjeździe przyrodników i lekarzy niemieckich w Norymberdze w roku 1892-im, przytoczył Dr. Schmidt—Monard z Halli rezultaty swych badań, dokonanych na 1000 dzieci wysyłanych na kolonje. Oto jego słowa: „Po trzytygodniowym pobycie dzieci na wsi, przybywa im co najmniej rok na wadze ciała i długości oddechu. Pod tym względem zdobyto wszystko, co się tylko dało osiągnąć, dzieci te bowiem o cały rok były w rozwoju swym spóźnione, zanim wysłane zostały na wieś”. Lekarz miejski w Zurychu Dr. Leuch dokonał na życzenie zarządu kolonij szwajcarskich badań nad składem krwi dzieci wysyłanych na kolonje letnie. Sprawozdanie jego tyle jest cie-

kawe, że przytoczymy zeń kilka ważniejszych ustępów dosłownie.

Ktokolwiek miał sposobność przyjrzenia się „kolonistom“ przed ich wyjazdem i po przyjeździe do miasta, ten nie jest zdolny zapanować nad zdziwieniem własnem. Zdrowa cera, zamiast bladej, świeżość i siła, zamiast dawnego opuszczenia i słabizny itd. Nie brakło jednak głosów, które odmawiały racji bytu kolonjom: znaczny przyrost wagi objaśniały te głosy nie wpływem kolonij, a raczej porą roku, wakacjami spędzonymi na świeżym powietrzu, po zimie przebytej w ciasnych ścianach szkoły miejskiej. Liczna statystyka ważenia dzieci dokonana w Szwajcarii przez Spiessa dowiodła zupełnie odmiennych rezultatów: przyrost na wadze u dzieci na koloniach był 7 i 8 razy większy, niż u dzieci, które wakacje swe odbywały u rodziców w mieście. Lepszym atoli sprawdzianem błogosławieństwa, które spływa na uczestników kolonji letnich, jest badanie przemian, które odbywają się we krwi. O ile podstawowe części krwi zwiększają się lub zmniejszają, o tyle rezultaty fizyczne są lepsze lub gorsze. Leuch w tym celu badał krew u 224 kolonistów przed wyjazdem dzieci na wieś i po powrocie ich do domu. Znalazł przede wszystkim dość charakterystyczny szcze-

gół, a mianowicie, że konstytucja krwi była u chłopców o wiele gorsza, aniżeli u dziewcząt, czyli, że chłopcy potrzebują wypoczynku o wiele więcej, aniżeli dziewczęta (ma się rozumieć, że dotyczy to tylko ludności Zurychu). Badania te w dalszym ciągu wykazały, że kilkotygodniowy pobyt na wsi nie wywiera *żadnych* dodatnich wpływów na dzieci dotknięte blednicą w wysokim stopniu (chlorosa) i że w takich wypadkach koniecznym jest pobyt kilkumiesięczny, oraz stosowanie właściwego leczenia żelazem. Natomiast wprost bajecznym był rezultat pobytu na wsi w stosunku do dzieci anemicznych i przeciwnie, im anemja była wyższą, tym rezultaty były lepsze. Ażeby przekonać się, czy skutki pobytu na kolonji mają charakter stały, poddano 34 kolonistów dwukrotnemu jeszcze badaniu z przerwą dwumiesięczną, przyczem okazało się, że skutki są w zupełności trwałe. Dr. Leuch kończy swój referat temi słowy: „Opierając się na tych doświadczeniach przychodzę, jako lekarz i higienista, do wniosku, że należy kolonie letnie uznać za jedną z najdobroczynniejszych instytucji, której niewątpliwe błogosławieństwa zdrowotne posiadają tym wyższe znaczenie, iż nie są przejściowej ale trwałej natury, a tym samym dotyczą nie tylko samych dzieci, ale ogółu“.

Do tych samych wniosków przyszedł dr. Goepel z Frankfurtu nad Odrą, który na jednym z ostatnich kongresów międzynarodowych, higieniczno-demograficznych (1894) przedstawił swoje spostrzeżenia nad 365 dzieci. „Jestto poprostu zdumiewającym, jeżeli dzieci, których dotychczasowy rozwój był o wiele spóźnionym, po 30 dniach pobytu na wsi, na kolonji letniej, uzupełniają swe braki i gromadzą taki kapitał siły, że nie tracą go po kilkomiesięcznym pobycie wśród dawnego otoczenia swego. Znaczenie kolonij letnich da się ująć w formę obrazu, iż zdejmują one ciężar przygniatający sprężynę rozwoju fizycznego; gdyby nie one, sprężyna mogłaby z łatwością stracić elastyczność na zawsze. Pobyt na kolonji działa jak akumulator energii wzrostu, jak akumulator siły odżywiającej tkanki“.

U nas podobną pracę podjęła pani dr. Tomaszewicz-Dobrska. Jej tablice statystyczne budziły podziw na ostatniej wystawie higienicznej w Warszawie (1896).

~~~~~  
IV.

Jakiż będzie rezultat powyższych wywodów? Nie chodziło nam bynajmniej o sam tylko zarys historyczno-porównaw-

czy rozwoju kolonji dla słabowitych dzieci u nas i zagranicą, o garść informacji pouczających; cel nasz jest czysto praktyczny. Artykuły poprzednie posłużyły jeno za wstęp do właściwej treści kwestji, którą podnieść autor zamierzał, jeno za przygrywkę do właściwej melodji, co do której pragnął, aby się dodatnim echem w umyśle i uczuciach czytelników naszych odbiła. Chodzi nam, powiedzmy śmiało, o kolonje letnie dla Płocka i Łomży. Nie ulega żadnej wątpliwości, że znajdzie się materiału dziecięcego, zasługującego na opiekę podostatkiem; jesteśmy przekonani, że znajdzie się również gromada uczciwych serc w jednym i drugim mieście, która praktycznym wykonaniem tej arcyważnej sprawy zająć się zechce z oddaniem rzetelnym, z miłością prawdziwą, z wiarą w swoje posłannictwo. Właściwie zapytać się należy, dla czego do tej pory niema kolonji w Płocku ani w Łomży? Dla czego wyprzedziły je pod tym względem Łódź (dwa kółka) i Radom, Kraków i Poznań? Kwestje materialnej natury nie objaśniają nam milczenia przedstawicieli Płocka i Łomży w ogólnym chórze naszych krajowych działaczy kolonijnych. Czy Radom jest bogatszy od Łomży albo Płocka?

Mniemamy, że owa abstynencja inteli-



gencji plocko-łomżyńskiej objaśnić się daje tylko specjalnymi warunkami dotychczasowego jej bytowania; gdy brakło organu, jednoczącego jej i tak już wcale nie wieloliczne szeregi, nastąpiło zupełne rozstrzelanie chęci i czynu, zamiarów i zabiegów. Dziś te stosunki uległy radykalnej zmianie i rzeczą jest tej inteligencji mazowieckiej postarać się, aby istotnie „Echa” stały się ogniskiem fizycznym wszystkich, z całego obszaru dwu gubernji płynących, promieni myśli uczciwej i czynu pożytecznego. I dlatego właśnie na łamach „Echa” podnoszę sprawę kolonji letnich; jest „parlament”, gdzie wygadać się można będzie dowoli, gdzie umiejętna dyskusja dopuści do głosu każdego, ktoby radą i doświadczeniem w tej sprawie służyć mógł i chciał; projekty przejdą przez sita wzajemnej krytyki, znajdą się nietylko mówcy ale i wykonawcy...

Sądzę, że powołanie do życia nowej instytucji dobroczynnej w Płocku lub w Łomży nie powinno być połączone z nadmiernymi przeszkodami. Cenne doświadczenie warszawskich kolonji, z którego korzystać będzie można pełną ręką, oszczędzi reformatorom mazowieckim wielu niepotrzebnych kroków, a co więcej wielu fałszywych prób, od których nieodłączną jest wszelka nowa-

torska działalność. Pozwolenie administracji da się uzyskać z łatwością. Materiał dziecięcy da się odszukać przy pomocy nauczycieli szkół miejskich, przy pomocy organizacji już istniejących Towarzystw dobroczynności; lekarze chętnie podejmą się superewizji lekarskiej i dokonają wyboru pacjentów najbardziej świeżego powietrza potrzebujących. Paru obywateli podmiejskich przyjmie jeszcze na lato bieżące po kilka lub kilkanaście dzieci na przeciąg paru tygodni, i ofiaruje się utrzymać darmo albo na koszt zarządu kolonji letnich w Płocku i Łomży. Tak bywało za pierwszych lat założenia kolonji warszawskich, za lat głodowych, kiedy fundusze były skąpe i trzeba było odwoływać się do podobnej filantropji. Poza tem należy zbierać składki wśród sfer zamożnych, które liczą poważnych przedstawicieli w jednym i drugim mieście gubernialnem.

Jesienią trzeba będzie pomyśleć o uzbiowaniu jakiegoś podstawowego kapitału, który da się osiągnąć bądź za pomocą koncertów i przedstawień teatralnych, bądź za pośrednictwem jednodniówki, która liczyć może (a przynajmniej powinna) na szeroki odbyt na przestrzeni całego Mazowsza. Znajdą się pióra literackie i artystyczne w całym kraju, które staną do apelu, gdy



się je zawezwie pod sztandar uczciwej sprawy. Nie jest to nic nowego. Nasza dobroczynność niejednokrotnie już korzystiała z takich środków. Nie będziemy torowali nowych dróg; idąc wydeptaną ścieżką, pójdziemy po drodze najmniejszego oporu. Być może atoli, że czas już obecnie jest spóźniony; że inteligencja do umysłu i uczuć której apelujemy, pogrążona przez lat tyle w „śpiączce dogmatycznej“ potrzebować będzie pewnego dłuższego czasu na ukonstituowanie swych szeregów, na wypracowanie projektów. Nie odkładajmy jednak sprawy do jutra. Gdy wszystkiego zdobyć nie będziemy mogli, postarajmy się conajmniej o uzyskanie części zamierzonych rezultatów. Urządźmy półkolonję. Niechaj wezmą to w swe ręce damy płockie i łomżyńskie, niechaj gromadzą raz albo dwa razy dziennie anemiczne dzieci do siebie, albo w gmachu szkolnym, ofiarują każdemu pacjentowi po szklance mleka i kromce dobrego chleba, niechaj od czasu do czasu urządzają dla tych dzieci wycieczki za miasto, w pola i lasy. Koszty takich półkolonji są tak niewielkie, że o to się chyba sprawa nie rozbije. Będzie to jak gdyby próba jeneralna prawdziwych, zupełnych kolonji, których era rozpocznie się w najbliższej, jutrzejszej przyszłości.

Czy dziś czy jutro kolonje letnie zaczną działać w Płocku i Łomży. Mamy to głębokie przeświadczenie. Nie przegrywa się uczciwych spraw przed uczciwym sędzią. One muszą być. Albowiem chcemy mieć kolonje letnie, a więc będziemy je mieli.

V.

W rok później.

Rok już prawie mija od czasu kiedy w szeregu artykułów, „Echa“ zaznajomiły swych czytelników ze stanem obecnym kolonji letnich dla biednych dzieci za granicą i u nas; artykuły te miały służyć prócz akademickiego i czysto praktycznemu celowi, chciały mianowicie zapoczątkować projekt stworzenia kolonji dla dzieci Płocka i Łomży. Autor mniemał, że co dobre dla stolicy, będzie dobre dla prowincji, przypuszczał, że na co zdobyć się potrafiły Łódź i Radom, na to zdobędą się mazowieckie grody. Jak dotąd głos ten został bez praktycznego celu. Nie wolno nam zataić, że istotnie przypadł on do smaku niejednemu z działaczy społecznych w granicach ziemi naszej pracujących. Mamy na to dowody. Ale prócz tych platonicznych oświadczeń uznania *ad hominem*, nie uczyniono nic dla urzeczywistnienia sprawy,



którą uważamy za godną poważnych rozmyślań i trudów.

Tymczasem gdzieindziej kolonje takie rozwijają się coraz piękniej, dają coraz to lepsze rezultaty, przynoszą coraz to pełniejsze a zdrowsze owoce. Gdzieindziej, to znaczy dla nas przedewszystkiem—w Warszawie. Leży oto właśnie przed nami świeżo z pod prasy drukarskiej wydane sprawozdanie z działalności Towarz. kolonji letnich w mieście Warszawie za rok 1898. (str. 89).

W roku minionym towarzystwo liczyło członków rzeczywistych 236, zwyczajnych 291. Na czele towarzystwa stoi komitet złożony z 15 osób (w tej liczbie 3 panie); komitet odbył posiedzeń 11. Do zapisu zgłosiło się dzieci 4,120, z których zakwalifikowano do wyjazdu dzieci 2,222 t. j. 76%). Postęp uwidoczniają liczby następujące:

|                        | rok 1896 | 1897 | 1898 |
|------------------------|----------|------|------|
| zapisano dzieci        | 3240     | 4032 | 2908 |
| zakwalifik. do wyjazdu | 2280     | 2744 | 2908 |
| wysłano                | 1961     | 2136 | 2222 |

O dzieciach wysłanych, sprawozdanie przytacza szczegóły następujące: co do płci wysłano 1,146 chłopców i 1,076 dziewcząt, co do wyznania: chrześcian 1,620, żydów 601, co do wieku: najmłodsze dzieci liczy-

ły lat 7 (takich było 3), najstarsze 15 (2), najwięcej zaś było 9-letnich (559); co do wykształcenia: chodziło do szkoły 1,498 t. j. blisko 70% (cyfra dość jak na stan oświaty u nas pocieszająca!); co do opieki domowej: posiadało rodziców 1,841, sierot zupełnych było zaledwie 47.

Na stan zamożności dzieci wysłanych rzuca światło statystyka mieszkaniowa, przeprowadzona przez urzędników towarzystwa. Zdarzało się bowiem, że pod miano „biednych i słabowitych“ dzieci, podszywano dzieci rodziców zamożnych. Towarzystwo tedy, po zapisie dokonany przez rodziców, bada stan zamożności na miejscu przez urzędnika zaufanego. Okazuje się tedy, że w roku sprawozdawczym, mieszkanie rodziców składało się z jednej izby w 1,469 wypadkach ( $\frac{2}{3}$  ogólnej liczby), z dwóch izb w 604. Przeciętna liczba osób w izbie wynosiła 6—7 (najwyższa 18 w 1-nej izbie; w jakim świetle ta jedna cyfra przedstawia nędzę wielkomiejską!)

W roku sprawozdawczym dzieci przebywały na 13 kolonjach, z liczby których 3 utrzymywane były przez osoby prywatne, w siedmiu wypadkach udzielono kolonjom mieszkań darmo, w trzech zaś wypadkach Towarz. płaciło właścicielom za mieszkanie.

Opieka i usługa na kolonjach wykony-



waną była przez 84 osoby. Stan zdrowotny wogóle był bardzo dobry (ogółem wypadków chorób było 36). Co do rezultatów higienicznych, mówi sprawozdanie.

„Pomijając nie ulegający wątpliwości wpływ dobroczynny na wszystkie narządy, ujawniający się w lepszej ich sprawności i większej odporności na niepomysłne czynniki, jednym ze sprawdzianów jest przyrost ciężaru. Przyrost ten jest tym ważniejszy, że dziecko, używając przez znaczną część dnia ruchu i znajdując się w warunkach przyspieszających przemianę materji, ma podczas pobytu na kolonji raczej skłonność do straty na ciężarze. Pomimo to średni przyrost ciężaru u dziecka przez 4 tygodnie wyniósł  $3\frac{1}{2}$  funta. Największy przyrost był 12 ft., najmniejszy  $2\frac{1}{2}$  ft.“

Stan finansowy przedstawia się, jak następuje: Z roku poprzedniego (1897) pozostało rb. 6,808 k. 98, w roku sprawozdawczym wpłynęło: ze sprzedaży rabatowej rb. 5,306 k. 35, z ofiar 13,978 k.  $99\frac{1}{2}$ , ze składek członków rb. 3,566 k. 50, z procentów od kapitałów rb. 1,364 k. 55, z ofiar w naturze rb. 2,393 — ogółem rb. 30,887 k.  $74\frac{1}{2}$ , a wydatki wyniosły rb. 23,933 k.  $44\frac{1}{2}$ , pozostało tedy na rok następny rb. 6,954 k. 30. Widzimy więc, że zarząd gospodaruje dobrze, kiedy bilans instytucji

cji dobroczynnej, żyjącej głównie z ofiar prywatnych, niestałych, potrafi zamknąć remanentem tak pokąznym.

Przeciętny wydatek na 1 dziecko wynosił rb. 11 k. 65 (najmniej rb. 7 k. 46 w Przedborzu, najwięcej rb. 12 kop. 90 w Ciechocinku).

Inwentarz Towarzystwa oceniono na 10 tysięcy rb. Kapitał żelazny utworzony z kapitałów: Skiwskich, Czabana, Milewskiego, Rosenberga, Stachowskiego — wynosi rb. 25,500. Towarzystwo posiada również kolonję wiejską pod Warszawą, zapisaną przez A. Stachowskiego. Ogółem majątek Towarzystwa oceniono na rb. 43,504 k.  $96\frac{1}{2}$ .

\* \* \*

Zamykamy uwagi sprawozdawcze nasze przypomnieniem, wypowiedanem pod adresem właściwym, aby nie pozostawiono odłożeniem sprawy zakładania kolonji letnich w okolicy najbliższej nas obchodzącej. Jestto obowiązkiem przede wszystkim lekarzy zamieszkałych w Płocku i Łomży. Wciąż i bezustannie skarżymy się na Anioła Stróża życia prowincjonalnego na wszechpotężną *Nudę*, na szarzyznę życia, które nas otacza, na brak pola do pracy społecznej, uczciwej, a owocnej. Z drzemki budzi nas zaledwie pobudka...wintowa. A tu spojrzeć



tylko, jakie wielkie dziewicze, nietknięte ugory oczekują oracza, tęsknią za siewcą. Ile treści dobroczynnej, prawdziwie obywatelskiej włożyć można w te ramy życia, wśród których pędzimy zazwyczaj bytowanie ślimacze, uciekając przed lada wietrzykiem niepowodzenia pod osłonę skorupy!

Jednym skrawkiem tego ugoru są u nas kolonie letnie dla słabowitych dzieci.

Uprzypomnijmy sobie, że nie tylko tacy magnaci, jak Paryż, jak Berlin—jak Warszawa pozwalają sobie na zbytek utrzymywania kolonji letnich.

W Szwajcarji, jak pisaliśmy w roku zeszłym, lada chudopacholek miejski, lada osada licząca 5-6 tysięcy ludzi utrzymuje kolonję letnią. Skromne to oczywiście zapoczątkowania! Jeden dwu lekarzy, ksiądz, adwokat wspólnemi siłami zbierają biedne dzieci dwa razy w tygodniu (albo i codzień) w jednym miejscu, (zazwyczaj w budynku szkolnym), każą pić mleko, ile które wypić zechce i potrafi—i wyprowadzają za miasto na pola i łąki. Tutaj po odpoczynku organizuje się zabawa, w którejby dzieci wszystkie udział przyjąć mogły. Takich gier jest dziś w epoce „ogródków Freblowskich“ mnóstwo. Pomyśleć tylko, ile zacnych myśli, ile uczciwych uczuć wpoić, poddać potrafi takiej gromadzie inteligientny prze-

wodnik, w słońce ideału zapatrzona dozorczyń. Jakie to ziarna uspołecznienia, uobywatelenia posiać można w sercach tych mieszkańców suteryn wielkomiejskich, ofiar nędzy i ciemnoty.

Środków pieniężnych na to trzeba mało i środki takie znajdują się stale. Trzeba tylko jednej drobnej na pozór rzeczy, bez której nie masz żadnej działalności społecznej, bez której, co więcej nie masz — człowieka! Trzeba tylko bliźniego swego miłować.

~~~~~  
VI.

Od roku 1899-ego wyjeżdżają już stale dzieci biednych rodziców z Płocka do Ciechocinka, początkowo tylko dzieci chrześcijańskie, od r. 1902-go i dzieci żydowskie. Rezultaty, sądząc ze sprawozdań, tych wyjazdów, przeszły oczekiwania i pobiły na głowę wszelkie wątpliwości pesymistów. I Łomża pewnie niedługo każe nam czekać na swoje własne „kolonie letnie?“



W KINEMATOGRAFIE.

MOZAIKA DZIAŁALNOŚCI SPOŁECZNEJ.

(Rok 1897).

I.

Szkoła ludowa w Berlinie. — Praca dzieci w przemyśle fabrycznym, rzemiosłach i rolnictwie.

Normalny i racjonalny rozwój szkoły ludowej w Berlinie nie jest wcale starym; liczy nie więcej nad 75 lat. W roku 1820 mianowicie oddano t. zw. szkoły dla biednych dzieci (Armen-Schule) pod opiekę miasta; wtedy, spośród 24,000 dzieci tej klasy trzecia część (8000) nie uczęszczała wcale do szkoły, a reszta umiała czytać i pisać. Miasto otrzymało wtedy od rządu 6 szkół przeznaczonych dla 500 dzieci! Około 700 dzieci uczyło się na koszt rządu w szkołach elementarnych prywatnych, nader licznych w owym czasie, dostępnych jednak tylko dla dzieci rodziców zamożnych. Dla ścisłości obrazu dodać nam należy że prócz wyliczonych istniały jeszcze szkoły parafialne i cechowe, nie warto atoli o nich wspominać dlatego, że pożytku

dawały nader mało, a że były nieliczne i ciasne więc nie zadawały nawet potrzeb tych sfer, dla których w pierwszym rzędzie były przeznaczone.

Magistrat berliński rozpoczął działalność swą od bardzo zdrowego i praktycznego poglądu. Wszak przedewszystkiem dbać o to należy, aby wszystkie dzieci w wieku szkolnym rzeczywiście znalazły się pod wpływem dobroczynnym szkoły. Że jednak szkół własnych początkowo było mało, więc korzystać należało z typów istniejących: magistrat tedy płacił szkołom prywatnym za naukę możliwie wielkiej sumy dzieci, a na rodziców starał się oddziaływać, aby dzieci z dobrodziejstwa korzystały. Najoporniej szło rzeczywiście z dziećmi które od najmłodszych lat (od 6 roku) pracowały po fabrykach. Tutaj nie wystarczało słowo zachęty, bo przeciwstawiano mu argument „głodu“. Trzeba więc było inicjatywy prawodawczej: wydano nasamprzód zakaz przyjmowania do fabryk dzieci nie mających 9 lat skończonych, następnie przeniesiono tę granicę do 12, w nowszych czasach do 14-go roku. Dzisiaj w teorii przynajmniej każde dziecko dopiero po ukończeniu szkoły ludowej może rozpocząć życie pracy.

Równolegle atoli rozwijały się „własne“

szkoły ludowe miejskie. W roku 1840-ym liczył Berlin 12 szkół o 73 klasach i 7,642 ucz.; w r. 1850-ym 15 szkół i 10 tys. dzieci; w r. 1860-ym 20 szkół, 185 klas i 14178 dzieci. Jak widzimy, rozwój biegł powoli, program nauki był wciąż jeszcze bardzo mierny: czytanie, pisanie, rachunki, katechizm, śpiew — wszystko rzecz pewna w dozach homeopatycznych; przymtem szkoła nie zatraciła była jeszcze piętna nędzy i nazywała się jak dawniej *Armenschule*, każdy więc jakkolwiekby nie pożarty przez biedę mieszczanin albo rzemieślnik, o ile tylko mógł, starał się posyłać swe dzieci do szkoły prywatnej.

Stosunki uległy zupełnemu przewrotowi po zwycięstwach orła pruskiego we Francji. Berlin traci w przeciągu roku lub dwu wszystkie cechy drobno albo średniomiejsczkowe, które nosił dawniej. Z dniem każdym przybywają nowe ulice, zabudowują się nowe dzielnice; powstaje i rozwija się zupełnie nie naturalnie, a gwałtownie, sztucznie, w atmosferze inspektowej pięciu zrabowanych miliardów przemysł berliński. Na tle tych stosunków zarysowują się nowe kontury szkoły ludowej. W roku 1870-ym magistrat znosi opłatę szkolną — i słusznie twierdzi autor sprawozdania, z którego korzystamy, że

„rzadko który samorząd miejski powziąć się ważył tak śmiało postanowienie“. Istotnie konstytucyjne cechy szkoły ludowej ulegają zupełnemu przewrotowi. Zamiast „*Armenschule*“ powstają szkoły, których wrota naóścierz się otwierają dla wszystkich dzieci bez różnicy stanu, klasy społecznej, stosunków materialnych. Tylko w takich warunkach zasada przymusowego wykształcenia elementarnego staje się zrozumiałą i istotnie obowiązującą. Już w pierwszym roku przybywa do szeregów uczniowskich około 13,000 świeżych zastępów szkolnych. Od roku 1873 — 1878 ilość szkół wzrosła od 71—104, ilość klas od 950 — 1457 a ilość dzieci od 55,589 do 86,852. Wystarczy przyjrzeć się tym cyfrom, aby zrozumieć, ile pracy, ile gienjalnej wytrwałości, ile praktycznego wyrachowania musiał poświęcić magistrat, aby uczynić zadosyć coraz potężniejszym potrzebom rosnącej na drożdżach stolicy. Ze wsi nadciągają zwarte bataljony robotników, ilość dzieci w wieku szkolnym powiększa się olbrzymio: trzeba nauczycieli, budynków, trzeba przede wszystkim miejsca odpowiedniego dla szkoły. Tak np. w roku 1885-ym, ilość dzieci w wieku szkolnym wzrosła w porównaniu z cyfrą z roku poprzedniego o całe 11,000 (zwykła nor-

ma jest 7,800). Dla tych 11 tysięcy trzeba w najkrótszym czasie stworzyć naukę szkolną. Tylko „gienjusz organizacji“ szczególnie łaskawy dla plemienia giermańskiego mógł zdziałać, że potrzebom tym można było w nowym czasie uczynić zadosyć.

Najlepiej uzmysłowi nam tę działalność następująca tablica:

Rok	Ilość dzieci w wieku 6—14 lat.	Uczniowie Ilość uczą- szkół lud. sta- cych się nowią % w szkołach wszystkich lud. miejskich dzieci w wie- ku szkolnym.	
1878	115,173	79,981	69,44
1879	121,252	86,852	71,63
1880	127,553	93,591	73,37
1881	136,924	102,655	74,97
1882	147,436	112,863	76,55
1883	156,744	122,098	72,90
1884	169,491	131,933	79,24
1885	178,314	142,982	80,19
1886	184,868	149,514	80,88
1887	191,690	156,053	81,91
1888	197,748	162,230	82,04
1889	202,227	166,619	82,37
1890	205,111	169,681	82,70
1891	208,165	171,994	82,62
1892	209,350	173,338	82,96

W roku 1895 ilość dzieci uczęszczających do szkół ludowych w liczbie okrągłej przekracza już 200,000. Ilość szkół wynosiła w tym roku 215. Tutaj też zaznaczyć należy, że owe 18% brakujących dzieci (patrz ostatni wiersz tablicy, ostatnia kolumna cyfrowa) przypada na dzieci rodziców zamężnych uczących się w domu, w gimnazjum, na pensjach prywatnych, w szkołach wojskowych. Wykształcenie przymusowe powszechne istotnie nabiera tutaj realnych i konkretnych kształtów!

Przyjrzyjmy się szkole ludowej w Berlinie! Czytelnik musi na chwilę zapomnieć o wzorach rodzimych, prowadzimy go bowiem w jakiś zaczarowany kraj—pałaców. Szkoła ludowa w Berlinie — zawsze jak wszystkie budowle w tym mieście nosząca piętno koszarowego stylu — stanowi duży gmach o 16—20 salach przeznaczonych na klasy, niezależnie od salonów dla rysunku i gimnastyki. Niekiedy napotykamy szkoły podwójne (dla chłopców i dziewczyn) o 40 salonach mogących pomieścić 2,000 dzieci. Takie budowle odrazu rzucają nam się w oczy. Widać, że stanowią one przedmiot specjalnej pieczy zarządu miejskiego. Pochłonęły dziesiątki milionów marek—przy czym każda szkoła kosztowała około 150 tysięcy marek. Ilość dzieci w klasie wynosi

przeciętnie 50 i nie przekracza nigdy cyfry 62. Schody są tak szerokie, że dzieci po 4 w szeregu mogą schodzić na dół i szkoła może być opróżniona w przeciągu pięciu minut. Korytarze są tak obszerne, że mogą służyć za miejsce przechadzek dla dzieci, o ile pogoda nie pozwala korzystać z ogrodu. Szkoła jest ogrzewana parą. We wszystkich nowszych budynkach zaprowadzono łazienki i prysznice. Młodsze pokolenie zajmuje niższe piętra; tutaj mianowicie pozostają dzieci rodziców nie wychodzące z gmachu szkoły aż do wieczora, kiedy matki—robotnice przychodzą po nie; w godzinach nieszkolnych opiekują się nimi stowarzyszenia dobroczynne kobiece, delegujące swoich członków dla dozoru i zabawy dzieci.

Stowarzyszenie, dostarczające dzieciom gorącego jadła *), przysyła do szkół śniadanie i ofiaruje biedniejszym dzieciom obiady bezpłatne. Każda szkoła posiada dwie biblioteki nauczycielską i uczniowską, które prócz jednorazowego zasiłku 1,000—1,200 mar. otrzymują roczną zapomogę w ogólnej sumie 54,000 marek. Prócz tego istnieje w Berlinie Muzeum szkolne, które

*) *Por. Zen. Por.* Zupy szkolne (Ateneum 1896 marzec).

między innemi posiada znakomitą bibliotekę pedagogiczną.

Płaca nauczycieli ludowych była do niedawna nader skromną i w parlamencie na trybunie i przed stołem prezydjalnym przesuwał się nieraz, a prawie zawsze w czasie dyskusji budżetowych — cień głodnego bakałarza. W roku 1894 wprowadzono w stolicy nową klasyfikację prac nauczycielskich. Niezatwierdzony jeszcze nauczyciel szkoły ludowej (w rodzaju galicyjskiego suplenta) otrzymuje 1.200 marek rocznie. Nie później jak po 4 latach — otrzymuje urzędową nominację z pensją 1,600 marek; po dwu latach pensja wzrasta o 300, po 4 znowu o 300 marek. Po 11 latach służby otrzymuje nauczyciel 2,600 marek; po 31 — zdobywa kulminacyjny punkt wynagrodzenia — 3,800 marek. Jak na stosunki pruskie, gdzie wogóle wynagrodzenie urzędników względnie nawet bardzo wysokich jest niezmiernie małym w porównaniu z ościennemi krajami — przyznać trzeba, że płace nauczycielskie nie należą do najgorszych. Trzeba jednak koniecznie zaznaczyć, że wzmiankowane powyżej nadwyżki nie zależą wcale od sympatji lub antypatji władzy szkolnej; stanowią one prawo nauczyciela, prawo, które utracić

może wraz z posadą li tylko na podstawie wyroku sądu administracyjnego.

Obraz nakreślony tutaj byłby niezupełny, gdybyśmy nie poświęcili parę uwag organizacji zarządu szkół w Berlinie. Już natychmiast po przejściu od administracji szkół dla biednych w r. 1820-ym magistrat mianował jednego z radców swoich radcą szkół miejskich (Stadtschulrath) i dał mu do pomocy radę szkolną, w której zasiadają członkowie z wyboru magistratu, honorowi obywatele i przedstawiciele duchowieństwa. Owa „deputacja szkolna“ istnieje i obecnie i składa się z 6 członków magistratu, 10 reprezentantów miejskich, 11 delegatów mieszczaństwa, 4 superintendentów ewangelickich, 1 księdza katolickiego i 10 inspektorów szkolnych (ogółem z 42 osób). Deputacja w zaraniu działalności swojej przyszła do przekonania, że centralizacja zarządu szkolnego nie daje dobroczynnych rezultatów: znaczna część dzieci zupełnie nie uczęszczała do szkoły, a 10 — 15% uczyło się bardzo niedbale. Środki deputacji nie starczyły dla zaradzenia brakom; wtedy deputacja chwyciła się tej samej metody, którą stosują Niemcy w sprawie dobroczynności publicznej, a mianowicie — przeprowadziła decentralizację nadzoru i utworzyła t. z. komisje szkolne

(Schulcommissionen), które zaczęły działać w r. 1845-ym. W r. 1894-ym Berlin liczył takich komisji 168; komisje zaś składały się z 1972 członków. Każda komisja prowadzi listę dzieci swej dzielnicy znajdujących się w wieku szkolnym (6 — 14 lat). Dawniej każde dziecko musiało mieć legitymacją („kartę uczęszczania do szkoły”), którą należało przedstawiać władzy policyjnej przy każdej zmianie mieszkania. Obecnie rygor ten jest zmieniony, a tylko prezydent policji przesyła zarządowi szkół miejskich informacje kwartalne co do nowozaciecznych albo mieszkających w innych częściach miasta uczniach.

Kiedy dziecko kończy sześć lat, ojciec obowiązany jest wnieść podanie z żądaniem przyjęcia go do szkoły. Jeżeli nie uczyni tego, to członek komisji szkolnej wzywa go do siebie albo odwiedza w domu, ażeby dowiedzieć się, dlaczego dziecko nie uczęszcza do szkoły. W końcu każdego tygodnia rektorzy szkół przesyłają komisji listę uczniów, którzy bez żadnych powodów nie chodzili do szkoły. Jeden z członków komisji odwiedza wszystkich w bliskości jego zamieszkania znajdujących się rodziców, a przekonawszy się, że nie było dostatecznie ważnych powodów pozostawiania w domu, uprzedza rodziców, za następ-

nym razem czyni im wymówkę, a wreszcie donosi o tem deputacji szkolnej. Ostatnia wdraża śledztwo za pośrednictwem komisji, i jeżeli istotnie zdanie członka komisji okaże się prawdziwym, nakłada na rodziców karę pieniężną, a ewentualnie nawet skazuje na areszt policyjny. Od wyroku deputacji służy apelacja (z terminem 8 dniowym) do magistratu: wyrok ostatniego jest już ostatecznym.

Jak dotąd obrazek nasz malowany był w pełnym słońcu. Niema jednak doskonałości w świecie ludzkich usiłowań. Plamy liczne powinny się znaleźć i na słońcu szkoły ludowej niemieckiej. Szkoła ludowa niemiecka niejedną posiada wadę. Jedną z tych stron ujemnych, nadzwyczaj ważną, jest przeciążenie pracą zarobkową dzieci w wieku szkolnym. Krzywda ta ma swoją długą a bolesną historję, która stanowi jednocześnie jeden z rozdziałów w dziejach prawodawstwa fabrycznego. Rzecz ciekawa, jak dwa skrzydła dwu oddzielnych gmachów ustawodawczych—mówimy o nauczaniu przymusowym i prawodawstwie fabrycznym, normującym pracę dzieci—wspierają się wzajem i bez siebie istnieć nie mogą. Cóż znaczą najsurowsze zakazy pracy dzieci w pewnym wieku, jeżeli owe dzieci czasu swego niczym zapłacić nie są w stanie;

jeżeli, pozbawione opieki światła, oddane zostaną na pastwę ciemnoty i występku? Cóż dalej znaczyłoby nauczanie przymusowe, ciągnące się w zasadzie przez znaczną ilość lat, o ileby jednocześnie prawodawstwo fabryczne nie zamykało wrót fabrycznych przed dzieckiem, odsyłając je do innego, szkolnego warsztatu pracy; o ileby wszelkimi siłami nie starało się ono odciągnąć niedojrzały jeszcze organizm dziecięcy od źródeł pracy „zarobkowej“, tak nęcących w warunkach, w których dziecko chowa się zazwyczaj. Tak tedy po długich walkach, których szczegółów opowiadać tu nie możemy, stanęła cyfra ugodowa: do 14 roku życia — niemasz dlań zarobków fabrycznych. Cóż, jeżeli łańcuchy zakazów prawodawczych rozluźniać się zaczęły i przestaną dokuczać krwawo a dotkliwie tym, którzy je lekko brać będą? cóż, jeżeli szkoła przez palce patrzeć będzie na obojętność względem przepisów rodziców i dzieci? Cóż wreszcie, jeżeli nędza, silniejsza od wszelkich zakazów, silniejsza od najlepszej woli ludzkiej, przekreślać zacznie zamiary prawodawcy, nadzieje szkoły? Mamy tedy stale i trwale, ze względu na warunki bytu tegoczesnego, podłoże walki. Szkoła tę walkę toczyć musi stale; na szersze atoli, publiczne tory wypływa ona co lat parę.

Teraz właśnie mówiono o niej gorąco, z temperamentem.

Nauczyciel ludowy na przedmieściu Berlina, Agahd, poświęcił niedawno sporo czasu na zebranie danych statystycznych, któreby z dostateczną siłą poparły teoretyczny postulat, orzekający, iż praca zawodowa niweczy wszelkie usiłowania szkoły ludowej. Materiał, który udało mu się zebrać, zachęcił do pracy kolegów jego z innych miejscowości, i przy ich pomocy ogłosił on wyniki spostrzeżeń, czynionych w 16 miejscowościach. Ilość dzieci, zajętych pracą zawodową w wieku szkolnym, waha się pomiędzy 5 i 4%. W Hamburgu wobec 65,000 uczniów szkół ludowych 6,208 pracuje poza szkołą, w Teltow (przedmieście Berlina), ilość ta wzrosła do dziesiątków tysięcy; w Akwizgranie naliczono około 2,000 dzieci, zarabiających na życie, uczęszczających jednocześnie do szkoły. Myliłby się, ktoby przypuszczał, że wielkie miasto pod tym względem zajmuje stanowisko monopolistyczne. Podczas gdy środowisko przemysłowe tej miary, co Lipsk, liczy tylko 15% zarobkującej młodzieży szkolnej, minjaturowa miejscina w zapadłym kącie Turynji, Schmoelde, skazuje na pracę taką aż 40%. Sprawozdawca objaśnia to z łatwością warunkami pracy. Schmoelde żyje

pracą rzemieślniczą, skazaną wobec tego-
czesnych warunków pracy fabrycznej na
męki chronicznej agonji; rodzinie tedy tka-
cza turyńskiego nie wystarcza praca ojca
lub matki, dla zdobycia środków do życia
koniecznym się staje udział dzieci. Tutaj
walka szkoły staje się bardzo ciężką, bo
nad przemysłem domowym dozór fabryczny
jest prawie żaden; pozbawiona pomocy in-
spektoratu fabrycznego szkoła — jest bez
oręża! — Przyjrzyjmy się na chwilę typow-
ym zajęciom dzieci. W Charlottenburgu
istnieje cała armja dzieci, roznoszących
pieczywo. Jest ich 357; najstarszy liczy
lat 14; zawód swój rozpoczął, mając lat
cztery. Praca w szkole rozpoczyna się la-
tem o 7-ej, zimą o 8-ej rano. Roznosiciele
mają inny rachunek czasu. Dwudziestu
z nich zaczyna pracować od 4-ej rano (bez
względu na porę roku!), 85 chłopców i 10
dziewcząt — od 4¹/₂, 88 chłopców i 11 dziew.
od 5—6 godziny rano. W przeciągu trzech
godzin każde dziecko odwiedza 15—20 do-
mów, że zaś domy tam liczą po 4 i 5 pięter,
obliczyć łatwo, ile stopni przebiec muszą
młode nogi, jak się namęczą do chwili,
kiedy zaczną się zajęcia w szkole. Do tego
samego rodzaju pracy należą również roz-
nosiciele dzienników, pnący się co rano
i co wieczór po schodach domów berliń-

skich. Pod względem napięcia pracy łatwiejszemi są zajęcia dzieci, usługujących
w kręgielniach, na stacjach kolejowych;
tutaj znowu ujemnym jest termin pracy,
rozciągający się aż do północy. Można
sobie z łatwością wyobrazić, jak zabójczemi
muszą być wpływy moralne atmosfery
ulicznej w wielkim mieście o północnej
godzinie! Agahd obliczył, że na 100 mało-
letnich, zamkniętych w więzieniu Ploetzen-
see (pod Berlinem), 70 pracowało fizycznie
w latach szkolnych.

Nie trzeba na to obliczeń statystycznych,
żeby zrozumieć, że wiążący zaledwie „ko-
niec z końcem“ robotnik nie skaże dzieci
swoich na podobne warunki pedagogiczne.
Sfery, skąd rekrutują się ci nieszczęśliwi,
to rodziny wdów, podrzutki, albo potom-
stwo pijaków, chorych lub pozbawionych
pracy robotników. Oczywiście, że szkoła
na nich żadnego wpływu wyrzucić nie jest
zdolna. Najlepsze siły swe oddając pracy
zarobkowej, dzieci przychodzą do szkoły
zmęczone, niezdolne do jakiegokolwiek pra-
cy umysłowej, do skupienia myśli, do uwa-
gi. W Rixdorf (na przedmieściu Berlina)
z pośród 496 dzieci zarobkujących 260 nie
otrzymało promocji do klasy wyższej.
W Hannoverze sprawozdawca obliczył, że
połowa dzieci tej kategorii odznacza się

„pilnością i rozwojem niższemi od średnich“, przyczem zauważył, że warunki pracy odbijają się gorzej na umysłowości dziewcząt. Agahd cytuje poważne słowa, wypowiedziane na jednym z kongresów hygienicznych: „Wczesna praca dzieci oznacza niewiedzę; niewiedza oznacza nędzę; nędza zaś prowadzi za sobą: dom pracy, występki i więzienie“.

W związku z poruszoną tu kwestją rozpatrzeć należy niedawną dyskusję na temat pracy dzieci na kongresie międzynarodowym ochrony pracy w Zurychu. Jak ważną jest ta sprawa, dowodzi chociażby fakt, że po dzień dzisiejszy prawodawstwo nie wypracowało jednolitej normy dla wszystkich krajów. I tak w Anglii fabryka stoi otworem dla dzieci 11-letnich, w Belgji i Rosji—12-letnich, we Francji—13, w Niemczech i Szwajcarji—14-letnich. Referent-lekarz Gehrig żąda rozszerzenia zakazu pracy aż do piętnastego roku życia. Jako lekarz, odwołuje się do danych anatomicznych, do niedorozwoju organizmu dzieciennego. Choroby na tle czynności nerwów, trawienia i przemiany materji — są to prawie stałe zjawiska w sferze małoletnich robotników; przeciążone pracą, stają się one bardziej skłonne do wszelkiego rozstroju i chorób, aniżeli dzieci rodziców za-

możnych. Skrzywienia kręgosłupa, wady serca, suchoty, choroby nerwowe—oto towarzysze zwykli nazbyt wczesnej pracy. To jest jedna strona kwestji, higieniczna. Jest i druga, ekonomiczna. Są jeszcze dzisiaj ludzie „nauki“, ekonomiści, co okrywają pancierzem nietykalności pracę dzieci w fabrykach. Żali można—zawodzą—pozabawiać rodziców, również biednych pracowników, dochodów z pracy tych, których żywić, odziewać, chronić powinni? Ten humanitaryzm jest fałszywy, ta litość mieszczkańska jest podszyta na poły głupotą, na poły hipokryzją. Co za cel ma praca dzieci, jeżeli nie obniżanie płacy dorosłych, jeżeli nie wypełnienie szeregów robotniczych małoletniemi, o ile tylko rodzaj pracy dostępny będzie dla małoletnich. Rodzice tedy korzyści z krwawego potu swych potomków nie zdobywają wcale, a przeciwnie tyją od niego kieszenie przedsiębiorców. Dr. Gehrig i Reimann żądali ostatecznie bezwarunkowego orzeczenia kongresu, że zakaz pracy dzieci do lat piętnastu wraz z przymusową szkołą do tegoż terminu jest konieczny; należy również wciągnąć pod formułę prawodawstwa fabrycznego—rzemiosła i przemysł domowy. Praca zaś małoletnich od 15 do 18 roku życia nie powinna przenosić ośmiu godzin na dobę.

Praca nocna oraz w niedzielę powinna być zupełnie wykluczona dla tego rodzaju robotników. Przy tej sposobności znany ekonomista i historyk ruchu społecznego Rudolf Meyer żądał uwzględnienia pracy robotników wiejskich. „Jeżeli ktokolwiek widział chociażby raz jeden w życiu chłopskie dzieci zajęte kopaniem kartofli albo buraków w jesienną słołę, zgięte wpół albo pełzające na kolanach, ten bezsprzecznie uzna, że jest to rodzaj pracy, wymagający takiej samej opieki, co i praca robotników miejskich, fabrycznych“. Meyer żąda tedy, żeby i na wsi nie wolno było przyjmować do pracy dzieci, liczących mniej, niż lat 15. Kongres zgodził się na żądanie referentów i większością 132 (przeciwko 75) głosów wypowiedział się za wzbronieniem na drodze prawodawczej wszelkiej pracy przemysłowej dzieci młodszych, niż 15-letnie, bez względu na rodzaj i charakter pracy.

II.

Związek nauczycieli ludowych w Niemczech.

Jubileusz istnienia ćwierćwiekowego państwa niemieckiego stworzył cały szereg jubileuszów instytucji narodowych, dopiero przez zjednoczone Niemcy do życia powołanych, albo też odrestaurowanych, zrze-

szonych. Jeden z takich właśnie dni pamiątkowych obchodził niedawno Związek nauczycieli ludowych. Instytucja ta zajęła pod wieloma względami ważne, a w pewnych kwestjach pierwszorzędne stanowisko w pierwszym ćwierćwieczu istnienia swego. Cała prasa niemiecka pełna jest z tego powodu artykułów zachwycających się, a conajmniej sympatyzujących ze Związkiem, a nawet prasa zachowawcza przyznać była zmuszona, że działalność jego była w skutki nader bogata. Trzeba tu zaraz zaznaczyć, że Związek walczył zawsze o niezależność szkoły od wszelkich wpływów ubocznych, jakoto opieki silnych świata tego, możnych a w ostatnich latach opieki kościoła.

Z oddalenia przyglądając się drodze przebytej, dostrzec można dopiero, jaka zachodzi różnica pomiędzy punktem wyjścia i stacją, z której oglądamy się poza siebie. Przewodniczący Związku opowiedział na bankiecie nauczycieli ludowych, jak pięćdziesiąt lat temu na czele departamentu oświaty ludu stał człowiek, żądający otwarcie, aby szkoła „cofała się“ i uważający, iż ziemskim wymaganiom nauczycieli czynią zadosyć nagie sciany i głodowe obiady. Rok 48-y przyniósł i na tym polu znaczny postęp. Z Saksonji wy-

szedł projekt połączenia się w jeden związek, mający na celu „dążenie do zbratania wszystkich działaczy szkoły ludowej i współdziałanie wychowaniu narodowemu i religijno - moralnemu ludu niemieckiego“. Słowa te atoli wydały się nieodpowiedniami władzom i z chwilą zapanowania reakcji zakazano nauczycielom zjeżdżać się na wspólne narady. Minister Raumer (znany historyk) uważał, że nauczyciela ludowego nic nie obchodzi kwestje społeczne: cały jego świat znajduje sobie miejsce w granicach czterech ścian szkółki wiejskiej. Tak silnie napięta reakcja nie mogła trwać długo. W południowych Niemczech, w Bawarii, w Badeńskim, w Wirtembergu władza szkolna uznawała głośno wielkie zasługi stowarzyszeń nauczycieli, a jeden z wysokich dostojników rządu bawarskiego oświadczył wprost, że bez samodzielnych nauczycieli nie może być mowy o rozumnej szkole. Wtedy to następcy Raumera zmuszeni byli patrzeć przez palce na zjazd pruskich nauczycieli.

Po roku 71, z chwilą ogłoszenia cesarstwa niemieckiego i parlamentu, w którym zasiadać mają przedstawiciele całego narodu od Rugji do Freiburga, od Królewca do Metz, powołano na nowo Związek do życia. Około 4,500 nauczycieli ludowych

zjechało się do Berlina i proklamowało „rozwój wykształcenia ludowego przy pomocy udoskonalenia szkoły“. To ostatnie przy rozbiciu ogólnikowej formuły na pojedyncze składniki oznaczać miało niezależność szkoły od pobocznych wpływów, pozbawionych charakteru pedagogicznego, jedność ustroju dla wszystkich wyznań i klas społecznych. Szkoła powinna zawsze odpowiadać coraz poważniejszym potrzebom ludu i szerzącej się cywilizacji. W pierwszym rzędzie powinna szkoła być zależną od samorządu gminnego, gdyby jednak środki tej najniższej organizacji państwoprawnej okazały się niewystarczającymi dla zapewnienia szkole środków dostatecznych, wtedy państwo powinno przyjąć z pomocą. Taki był „ideal“; życie dowiodło, że nie był on rodem z kraju fantazji.

Prusy liczące 32 miliony ludności wydają rocznie na szkoły ludowe: w r. 1886 — 116 milionów marek, w r. 1891 — 146, a w r. 1896 — 160 milj. Do r. 1886-go cały ciężar utrzymywania szkół ludowych spadał na gminy, od tej chwili jednak państwo zaczęło wciągać do budżetu swego pozycje, pokrywające część wydatków na emerytury, budowle szkolne i w r. 1896-ym dodatki te stanowią już sumę 70 milionów marek.

Walka, którą od lat wielu aż do ostatnich chwil toczą nauczyciele ludowi, sprowadza się do powiększenia pensji nauczycielskich (ob. wyżej str.). Udało się nakoniec w r. z. (1896) przekonać stróża finansów pruskich, Miquela o konieczności wydatków na te cele, więc i na tym punkcie program nauczycielski został spełniony. Po wielkich miastach w Berlinie, Hamburgu, Wrocławiu, Frankfurcie n. M. nauczyciele pobierają pensji 2,200—2,500 marek, a starsi, mający po 15—20 lat służby za sobą, do 3,600 marek. Są to na niemieckie stosunki cyfry bardzo wysokie, bo tam wysocy, bardzo wysocy urzędnicy zadawałniać się muszą pensjami, których cyfrom niktby u nas nie dał wiary.

Związek nauczycieli ludowych nie trzymał się niewolniczo litery swego programu; w miarę jak życie społeczne i ekonomiczne rosło i rozwijało się, w sferach nauczycielskich powstawały nowe projekty. I tak stworzono kasę emerytalną, kasę ubezpieczeń imienia Pestalozzi'ego, schronienie dla chorych i starych, biuro porad prawnych i obrony nauczycieli, muzea szkolne i biblioteki i t.d. Związek wydaje własną gazetę. Wnosi petycje do parlamentu. Wyobraża on żądania 2,000 stowarzyszeń lokalnych, wysyłających delega-

tów na posiedzenia i zjazdu związku. Przed 25 laty liczył 4,500, dzisiaj 65,000 członków. Nie należą do Związku stowarzyszenia nauczycieli bawarskich i saskich, chociaż działają wspólnie, tak iż 25,000 członków tych towarzystw można, jako wynik agitacyjny i społeczny, doliczyć do powyższych 65 tys., co uczyni w ogólnej liczbie potężną cyfrę 90,000 ludzi, oddanych zawodowej swej sprawie. Nic dziwnego przeto, że, mając za sobą taką siłę i takie wpływy na umysły wyborców, przywódcy Związku marzyć mogą o coraz większych i potężniejszych zadaniach szkoły pruskiej.

III.

Książka — a włościanie szwedzcy. — Kongresy statystyczne stowarzyszeń zawodowych angielskich i związku stowarzyszeń gospodarczych niemieckich.
— Nowe prawo emigracyjne niemieckie.

Wystawa sztokholmska 1897 r. zwróciła oczy Europy na urządzenia i instytucje kraju, znanego wielu Europejczykom zaledwie z napisów na zapalkach „szwedzkich“. Pisma europejskie przepełnione są wzmiankami lub obszernymi sprawozdaniami korespondentów, wysłanych na wystawę i z tego powodu rozpisujących się *de rebus multis et quibus am aliis*. Przy tej sposobno-

ści zaznaczamy w paru słowach stan księgarstwa i wydawnictw popularnych, który wzbudza powszechną uwagę. Najglówniejszym odbiorcą drukowanej bibuły jest (o zgrozo!) kramik wiejski i jego klienci siermiężni. Książki wychodzą po największej części w wydaniach po 10—15 tysięcy egzemplarzy. Wydawnictwa są nader tanie, papier zwyczajny, druk niezgrabny, cena nie przenosi 30 kop. za tom. Sama stolica liczy kilka towarzystw wydawniczych akcyjnych. Ich dziełem są t. z. „biblioteki za koronę“, nader rozpowszechnione w Szwecji.

Biblioteczka taka składa się z 15 mniej więcej broszur popularnych najprzeróżniejszej treści od kwestji gospodarczych aż do historii medycyny, nauk przyrodniczych, prawa i kwestji aktualnych, politycznych. W wybitnych chwilach politycznych biblioteki te, mające niezliczonych przyjaciół wśród ludu szwedzkiego, stają się potężnym środkiem agitacyjnym. Tak na przykład, kiedy przed paru laty propagowano w Szwecji wstrzemięźliwość od napojów wyskokowych, „biblioteki“ stały na czele walki z pijaństwem. Ilość broszur, rozrzuconych po kraju w tym celu, wynosiła około 1 miliona egzemplarzy.

~~~~~

Dwudziesty dziewiąty kongres angielskich trade-union'ów zgromadził delegatów więcej niż 1½ milionowej rzeszy robotników angielskich. W mowie inauguracyjnej, którą wygłosił lord-major (burmistrz) Birminghamu Sir John Smith, dźwięczała nuta pojednania. Sir Smith'owi przyjemnie zauważyć, że pomiędzy niezgodnemi dawniej związkami przerzucono obecnie most zgody. Kiedy przed 28 laty on sam przewodniczył drugiemu z szeregu zjazdów robotniczych, liczono 150000 uczestników; dziś liczba ta urosła dziesięciokrotnie. Od tego czasu dzień roboczy stał się znacznie krótszym, płaca zarobna większą, wprowadzono pół-święto w sobotę, położenie kobiet i dzieci pracujących zmieniło się na lepsze, w głowach robotniczych świtać zaczął nowy dzień oświaty.... Jestem zaś głęboko przekonany, mówił Sir John, że nie można sobie zupełnie wyobrazić jakiegokolwiek polepszenia społecznego bytu pracujących, dopóki każdy nie otrzyma wynagrodzenia, wystarczającego na utrzymywanie dostateczne siebie i rodziny. Każdy robotnik dobry ma prawo do dobrej płacy, wygodnego mieszkania i odpoczynku o tyle długiego, żeby starczył na uczęszczanie do bibliotek, do galerji obrazów i do parków ludowych“. Te słowa w ustach Sir Johna



Smitha, lorda-majora wielkiego miasta fabrycznego brzmią jakoś niezwykle charakterystycznie.

Trade-Union'y wprowadziły już do Izby Gmin członków swoich; ostatni wprowadzają przeróżne bilie, mające na celu dobro klas pracujących. W ostatnim roku sprawozdawczym praca ich uwzględniła: odpowiedzialność pracodawcy za życie i zdrowie robotników, ośmiogodzinny dzień pracy, prawo dotyczące wypłacania robotnikom ich wynagrodzenia w naturze (Truck-Bill). Za sprawą znanej i szanowanej w Anglii arystokratki lady Dilke (żony Karola Dilkego, znakomitego męża stanu i b. ministra, autora znanego dzieła *Problems of Greater Britain* — najważniejszego źródła poznania ustroju kolonji angielskich) utworzyła się Liga Trade-Union'ów kobiecych (Women's Trade Union League). Liga ta odbyła również swe posiedzenie, na którym zapoznano świat czytający z rażącymi wypadkami z dziedziny pracy kobiet w Anglii. I tak na przykład, w pralniach parowych kobiety pracują po 74 godziny tygodniowo, a w piątki do 3 i 4 rano. Młode dziewczęta otrzymują nie więcej, niż 5 szylingów tygodniowo (około 40 k. dziennie). Warunki higieniczne tej pracy są po prostu okrutne. Jedynym punktem wyjścia z

tych piekielnych stosunków jest dla kobiet związek. Zawody kobiece, zrzeszone już w Trade-Unionach, nie wykazują tak strasznych cyfr. Stanowią siłę. Mogą przeciwstawić samowoli przedsiębiorcy swoje żądania i wymagania, przykryte armją zwartą pracownic. W tym sensie też brzmiały rezolucje ligi. „Kobieta angielska — rzekł przewodniczący — żąda za jednakową pracę jednakowej płacy.“ — Po postanowieniu kongresu żądają wykluczenia dzieci młodszych od 15 lat z fabryki, niedopuszczania kobiet do pracy aż w sześć miesięcy po odbytych porożach; nadto wnoszą kongres, żeby „wiek szkolny“ przedłużony został do lat 15, a to w tym celu, aby wykształcenie otrzymywane przez młodych robotników było poważniejsze; żeby w szkołach początkowych dzieci darmo dostawały śniadanie. Wreszcie postanowiono utworzyć jeden kolosalny związek, któryby połączył wszystkie raz do roku zbierające się tylko rzesze zawodowe. Komisja, wybrana w tym celu, ma opracować ustawę tego kolosu przyszłości angielskiej.

W Dreźnie — jesteśmy obecnie w sezonie nieskończonych zjazdów — zebrał się więc doroczny drobnych właścicieli ziemskich, należących do związków gospodarczych. Związki liczą obecnie przeszło 10



tysięcy kas, rozrzuconych po całym państwie niemieckiem i grupują wokoło siebie setki tysięcy włóścian. Związków istnieje obecnie 31, a obrót roczny czyni 465 milionów marek! W ostatnich latach na związki te padł cień z powodu domniemanego ich należenia do związku rolników (Bund der Landwirthe) t. j. do organizacji bojowej większej własności ziemskiej. Rzecz pewna, iż celom agitacyjnym ostatniej przypadało bardzo do smaku przyjęcie na listę swych wymagań życzeń chłopskich. Jest to nader efektownym, a że żyjemy w czasach „demokratycznych“, więc i na ministrów można oddziaływać korzystnie, wskazując na żywy obraz, na którym „junkier“ i chłop pruski, trzymając się za ręce, płaczą rzewnymi łzami na dół swoje! Mniej rozumne żywioły związkowe dały się wziąć na wędkę obietnic, ale dziś i te zrozumiały, że oni tylko dla innych gorące kasztany z ognia wyjmować będą. Związek, walcząc z niedolą rolniczą ostatnich lat, nie wychodzi poza granice walki ekonomicznej. Utworzył się, na przykład, syndykat fabrykantów nawozów sztucznych i podniósł cenę produktu, grającego rolę pierwszorzędną w gospodarstwie włóścianina niemieckiego. Związek tedy rozsyla okólnik, żeby wszystkie stowarzyszenia na-

bywały nawozy sztuczne tylko za pośrednictwem jednego, to zaś ma prawo, o ile się nie uda złamać oporu producentów, dowozić nawozy z zagranicy. W ten sposób dokonywają się próby odpowiadania syndykatami spożywców na kartele producentów. — Wiele rozpraw wywołała również kwestja organizacji wypieku chleba ze zboża i mąki, produkowanej przez związkowców. Projekt młynarza austriackiego Tilla wszedł nareszcie na stół obrad chłopów niemieckich. Tylko w ten sposób ginie radykalnie pośrednictwo handlowe, trapiące rolnika i pozbawiające go największej ilości zysków. Połączyć pierwotnego producenta (rolnika) z ostatecznym spożywcą (nabywającym chleb) całym szeregiem mechanicznych urządzeń (elewatory, młyn spółkowy, piekarnia spółkowa oraz wreszcie takiegoż rodzaju sklepy do rozprzedaży cząstkowej) oto droga jasno wskazana i wytknięta. Wszystkie zyski: pośrednika, skupującego chleb, młynarza, piekarza i przekupnia spłyną do kieszeni rolnika, przyczem chleb będzie lepszy i będzie mógł być tańszy; na tem zyska i spożywca. Któryś z mówców obliczył, że Wiedeń płaci rocznie 12 milionów guldenów więcej za chleb, niż tego wymagają ceny zboża!

Nowe prawo emigracyjne niemieckie (1898



roku) zawiera jeden bardzo ważny i charakterystyczny paragraf (48), który i dla nas przedstawia żywy interes. Niejednokrotnie zwracano uwagę na okrutny i nieludzki handel „żywym mięsem“ kobiecym dostarczonym do Ameryki Południowej. Handel ten jest bardzo rozgałęzionym i jest międzynarodowym. Otóż nowe prawo zawiera wyraźny przepis: „Kto namawia kobietę w celu oddania w szpony prostytucji zawodowej przez kłamliwe zamilczenie właściwego celu emigracji, podlega karze surowego więzienia do lat pięciu; traci wszelkie prawa stanu, może być również skazany na zapłacenie grzywny pieniężnej do wysokości 6 tysięcy marek oraz na oddanie pod pozór policyjny.“ Paragraf ten wbrew żądaniom rządu, który chciał go włączyć do ogólnego prawodawstwa karnego, poparty usilnie przez deputowanych Bebla i hrabiego Kanitza, znalazł miejsce w nowej ustawie, regulującej wychodźstwo niemieckie. Ten szczegół jest dość ważny, urzędnicy bowiem rezydujący w portach niemieckich w celu wykonania dozoru nad nową ordynacją, będą odbywali rewizje statków i pod względem wzmiankowanego wyżej przedmiotu „handlu wywozowego europejskiego“. Zapewne, że rezultaty praktyczne tego prawa są nader nieważne.

Prawo bowiem obowiązywać będzie tylko porty niemieckie — i skieruje co najwyżej handlarzy do Rotterdamu i Antwerpji, do Marsylii albo Odesy. Tylko konwencja międzynarodowa, zawarta przez wszystkie bez wyjątku państwa europejskie (wyluczając te które nie mają granic morskich) w duchu takiej ustawy, mogłaby odnieść skutek pożądaný. Należy też pracować w tym kierunku, ale pod tym względem treść nowego prawa niemieckiego może służyć jako drogowskaz dla przyszłego prawodawstwa międzynarodowego. Jak bowiem doświadczenie dowiodło, ustawy karne ogólne są niewystarczające do ścigania tego rodzaju przestępców, i tylko nakazy specjalne, bardzo szczegółowe i oddane w ręce ludzi poważnych, mogą dać pozytywne, a dodatnie rezultaty. Dlatego też zaznaczamy fakt rozpoczęcia pracy podobnej. \*)

\*) Od czasu napisania słów powyższych (1897 r.) rzeczy zmieniły się na lepsze i istotnie rozwinęły się we wskazanym kierunku. W r. 1898-ym obradował w Londynie pierwszy kongres międzynarodowy dla zwalczania „handlu żywym towarem“; w rozwinięciu jego uchwał założono Biuro międzynarodowe w Londynie i powołano do życia cały sze-



#### IV.

### Stephan i poczta niemiecka.

(Kartka z dziejów kultury nowoczesnej).

Po długich ciężkich cierpieniach, zmarł w Berlinie generałny pocztmistrz niemiecki Stephan. Przez długie dziesięciolecia działał u boku Bismarka, a jednak działalność jego nie zawierała żadnych czynników „krwi i żelaza“, nie służyła innym celom, jeno cywilizacji i pożytkowi ludzkości. Już dla tego tylko osobistość ta zaciekawia pod względem psychologicznym i moralnym. Poza tem jednak są inne jeszcze względy, przemawiające za skreśleniem sylwetki tego zupełnie nie „pruskiego“ prusaka: Stephan był uosobieniem energii i wytrwałości, nie zrażającej się żadnemi przeszkodami i przeciwnościami, był człowiekiem przytym szerokich ogólnoludzkich horyzontów. Te dwie cechy pozwoliły mu dostąpić wysokich ministerjalnych zaszczytów z jednej strony, a z drugiej —

reg komitetów w innych krajach: komitety, francuski, niemiecki, holenderski, włoski, angielski i rosyjski, zjazd powtórny odbył się w r. 1901-ym w Amsterdamie, kongres trzeci w lipcu 1902 r. w Paryżu. Bliższe szczegóły znaleźć można w pracy *mojej* „Nad Otcłłanią“. (W 1902 r. w zeszytye III wydawnictwa p. t. Ruch Etyczny).

pozwołyły przyczynić się do doprowadzenia poczty niemieckiej do stopnia doskonałości i do stworzenia związku pocztowego wszechświatowego.

Syn biednego krawca wiejskiego tylko pracy żelaznej i bezustannej mógł zawdzięczać swoje zwycięstwa i swoje powodzenie. Aby zrozumieć i ocenić sprawiedliwie działalność jego w granicach ojczyzny własnej, należy uprzytomnić sobie, że w chwili powołania Stephana na urząd dyrektora poczty pruskiej Niemcy posiadały 17 niezależnych organizacyj pocztowych, nie licząc już monopolu ks. Turn-Taxis na południu. Nikt nie marzył wtedy jeszcze o jednej taryfie i przy odbiorze listu zagranicznego płacić musiał za list tyle razy, ile krajów on przebył, zanim doszedł rąk adresata. Nie słyszał nikt o kartach korespondencyjnych, ani o przekazach pieniężnych i ludzie, pamiętający czasy owe, każde kółko współczesnej mechaniki pocztowej uważaliby z pewnością za czystą utopję. Dzisiaj jednak w samych Niemczech przesyła się rocznie za pomocą otwartej karty około 6 miliardów marek, 150 tysięcy przesyłek płynie rok rocznie po całych Niemczech, przyczym przesyłka 12 funtowa, wysłana z Królewca do Strasburga kosztuje nie więcej nad 25 kop. Te cyfry, atoli



bynajmniej nie wyczerpują działalności poczty niemieckiej, która liczbę usług oddawanych społeczeństwu podniosła do istotnej potęgi. Załatwia ona wszelkie, uciążliwe zazwyczaj i kosztujące wiele czasu daremne czynności na komorach celnych, protestuje weksle, oddawane jej w tym celu, wypłaca rentę inwalidom i t. d. — rzeczy, o których nie słyszał nigdy nasz czytelnik i które wydadzą mu się nieprawdopodobnymi na tle rzeczywistości naszej.

Jeżeli np. zwrócimy uwagę na kwestję wypłacenia rent ubezpieczeniowych niezdolnym do pracy robotnikom, to zobaczymy, że to wcale nie są drobnostki, w r. 1891 bowiem (nie posiadamy późniejszych danych), poczta niemiecka wypłaciła 299,000 inwalidom sumę 36 milionów marek. Zauważmy, że w rachunku tym na odbiorcę wypada rocznie około 120 marek, a że wypłata następuje w odstępach miesięcznych, więc dla zadośćuczynienia obowiązkom, spadłym na pocztę z racji jednego tylko prawodawstwa ubezpieczeniowego musi dokonać poczta niemiecka więcej niż  $3\frac{1}{2}$  miliona czynności rocznie. Zauważmy dalej, jakie błogosławieństwo płynie z takiego, a nie innego rodzaju wypłaty na odbiorców samych. Robotnik niezdolny do pracy rzadko kiedy pozostaje w mieście, wraca na wieś

rodzinną, aby wypocząć w zdrowszych warunkach higienicznych, a przede wszystkim tańszych. Ileż to niekiedy mil odbyć trzeba do najbliższej kasy rządowej! Tymczasem przynosi mu rentę co miesiąc pocztyljon do domu bez żadnej straty i bez zachodów.

Około 30,000 biur pocztowych i 20 tys. telegraficznych Stephan rozrzucił po całych Niemczech. Niema poprostu większej wioski, gdzieby nie można było ekspedjować listu, pieniędzy, depeszy. Czy to na wyspie Rugji, czy w Szwarewaldzie, czy w głuchej wiosce szląskiej — pocztyljon parę razy dziennie roznosi pocztę. Nie słychać tam wcale, aby jakiś list „zaginął“, aby przepadła gazeta, aby nie doszły wysłane pieniądze. Poczta niemiecka rozporządza armją 114,000 urzędników uczciwych, pracowitych, oddanych w zupełności obowiązkom swoim. Ogólna ilość listów, przesyłek wszelkiego rodzaju wynosi, według wiadomości urzędowych, więcej niż 3 miliardy rocznie. Budżet poczty dochodzi do sumy 300 milionów marek, skarb zabiera 25 milionów.

Życie płynie coraz szybciej, przemysł i handel rozwijają się bezustannie z błyskawiczną szybkością, oczywiście, że poczta podążyć za nimi musi, rozwijając się coraz potężniej. Obliczono, że w ostatnich 5 latach powstają dziennie 3 nowe biura



pocztowe! W Berlinie, jako stolicy państwa i handlu niemieckiego, funkcjonuje poczta z szybkością telegraficzną. Biura pocztowe znajdujemy niemal na każdej ulicy; tutaj działa też poczta pneumatyczna, komunikująca jednak list szybciej od telegrafu nawet. Tutaj nie wystarczają już zakłady rządowe, coraz częściej bowiem powstają instytucje pocztowe prywatne, wiejskie, przewożące listy nieco wolniej, ale zato o wiele taniej. W Berlinie ruch pocztyljonów po ulicach jest nieprzerwany—i w bardziej ruchliwych (handlowych) częściach miasta wręczają listy co godzina, albo i częściej.

Nikt nie zaprzeczy udziału Stephana w tych dobrodziejstwach cywilizacyjnych. Rzecz pewna, że gdyby nie wielkie i potężne przyczyny, działające z koniecznością żelazną w granicach tegoczesnych stosunków ekonomicznych—poczta niemiecka, ani związek wszechświatowy poczt nie byłby, pomimo energii i rozumu Stephana, doszedł do takiego rozwoju. Ale, że odczuwając tętno życia naszego, zdając sobie sprawę z potrzeb swej ojczyzny i ludzkości, spełnił swe zadanie tak wytrwale i energicznie, to jest jego zasługą. Wiadomo, że w ostatnich dziesięcioleciach powstało wiele międzynarodowych związków: tak w Bernie mają swe siedzisko, prócz biura związku pocztowego—związek kolejowy, związek ochrony

literackiej i artystycznej; w Berlinie biuro związku międzynarodowego pomiarów kuli ziemskiej, w Paryżu biuro związku wag i miar, w Brukseli—biuro związku taryf celnych. Wszystkie te biura powstały później od związku pocztowego i wszystkie wzorowały się na jego organizacji. Miał też rację Stephan, kiedy wprowadzając projekt związku pocztowego pod obrady parlamentu niemieckiego, nazywał organizację, do której urzeczywistnienia przyczynił się najwięcej, „komórką organiczną“, z której się w dalszym życiu ludzkości rozwiną inne również żywotne organizmy potrzeb międzynarodowych. Nie ulega również żadnej wątpliwości, że związek pocztowy posiada najlepszą i najtrwalszą organizację i że zadania swe spełnia najdokładniej ze wszystkich innych związków międzynarodowych. Być może, że pochodzi to stąd, iż jest najstarszym i że korzyści należenia do tej wspólnej organizacji, odczuwać się dają w mniej i więcej rozwiniętych pod względem handlu i przemysłu państwach. Ci jednak, co się bliżej tą kwestją zajmowali, wie-łzą, jak potężne odegrała tu rolę wytrwała, niezmordowana w swych zabiegach, pewna celu i środków doń prowadzących, umiejąca operować milionami cyfr,



ogarniająca szerokie wszechświatowe widnokręgi osobistość ministra pruskiego.

Zaznaczyłem powyżej, że Stephan pochodził z ludu i wyrósł z nędzy. Tylko ciężkiej pracy zawdzięczał z początku—chleb surowy, następnie i — zaszczyty ziemskie. Odnaczał się przez długie lata wielką opieką, jaką rozciągał nad urzędnikami swemi; powołał wiele instytucji, mających na celu pomoc dla biednych, albo podupadłych urzędników swego ministerjum. W ostatnich latach zmienił się pod tym względem. Stał się niedostępnym i wyniosłym, zaczął objawiać wiele cech znamionujących parwenjusza. W parlamencie musiał też staczać zażarte walki z wodzami partji opozycyjnych. Walki te nie rzuciły wcale sympatycznego światła na osobistość ministra, wykrywano różne popuste kółka w państwie p. Stephana, wytaczano przed *forum* parlamentu skargi głodnych urzędników, powstały w ich szeregach poważne organizacje opozycyjne. Miał tedy i minister swoje wady. Większe jednak jeszcze posiadali wszyscy wielcy reformatorzy. Dziś po jego śmierci—opozycja parlamentarna stara się widzieć w tych za ostatnich dni życia dostrzeżonych błędach—symptomy choroby, która wtedy toczyła już organizm Stephana, a obecnie

srowadziła go do mogiły. Nietylko tedy opozycja w jego własnej ojczyźnie, ale i ludzkość cała zachowa o nim dobre i trwałe wspomnienie.

## V.

Ósmy kongres ewangelicko-społeczny. — Kwestja mieszkaniowa w Angli.

Ósmy z rzędu kongres ewangelicko-społeczny odbył się w Lipsku. Hydra reakcji, wszechwładnie panującej obecnie w Prusiech, nie pozwoliła, aby odnaczał się on takim samym, jak poprzednicy jego ożywionym temperamentem. Zamiast zwykłych 800—1000 osób zebrała się w tym roku połowa zaledwie uczestników. Komitetowi urządzającemu czyniono różnorakie trudności. Chciał, jak co roku, rozpocząć obrady nabożeństwem w kościele, odpowiedziano, że bramy kościołów zamykają się przed warchołami i agitatorami; dawniej szeregi uczestników lśniły się od gwiazd i orderów różnych tajnych radców i generałów, tym razem jakaś niewidzialna miotła wymiotła wszystkich „władzę mających“ działaczy, zrzeszonych dawniej pod wezwaniem Stöckera. Trzy referaty wypełniły trzy dni trwające obrady. Profesor Wendt, teolog z Heidelbergu, mówił o „własności w świetle chrześcijaństwa“.



Rozpatrzył wszystkie poglądy na własność wypowiedziane od czasów Chrystusa, aż do dni naszych i wykazał na podstawie tych historycznych argumentów w systematycznym i dogmatycznym wykładzie, iż każda forma własności godzi się z podstawami wiary Chrystusowej. Zasada ta jest nader ważną ze względu na walki toczone obecnie na jej tle (t. j. na tle własności kolektywnej) przez konsystorze ewangelickie z młodemi radykalnie usposobionemi pastarami.—Prof. Oldenberg z Marburga mówił na temat: „Niemcy, jako państwo przemysłowe“. W bardzo długim, bogatą statystyką ilustrowanym referacie zapoznał swych słuchaczy z rozwojem przemysłu niemieckiego w stuleciu naszym, wykazał kolosalny wpływ i znaczenie przemysłu, jako czynnika wewnętrznej i zewnętrznej polityki, wreszcie jako *profession de foi* wypowiedział parę nader pesymistycznych ogólników na temat przyszłości. Oldenberg nie widzi innych granic, które mogłyby powstrzymać rosnącą wciąż hegiemonję fabrykantów i handlarzy. Według jego mniemania przemysł, a osobliwie przemysł wywozowy wykopie z czasem mogiłę dla chwały niemieckiej—i to nastąpi bezsprzecznie, o ile nie powrócą sfery rządzące do dawnych, przeważnie agrarnych form bytu

politycznego.—Prof. Schmoller jest bardziej optymistycznie usposobionym. Mowa jego poświęcona była kwestji: „Co rozumiemy pod stanem średnim? Czy wzrósł on w świecie naszym, czy przeciwnie zmalał?“ Pogląd jego skryształizował się w ostatniej tezie jego referatu, przyjętej z zapalem przez zgromadzenie, a która brzmiała: „Od roku 1850-go aż do chwili obecnej zwycięża technika nowoczesna, a cały obrót ekonomiczny, wielki przemysł i układ klasowy społeczeństwa ulega zmianie; stan najemników wiejskich i fabrycznych nabiera zupełnie odrębnego znaczenia i przyjmuje do swych szeregów wielolicznych zbiegów z rozszarpanej armji upadającego stanu średniego. Drobnny rzemieślnik upada w wielu dziedzinach pracy rzemieślniczej, po części jednak utrzymuje się przy życiu w charakterze ogniwa pośredniego, ilość majstrów zwiększa się po wsiach i małych miasteczkach, łącząc ze swą specjalnością zajęcia rolnicze. Organizacja handlu nie uległa znacznej zmianie. Poza tym jednak inne grupy stanu średniego urosły: wyższy personel administracyjny różnych przedsiębiorstw i profesje liberalne; poza tym wreszcie liczny dzisiaj stan majstrów fabrycznych i wogóle lepiej płatnych robotników tworzą nowy stan średni“. Cha-



rakter referujący kroniki naszej nie zezwała na bliższą i przedmiotową krytykę poglądu ekonomisty mieszczańskiego; zaznaczymy tedy tylko, że poglądy te nie znajdują poklasku nawet u jego własnych współwyznawców; w szczególności optymizm na punkcie „powstającego z gruzów“ rzemiosła rozplywa się w nieuchwytną mgłę osobistych przywidzeń, iluzji i politycznych dogmatów wobec materiału zawartego w znakomitej dziewięcio-tomowej ankiecie „Stowarzyszenia Polityki socjalnej“. \*)

Kwestja mieszkaniowa jest już od lat wielu jednym z ważniejszych zagadnień polityki wewnętrznej i zaprzęta uwagę teoretyków i praktyków wszystkich krajów i narodów. Coraz to nowe życie współczesne rzuca nam wzory pracy na tym polu dokonanej albo dokonywanej. Niezmiernie ciekawą jest działalność w tej dziedzinie przedstawicielstw gminnych angielskich, które z nader dobrymi skutkami próbowały w charakterze samodzielnych przedsiębiorców budować mieszkania dla biednych robotników. Nie można zresztą twierdzić, aby inicjatywa wyszła tutaj z łona samych urzędzeń samorządu administracyjnego. Istnieje bo-

\*) Ob. też potężne dzieło *profes. W. Sombarta* *Der moderne Kapitalismus* (1902).

wiem w Anglii znakomite, rozumne prawo, zabraniające administracji niszczenia dla względów sanitarnych pewnych, zazwyczaj przez najbiedniejszą ludność zamieszkałych dzielnic, o ile mieszkańcom nie zostaną wskazane w niewielkiej odległości od dawnych nowe, odpowiadające ich potrzebom, mieszkania. Tutaj tkwił pierwszy bodziec do działalności gminnej na tym polu. Zchwila jednak, kiedy czyn rozpoczętym został, zaczyna on działać samorzutnie i gmina występować zaczyna jako konkurent stowarzyszeń budowlanych prywatnych, oferując swym klientom lepsze i tańsze mieszkania i zmuszając tym samym przedsiębiorców prywatnych do baczniejszego uwzględniania potrzeb klienteli niezamożnej. W taki sposób powstały domy miejskie (mieszkalne) w Glasgowie.

We wszystkich miastach fabrycznych znajdują się ludzie, robotnicy bez rodzin zbyt biedni, aby sobie móc pozwolić na „zbytek“ najmowania mieszkania całkowitego w domach prywatnych i na skutek tego skazani na włóczęgę nocną po tak zwanych „kątach do spania“, odnajmowanych przez rodziny robotnicze. Miasto Glasgow wystąpiło pierwsze w charakterze konkurenta takich rodzin. Przed laty kilkunastu rozpoczęło ono budować domy



mieszkalne dla robotników; obecnie posiada już domów siedm, które za opłatą 3—4½ pensów za dobę dają robotnikowi czysto utrzymane łóżko w osobnym pokoju, kąpiel, stale ogrzaną kuchnię, pralnię, jadalnię i ogólny salon dla rozrywek. Ilość osób, korzystających z usług tych domów, wynosi dzisiaj już przeszło 2,000; instytucja pokrywa koszty utrzymania i odrzuca więcej niż 5% dochodu z włożonych w nią kapitałów. Pomimo całego aparatu dobroczynnego związanego z instytucją tą, nie posiada ona wcale cech poniżających, korzystającego z jej usług robotnika: nie daje żadnej jałmużny. Rozporządzając tak bogatym materialem mieszkań, można przystąpić do różniczkowania ich według potrzeb: jeden z domów mieści same kobiety; drugi zbudowany ostatnio przeznaczony został dla wdów i wdowców, posiadających dzieci, które mogą pozostawać w domu przez dzień cały pod odpowiednią opieką. Dom oświetlono elektrycznością i zaprowadzono ogrzewanie za pomocą kaloryferów. Pokój mogący pomieścić pięć osób (dorosłego i 4 dzieci) kosztuje 2½ rb. na tydzień, a utrzymanie całodzienne mogą otrzymywać dzieci za opłatą tygodniową po 75 kop.

Za przykładem Glasgowa, ale dopiero niedawno, poszedł Londyn, który zbudował

przed paru laty dom mieszkalny w najbiedniejszej dzielnicy swojej, a obecnie na posiedzeniu rady hrabstwa w d. 12 maja r. b. postanowiono przystąpić do budowy drugiego domu mieszkalnego. Domy tego typu stanowią specjalność świata brytańskiego; po za tym jednak istnieją tam po wielu i wielu miastach domy mieszkalne, odnajmowane przez miasto rodzinom robotników za opłatą tygodniową. Tak na kontynencie, jak i w Anglii stosowane są dwa typy mieszkań takich: koszarowy wielopiętrowy, zarzucany obecnie coraz bardziej, oraz system willi, oddzielnych dla każdej rodziny domków, odpowiadający więcej tradycjom i przyzwyczajeniom Anglika. Birmingham posiada 103 wille, które odnajmuje po 2½ rb. tygodniowo; każdy domek obejmuje na dole duży pokój mieszkalny (jadalnia, salon itp.), zajmujący przestrzeń 13 stóp kwadrat., oraz kuchnię tej samej wielkości, zaopatrzoną w szafy wmurowane, kocioł itd.; na pierwszym piętrze znajdują się na dwa pokoje sypialne, a nad nimi jeszcze facjatka; do każdego domu należy asfaltowe podwórko 31 × 36 stóp kw.; każdy dom posiada urządzenie gazowe, oraz wszelkie inne urządzenia świata cywilizowanego.

Ruch mieszkaniowy w Anglii rozwija się z taką szybkością i takim napięciem,



że dziś nie ma poprostu wyborów do któregokolwiek bądź z ciał reprezentujących naród, aby nie żądano od kandydatów solennej obietnicy przeprowadzenia przez instytucje przedstawicielstwa gminnego bilu, zapowiadającego zbudowanie przez miasto pewnej ilości domów mieszkalnych. W Irlandji ruch ten budzić się poczyna na wsi. Tam urzędy zdrowia wiejskie wyłożyły dotychczas blisko 30 milionów rubli na zbudowanie 15,000 domków (cottages) dla robotników wiejskich. Do domków tych należy zazwyczaj  $1\frac{1}{2}$  akra ziemi ogrodowej; cieszą się one znacznym popytem. Zaznaczając na tym miejscu niektóre tylko najświeższe zdobycze działalności ludzkiej w dziedzinie kwestji mieszkaniowej w Anglii, trudno powstrzymać się od wykrzyknika: kiedyż wreszcie usłyszymy o czymś podobnym u nas! Pole jest nietknięte i pozostawione w zupełności wyzyskowi prywatnych kapitałów i egoistycznych interesów.

## VI.

Ludność wiejska we Francji. — Biblioteki ludowe w Berlinie.

Trzy dni z rzędu mówił Jaurès, największy mówca parlamentu francuskiego, o stanie materialnym i moralnym włościan fran-

cuskich. Błyskotliwe, różnobarwne baloniki polityczne, wypchane wiatrem „amorów“ krótkotrwałych, a puszczone co czas pewien zręczną ręką żonglerów opinii publicznej, rycerzy kłamstwa, chciwych władzy, centralizacja tych wciąż zmiennych kalejdoskopowo efektów na zewnątrz na tle rozbawionego motłochu paryskiego, zakrywają zupełnie mglistą oponą niewiedzy życie wewnętrzne społeczeństwa francuskiego. Cudzoziemiec dowiadyuje się o życiu tym z powieści *nanà* — turalistycznych, z nudnych, boć zawsze jednostajnych obrazów scenicznych, obracających się wytrwale w geometrycznych granicach trójkąta zdrady małżeńskiej, podnoszących cudzołóstwo, prostytutkę, kazirodztwo do potęgi postulatów filozoficznych (por. przedmowy do dramatów Dumas'a), do poziomu zagadnień sztuki wiekuiestej...

Dziwić nas to zupełnie nie powinno. Mówca bowiem francuski nie w lepszym znajdował się położeniu. Źródła urzędowe dały mu nader niewiele materiału do charakterystyki wsi francuskiej. W statystyce oficjalnej nie znalazł prawie żadnych cyfr, określających linję odłuzenia ziemi we Francji. Biuro statystyczne ogłasza co lat dziesięć sprawozdania, dotyczące stosunków wiejskich; ostatnie dziesięciolecie skończyło



się w r. 1892-im; dotychczas atoli nie zostały wydane tablice, mające je charakteryzować. Wobec tego zmuszony był Jaurès rozpisać ankietę na własną rękę i przy pomocy przyjaciół ją zebrać; oczywiście, że materiał, nagromadzony w ten sposób, nosi wszelkie cechy wysokiej podmiotowości. Słusznie też uczynił mówca, żądając od parlamentu, aby wyznaczył komisję specjalną, mającą na celu zbadanie stosunków ludności wiejskiej.

Ludność ta nie jest jednolita. Najbardziej upośledzoną jej częścią jest klasa najemników wiejskich, klasa, która dotychczas na skutek swego rozrzucenia drobnymi grupami po całym kraju nie zdołała zorganizować się i, będąc słabą, nie zwraca uwagi rządu. Jak dalece obojętni są losy robotnika wiejskiego dla przedstawicieli rządowych w parlamencie, dowodzą liczne dyskusje, zapoczęte przez niektórych deputowanych podczas obrad nad projektem odpowiedzialności pracodawców za nieszczęśliwe wypadki kalectwa przy pracy, kiedy to z trudnością zaledwie zdołano rozciągnąć paragrafy ustawy i na robotników wiejskich. Nie mówiąc już o obojętności na losy materialne tej klasy, obojętność na moralne i higieniczne warunki jej pracy jest większa jeszcze. Najemnik wiejski pra-

cuje więcej, niż miejski, pracuje wiele ciężiej, a zarabia bez porównania mniej. Mówca określa nawet stosunek płacy miejskiej i wiejskiej, sądząc, że ostatnia jest mniejsza o całą trzecią część. Gorszym atoli od małej płacy czynnikiem rozwoju jest dla najemnika brak pracy, który od niedawna zaczął ciążyć na budzecie pracownika ołowianym ciężarem przymusowego, a głodnego odpoczynku. Poczynając od coraz większego korzystania z usług maszyny w gospodarstwie rolnym, a kończąc faktem tworzenia się coraz większych skupień majątkowych w rękach jednostek, mnóstwo czynników składa się na częste bezrobocie i na emigrację do miasta.

Nieweselszym jest los innej klasy społeczeństwa włościańskiego, t. z. połowników (pacht na połowę, *métayage*). Zwykłą normą wynagrodzenia ma tu być połowa zbiorów; są jednak liczne miejscowości, gdzie właściciel otrzymuje sam dla siebie  $\frac{1}{5}$  albo  $\frac{1}{6}$  zbiorów, a z pozostałej dopiero sumy ( $\frac{4}{5}$  albo  $\frac{5}{6}$  zbioru) „połownik“ odbiera należącą mu się połowę. Co więcej, zdarza się, że *métayer* włoży w ziemię mało kapitałów w przypuszczeniu, że długie lata korzystać będzie z ich odsetków; tymczasem kaprys właściciela pozbawia go w jednej chwili całkowitego majątku; sąd



zaś nie uznaje jego pretensji do nakładów. W Burgundji np. zdarza się często, że właściciel pozwala „połownikowi“ założyć winnicę na gruncie wspólnym, zrywa atoli umowę spółki na połowę z chwilą, kiedy winnica zaczyna przynosić zyski. To samo ma miejsce w stosunku do zwykłych dzierżawców. Co zaś dotyczy klasy włościan, posiadających ziemię, to zadłużenie ich przeszło już dawno w przysłowie. Są całe departamenty, gdzie chłop jest właścicielem swej zagrody tylko z imienia, cały bowiem rezultat całorocznych zabiegów i ciężkiej pracy przechodzi do kieszeni miejscowego „kapitalisty“, jako odsetki od wypożyczonych pod zastaw ziemi pieniędzy. Rozszerzająca swe granice własność większa wprowadza intensywne metody gospodarstwa kapitalistycznego, giną tedy różnorakie rodzaje przemysłu drobnego, który ratował dawniej właścianina od zguby.

Partja umiarkowanych republikańców nie uczyniła, tak kończy swą filipikę Jaurès, gwoli poprawy bytu mas wiejskich. Obiecała wprawdzie ofiarować na ten cel 60 milionów franków, zyskanych na konwersjach, wydatkowała je zaś na pokrycie deficytu w budżecie. Mogła przerzucić chociażby część doskwierających włościaninowi podatków na barki zamożniejszych klas,

wprowadzając podatek dochodowy i podatek od renty, nie uczyniła tego. Mogła stworzyć możliwość taniego kredytu na wsi, odrzuciła ją. Méline już oddawna głosi o konieczności tworzenia miejscowych rad rolniczych, w którychby wszystkie klasy znalazły swoich przedstawicieli, skończyło się na pięknych słówkach.—Nad ciężkimi zarzutami mówcy rozpoczęła się walka stronnictw, organy ministerjalne starają się osłabić uderzenia maczugi piękną odbijanką rapirów frazeologii. Czy istotnie wieś francuska spowita jest w takie mroki, o jakich mówił Jaurès, to najbliższy czas pokaże; jego zasługą będzie, że obudził z drzemki dogmatycznej tych, którzy w izbie deputowanych są przedstawicielami interesów ludności wiejskiej, nie mieli jednak do tej pory czasu, aby upomnieć się o krzywdę swoich mandatarjuszów, bo nie zdążyli jeszcze oczyścić swych kostjumów z błota przeróżnych politycznych i niepolitycznych panaminów.

Zarząd miejski Berlina wydał temi dniami sprawozdanie o bibliotekach miejskich. Należy wiedzieć, że instytucja ta była do niedawna piętą achillesową organizacji i dobrobytu stolicy państwa niemieckiego. Magistrat, który położył nieobliczone zasługi na polu szkoły ludowej, zdawało się, za-



pomniat zupełnie o bibliotekach ludowych. Od niedawna dopiero pod wpływem ciągłych skarg, poczęto wprowadzać pewne zmiany w zmurszały i skostniały w półwiekowej apatii organizm biblioteczny. W każdym razie biblioteki berlińskie porównać się wcale nie dadzą z siostrami swemi w Anglii, nie mówiąc już wcale o przepychu bibliotek amerykańskich.

Pod wpływem skreślonej powyżej agtacji utworzył magistrat berliński w październiku r. z. na Mohrenstrasse pierwszą czytelnię ludową \*). Księgozbiory otrzymały znaczne uzupełnienia, wprowadzono wieczorne wydawanie książek i t. d. Przez pierwsze sześć miesięcy istnienia czytelnia na Mohrenstrasse miała ona 25 tys. czytelników. Na jesieni r. z. zamierzono otworzyć drugą czytelnię w innej części miasta. Zanotujemy parę cyfr ze sprawozdania. W roku 1901 wypożyczono z 27 bibliotek 544 tysiące tomów, czyli 80 tys. tomów więcej, niż w roku poprzednim, a o całe 200 tys. więcej, niż w r. 1892-im. Widać tedy, że biblioteka berlińska znajduje się na drodze stałego rozwoju. Zapewne, że 97 bibliotek w porównaniu z dwumiljonową

\*) . Dotychczas można było brać książki do domu.

ludnością miasta znaczy bardzo niewiele. Nie zapominajmy jednak, że ta ludność jest zorganizowana klasowo, że dzieli się na tysiące i tysiące najróżnorodniejszych stowarzyszeń, że żyje ona, jak i cały świat współczesny, przede wszystkim życiem politycznym, a więc czyta dzienniki, a wreszcie sama kupuje książki. Jakkolwiek książka niemiecka jest droga, to jednak są pewne kategorie wydawnictw tak tanie, tak umiejętnie prowadzone, że najemnik jest w stanie korzystać z nich. Biblioteka Reclama, taka sama Handla i Tow. Bibliograficznego w Lipsku, dająca za 20—25 pf. sześć arkuszy druku najbardziej głośnych utworów beletrystyki międzynarodowej, biblioteka robotnicza, wydawana przez księgarza Dietz'a w Stuttgarcie, a licząca wcale nietuzinkowe rozprawy, wreszcie przeróżne wydania klasyków niemieckich, dostępne dla każdej kieszeni, wreszcie handel kolportacyjny, roznoszący nie tylko nikczemne romansidła, ale i rozumne, a uczciwe rzeczy — wszystkie te czynniki, których obliczyć w całości zresztą nie zamierzylśmy wcale, działają, iż książka nie tylko biblioteczna, ale i własna pojawiać się zaczyna na stole robotnika niemieckiego. Pamiętam, jak oprowadzał mnie jakiś majster fabryczny po skarbach swoich: było tam ze dwieście to-



mów „klasyków“ w znanym wydaniu Hempla; wszystko w pięknych oprawach, ustawione w porządku tomów, rzadko czytane (czyta się piśmko codzienne swojego stowarzyszenia, swojej partji i broszury ulotne!). Książki te nabyte zostały z oszczędności tygodniowych jednakowemi ratami tygodniowemi!

## VII.

Domy robocze w Anglii i dobroczynność angielska.

Niedawno Londyn a za nim i cała Anglja zaintrygowane zostały dziwnym zjawiskiem żebraka zmarłego z przeładowania żołądka! Rzecz tak się miała. W jednym z domów roboczych londyńskich zmarł nagle internowany tam żebrak. Sekcja dokonana w drodze urzędowej, wykazała w całym organizmie duże nagromadzenie tłuszczu, a jako przyczynę śmierci wskazała przepełniony żołądek, który niezmiernie silnie uciskał serce, co wywołało śmierć. „Otrzymujecie zatem dostateczne pożywienie? zapytał sędzia śledczy jednego ze świadków sekcji, obecnego na miejscu w tym czasie, kiedy zdarzył się wypadek nagłej śmierci. „Tak, najzupełniej“—brzmiała odpowiedź. Prowadzący śledztwo sprawdził, że to już trzeci wypadek podobny zdarza się w tym samym domu roboczym. Zdarzenie to od-

bite w lustrach powiększających prasy londyńskiej, urosło do rozmiarów czegoś zupełnie sensacyjnego. Opinia domu roboczego, ustalona przed paru zaledwie dziesięcioleciami przez Dickensa, jako nader niska i nikczemna (Oliwer Twist) w jednej chwili przebiegła po osi czynników, opinję wytwarzających, na drugi, przeciwnie biegun. Zaczęły się ankiety dziennikarskie, wizyty po domach roboczych, wywiady. Cała ta literatura przygodna, spłodzona z potrzeby chwili i żądzy sensacji, dowodzi niezbicie, że w ustroju dobroczynności angielskiej zaszły pierwszorzędne a potężne zmiany na korzyść postępu. Teraz dopiero, kiedy z odległości półwiecza spoglądamy na tragiczne bohaterstwo czartystów angielskich, filantropów i romantyków, widzimy, jakie błogosławione owoce przyniosły ich wołania, napozór bez echa przebrzmiały; na podglebiu walk klasowych aż dziesięcioleci, i nawet wielu dziesięcioleci trzeba było, aby ziarna rzucone szczerą ręką „poetów“ kiełkować zaczęły i zakwitły. Był czas—mniej więcej około r. 1861, kiedy dom roboczy angielski wyobrażnia ludowa utożsamiała z piekłem, z „Bastylją“; żebrak wołał znosić najgorsze cierpienia, snuć przędzę chłodu i głodu beznadziejnego, zanim przekroczył próg *work-*



house'u. Z chwilą dopiero, kiedy podzielono 14,827 parafji angielskich na 647 „związków dobroczynnych“ (poor-law unions), pobudowano nowe, wymaganiom nowoczesności odpowiadające domy pracy — poczęto przejmować się nowym duchem społecznienia i tej nawet wżgardzonej i oplutej pracy żebraczej. Zauważono, że obecność dzieci na salach ogólnych wpływa na nie demoralizująco pod każdym względem; zaczęto tedy zakładać szkoły przy domach roboczych. Szkoły te jednak mają nietylko dobre, ale i złe strony. Literat angielski, który zwiedzał ostatnio jedną z tych instytucji daje nam następujący opis złych stron szkoły: „Wchodzimy do sali jadalnej, gdzie gromada pauprów spożywa właśnie posiłek południowy. Było ich z 500 chłopców, dziewcząt i małych dzieci. Zupełnie bezwłosa — obecny przy obiedzie lekarz objaśnił nam przyczynę zasadniczego golenia głów — gromada ta na pierwszy rzut oka przypomina stałych mieszkańców więzienia. Przypatrując się jej zblizka, odkrywamy inne jeszcze cechy, przypominające ostatnich; czoła, brwi, oczy, wszystko to, jakby z atlasów Lombrosa. Tu przygląda się nam twarzyczka idjoty, tam błyska z oczu dzikość, tam znowu przedwczesna dojrzałość, obiecująca wiele

złego. A wśród tego wieńca cierniów społecznych, jakie zdrowe, wesołe twarzyczki chłopców i dziewcząt, uczciwe, inteligientne! Nic dziwnego, że pionierzy reformy żądają przedewszystkiem klasyfikacji, umieszczania po domach prywatnych, odosobnienia, różniczkowania. Próbowano też rozdáwać dzieci uczciwym ludziom na wychowanie; udaje się to jednak nader trudno dla braku odpowiednich rodzin i w roku 1888 na 50 tysięcy zaledwie 4 tysiące dzieci znajdowało się po pensjonatach prywatnych. Na skutek tego zwrócono się obecnie do innego środka: do budowania t. z. pustelni, gdzie 15—20 dzieci pod dozorem wychowawczyni, zdala od miast chowają się w odosobnieniu i tylko narówni z innemi dziećmi gminy uczęszczają do szkoły ogólnej. Znacznych reform dokonano też w dziedzinie opieki sanitarnej nad mieszkańcami *workhouse'ów*. Urządzono specjalne szpitale (*Poor-Law Infirmary*) — obecnie po największej części oddalone znacznie od gmachów właściwego domu roboczego. Szpitale te cieszą się znakomitą popularnością u ludu angielskiego. Rozpoczęto również systematyczne „różniczkowanie“ ludności, zapełniające domy robocze według typów i charakterów. Pierwszy krok na tym polu stanowiło usunięcie t. z.



przypadkowych gości (*casuals*), którzy dawali i dają największe odsetki indywiduów zupełnie i z gruntu popsutych. Dla nich urządzono specjalne skrzydła w domu roboczym, gdzie panuje zupełnie odmienna i surowa dyscyplina.

Nowe prawodawstwo lat ostatnich, w szczególności reforma prawa głosowania (1894 roku), zaznaczyło się w dziedzinie ordynacji dobroczynności publicznej trwałemi zgłoskami zasługi. Prawodawstwo to rozszerzyło atrybucje ludności robotniczej i dopuściło ją między innemi i do rad dobroczynności. Robotnik, z racji swego stanowiska społecznego bliższy o wiele świata żebraków i ubogich, aniżeli członkowie klas uprzywilejowanych—sprawiedliwiej i szczerzej wejrzeć może w tajniki organizacji domów roboczych. Za ledwie lat parę minęło od tej wielkiej reformy wyborczej, a już publicyści angielscy podkreślają dobroczynny wpływ współdziałania „nowych“ ludzi, co wnoszą wszędzie, dokąd sobie drogę utworować zdołają, powiew nowej, pełnej nadziei i natchnienia wiosny społecznej. Ażeby notatkom powyższym nadać charakter faktyczny, źródłowo zaznaczymy parę cyfr statystycznych. W roku 1861 ludność Anglii wynosiła 20 milionów, ilość ubogich—883,921, wydatki na cele utrzymania 5,788

tysięcy funtów; w roku 1895 ludność urosła do 30 milionów, ilość ubogich spadła do 796,913, wydatki zaś urosły do 9,886 tysięcy funtów. Pomimo, że ceny najważniejszych artykułów żywności spadły—wydatki utrzymania na głowę wzrosły w dwójnasób: z sześciu szylingów na dwanaście. Reforma wyborcza, wspomniana przed chwilą, jest tak ważną, że nie możemy poprzestać na zaznaczeniu tylko jej urzeczywistnienia. Prawo z roku 1894 (*Act to make further provision for Local government in England and Wales*) w sprawie demokracji państwa i społeczeństwa angielskiego oznacza wielki krok naprzód. Podczas gdy dawniej sędziowie pokoju byli z urzędu członkami *Board of Guardians* (rady dobroczynności okręgowej)—obecnie niema to już miejsca. Członkowie są obieralni na podstawie nowego, słabo ograniczonego prawa wyborczego przez wszystkich wyborców parafjalnych. Obieralnym jest każdy wyborca bez różnicy płci i cenzusu majątkowego oraz każda osoba, zamieszkała od roku w granicach okręgu dobroczynnego. Wybory odbywają się co trzy lata; co roku wychodzi trzecia część członków. Organami rady do poboru podatku na ubogich, dla prowadzenia spisów osób z zapomogi korzystających i t. d. są t. z. do-



zorcy biednych (*Oversees of the poor*). Dawniej mianowali ich sędziowie pokoju, obecnie zaś w gminach wiejskich czynią to rady gminne na przeciąg roku jednego; one również mianują pomocników takich dozorców (płatnych) oraz poborców.

Przy tej sposobności przyjrzyjmy się głównym rysom organizacyjnym dobroczynności angielskiej. Anglja jest krajem klasycznym dobroczynności upaństwowionej. Kiedy w innych krajach (np. u narodów romańskich) dziś dopiero świtać zaczyna myśl, że dobroczynność prywatna podobać obowiązkom swym nie może, że obowiązki te są zbyt szerokie i stałe, a indywidualne wysiłki zmienne i nietrwałe—myśl, której uznysłowieniem jest prawodawstwo francuskie i włoskie ostatniego dziesięciolecia, —natenczas Anglja od stuleci już kroczyła po pewnej i celów swych świadomej drodze dobroczynności uspołecznionej i upaństwowionej. Główne zasady dobroczynności tej dają się wyrazić w sposób następujący: Nikt, istotnie potrzebujący pomocy, nie jest jej pozbawiony; celowi temu odpowiada jednorodna w całym kraju organizacja dobroczynności, a mianowicie pobór jednego wszędzie, a normowanego według potrzeby podatku na ubogich. Przy oznaczeniu wysokości zapomogi działają interesy pożytku

publicznego, a nie względy humanitarne. Zapomoga nie może wychodzić poza granice najskromniejszych potrzeb życiowych i w żaden sposób nie może zapewnić kórzystającemu z niej osobom lepszego bytu, niż ten, w którym się znajduje najbiedniejszy robotnik samodzielny. Poza temi granicami zaś może działać dobroczynność prywatna. Organem dobroczynności jest rada (*board of guardians*). *Guardians* owie pełnią swe obowiązki honorowo. Pomocnicy ich i pozostali urzędnicy (*relieving officers*) są płatni. Potrzebujący pomocy osobnik melduje o tym najbliższemu „oficerowi“, który zbiera dane na miejscu i komunikuje je radzie na najbliższym posiedzeniu. Na posiedzeniu tym jest obecna osoba, chcąca korzystać z zapomogi. Rada postanawia, czy i jakiego rodzaju ma być zapomoga. Rada centralna ogniskuje w sobie dozór nad radami lokalnemi: składa się ona z prezydenta, dwóch sekretarzy, czterech pomocników i radcy prawnego. Podlega jej 17 inspektorów i 37 rewizorów rachunkowych. Cały kraj podzielony jest na 15 okręgów inspekcyjnych. Inspektor jest łącznikiem pomiędzy radą lokalną a centralną i stale kontroluje czynności pierwszej. Dozór rachunkowy spoczywa w rękach rewizorów. Środków na opędzanie wydatków na do-



broczynność dostarcza podatek na ubogich, zapomoga ze skarbu państwa, która wynosi około 7 milionów rb., wreszcie specjalne prawo zezwala administracji lokalnej zaciągać pożyczki na budowę domów roboczych. Pożyczki te spłacane w drodze amortyzacji wynoszą około 60 milionów rubli. Podatki określają urzędnicy rady dobroczynności według wartości nieruchomości; wynoszą one obecnie 6% od dochodu, jaki przynosi dana jednostka ziemi. Na głowę ludności wypadło w roku 1888—około 2 szylingów (2½ rb.) podatku. Zaznaczyć trzeba, że z tych wpływów część odchodzi na budowę szkół i reparację dróg.

Zapomogi dzielą się na dwa główne rodzaje: *indoor* i *outdoor relief* (opieka w zakładach i w domu). Pierwsza oznacza przyjęcie i umieszczenie w zakładzie publicznym: w domu roboczym, w szpitalach albo szkole; są to też główne formy pomocy. wszelkie zaś inne są tylko wyjątkowemi.

Kilka słów poświęcić należy dobroczynności publicznej nie państwowej, ściśle społecznej. Tutaj działa założone w roku 1869 Towarzystwo organizacji dobroczynności (*Charity organisation society*). Najpoważniejsi przedstawiciele społeczeństwa angielskiego prześcigają się w niesieniu pomocy ubogim i uczynieniu surowych

linji dobroczynności publicznej zakładowej bardziej miękkimi. Szczególnie zaznaczyć należy na tym polu działalność kobiet—z pośród których pierwsza zasiadła w radzie dobroczynności w roku 1875—i od tego czasu nie przestały pracować na rzecz upośledzonych pod względem materialnym bliźnich swoich.

### VIII.

Włóscianie bezrolni w Finlandji.—Kapitały robotników angielskich.—Sprawy kobiece w Anglii.—Sekretarjat włóściański w Bernie.—Kuchnia współdzieleza w Paryżu.—Uspołecznienie kolonji letnich w Niemczech.

Na ostatniej sesji sejmufinlandzkiego wniesiono projekt pomocy dla ludności wiejskiej, nie posiadającej ziemi. W Finlandji typową jest arystokracja włóściańska. Nie było tam nigdy, jak i wogóle na całej Skandynawskiej północy, poddaństwa, któreby przypominało wzory środkowo, wschodnio albo zachodnio-europejskie. Od wieków też czynniki dziejowego rozwoju pozostały zupełną swobodę działalności czysto ekonomicznych tendencji: tworzenia się bogactw w rękach jednej rodziny włóściańskiej, rozpadania się zagrody na coraz mniejsze działki (wielka ilość spadkobierców i t. d.). W taki oto sposób po upływie



długich stuleci ziemia znalazła się w rękach niewielu jednostek (względnie do innych krajów, np. Francji) szlachty i włościan, grających wybitną rolę polityczną; oni od siebie wydzierzawiają na dość ciężkich warunkach działki nieposiadającym bobyłom, którzy obowiązani są pracować na roli swych „panów“. Według danych ostatnio ogłoszonej statystyki (1890) bobyły stanowili 32.63% całej ludności wiejskiej; do nich doliczyć należy 11.29% robotników wiejskich w ścisłym znaczeniu wyrazu. Wogóle otrzymamy, że blisko połowa zaledwie ludności włościańskiej rozporządza własnym zagonem. W ostatnim dziesięcioleciu wzmogła się ta „eksproprjacja“: za czas 1885—1890 ilość bezrolnych wzrosła o 3.5%, podczas gdy z pośród klasy, posiadającej ziemię, zstąpiło w szeregi bobyli 2.5%. Cyfry te oddziaływały niepokojąco na przedstawicieli interesów włościańskich w sejmie finlandzkim. Od czasu do czasu wnoszono różne projekty wyznaczenia ze źródeł ogólnopństwowych środków dla ułatwienia bezrolnym włościanom zakupu ziemi. Przed rokiem z okazji koronacji zezwolono wyznaczyć kredyt 1½ miliona marek (finl.) na te cele. Na sesję bieżącą sejm wniósł cztery projekty, mające na celu polepszenie bytu włościan. Naj-

radykałniejszym był projekt pastora Blumberga, który żądał, aby państwo otworzyło szeroki kredyt gminom, a te odprzedawały bezrolnym włościanom ziemię, w ich granicach się znajdującą. Najmniejszą normą przestrzenną ma być przytym 10 hektarów na głowę, przyczym 60% ludności bezrolnej w każdej gminie z dobrodziejstwa tego skorzystać powinno. Obliczono, że kredyt, potrzebny na pierwsze zaraz pięciolecie, wyniesie po 8 milionów marek rocznie, wobec czego sejm odrzucił projekt pastora. Postanowił zaś tylko zająć się rozpatrzeniem wszystkich tych środków, które w Europie stośować postanowiono dla zatkania wszystkich kanałów, któremi płyną przyczyny, rozkładające coraz bardziej zwarte i zadowolone społeczeństwo włościańskie.

Uczony niemiecki Schultze von Gaevernitz, w dziełach swoich, o których i u nas w swoim czasie mówiono i pisano wiele (Der Weg zum sozialen Frieden, Der Grossbetrieb), wprowadził na widownię zupełnie nowy typ robotniczy: robotnika zamożnego. W łonie świata robotniczego angielskiego ma się właśnie dokonywać zróżniczkowanie w tym kierunku. W „Grossbetrieb“ opowiada profesor niemiecki, który parę lat spędził w Anglii i zdaje się być pilnym a ciekawym i rozumnym obserwatorem (por.



jego szkice ekonomiczne z podróży po Rosji p. n. *Volkswirtschaftliche Studien aus Russland* 1899) mieszkaniach robotniczych, składających się z paru pokoiów, odpowiadających wszystkim wymaganiom kultury i higieny nowoczesnej; o robotniku, wyjeżdżającym na parę letnich tygodni nad wybrzeże morskie, o robotniku, korzystającym z wszystkich dobrodziejstw kultury naszej i t. d. Był to zupełnie nowy typ w galerji proletariatu, do której nie przyzwyczajone są oczy w innych krajach i u innych narodów. Najświeższe cyfry zdają się potwierdzać te zdania profesora, na którego pośpieszono rzucić anatemię optymizmu w chwili, kiedy ogłaszał swoje prace. Poniżej wymieniamy instytucje finansowe, z których usług korzystają głównie robotnicy. Otóż kapitały robotnicze, złożone w nich, wynosiły: we *Friendly Societies* 23 milj. funtów szter., w Towarz. ubezpieczeń na życie i na wypadek choroby 3 milj., w kasach oszczędnościowych przemysłowych 20 milj. W stowarzyszeniach *budowlanych* 52 miljonów, w stow. zawodowych 2 milj., w kasach oszczędn. kolejowych 3 milj., w stowarzyszeniach spożywczych 27 milj., w kasach oszczędnościowych pocztowych 145 milj. w kasach oszczędno-

ściowych prywatnych 5 milj. — Ogółem około 280 milionów funtów szterlingów (funt=10 rublom). Niezależnie od tego obliczają, że robotnicy posiadają w rękach swoich akcji fabrycznych na sumę około 100 milionów. Czasopismo specjalne, z którego czerpiemy tę notatkę, oblicza kapitały robotnicze angielskie w ogólnej sumie, jako równające się 400 milionom funt, t. j. 4 miliardom rubli.

I z Anglii na inną jeszcze, nie wszędzie na wawrzynach spoczywającą kwestję pada światło różowe powodzenia i czynu dokonanego. Związek współdzielczy kobiet angielskich (*The Women's Cooperative Guild*) ogłosił czternaste sprawozdanie z działalności swojej. W ostatnim roku powstało 36 nowych filjalnych stowarzyszeń, a wogóle obejmuje związek 223 stowarzyszenia o 10.555 członkach. W dalszym ciągu związek zajmował się losem kobiety pracującej i rezultatem tych prac był nowy szereg petycji do parlamentu i ministrów, żądających ograniczenia pracy kobiecej, rozszerzenia kompetencji prawodawstwa fabrycznego na różne gałęzie przemysłu angielskiego, wolne dotychczas od opieki inspekcji (np. pralnie parowe); petycje żądały również mianowania dalszego szeregu inspektorek fabrycznych, ekspertów kobiet,



stosowania zasad inspektoratu i do przedsiębiorstw handlowych (naprz. przymusowe zamykanie biur, sklepów i t. d.) Przysięgłe lektorki związku wygłosiły potężną ilość wykładów publicznych na różne, po największej części bieżące, aktualne tematy. Armia ta, ciągnąc od miasta do miasta, od osady do osady, od wioski do wioski zapoznawała słuchaczy (alias słuchaczki) z nowoczesnymi wymaganiami pedagogiki, z ośmiodzinnym dniem roboczym, z zasadami administracji miejskiej, z ustrojem politycznym kraju i t. d. Nie brakowało też agitacji na rzecz wybierania kobiet do przedstawicielstwa miejskiego. Wszędzie w radach miejskich, gdzie zasiadają między radniami kobiety, są to członkinie Związku.

W Bernie szwajcarskim zjechali się przedstawiciele stowarzyszeń rolniczych w celu utworzenia „Związku chłopskiego“, którego organem ma być Sekretarjat chłopów szwajcarskich. Wzorem dla tej instytucji ma posłużyć sekretarjat robotniczy, działający już od lat wielu z wielkim pożytkiem dla interesów klasy społecznej, której jest przedstawicielem. Sekretarjat ma się składać z sekretarza, jego pomocnika „romańskiego“ (jako przedstawiciela ludności nie niemieckiej kantonów szwajcar-

skich), oraz kancelisty. Zadaniem jego będzie zbieranie najróżnorodniejszych danych statystycznych, rozsyłanie ankiet i t. d. Na koszty utrzymania ma być wyasygnowana suma 16 tys. franków (sekretarjat robotniczy pobiera 25 tys. frank.).

Wystawa wszechświatowa w Paryżu (1900) powołała do życia nader ciekawą i dobroczynną instytucję. Na polach elizejskich, gdzie wystawa miała swe siedzisko pracowało 1.500 — 2.000 robotników, którzy pożywienia swego szukać musieli dotychczas w złych i nędznych garkuchniach miejscowych. Otóż b. minister handlu Siegfried, Cheysson i Ch. Robert powzięli myśl stworzenia kuchni robotniczej, na zasadach współdzielczych, któraby potrzebom licznej armji pracowników wystawowych uczynić mogła zaadość. Jednocześnie ma myśl ta służyć za bodziec agitacyjny dla propagandy idei współdzielczości. Kapitały, potrzebne do urzeczywistnienia tego projektu, mają zebrać stowarzyszenia współdzielcze, Muzeum społeczne, Towarzystwo udziału w zyskach oraz inne stowarzyszenia dobroczynne, drogą zapisów; kapitał powstanie z akcji po 25 franków każda; nie może dać wyższych odsetków na 3% (akcjonariuszom), przyczem pozostała suma zysków podzielo-



na zostanie między robotników, stołujących się w restauracji. Na czele Komitetu instytucji stoi hrabia de Chambrun, znany założyciel Muzeum społecznego. W zarządzie restauracji zasiadać będą przedstawiciele robotników. Procedura obliczania zysków będzie następująca. Każdy zamierzający stołować się w kuchni kupuje za pewną sumę franków marki (*jetons*), któremi płaci za spożyte potrawy; kielner wydaje mu rachunek ogólnie zapłaconej każdodziennie sumy; rachunek ten przedstawia się kasjerowi, który wydaje znowu znaczek, równy sumie, określonej w rachunku. Cała procedura wzajemnej kontroli, kasjera, kielnera i spożywcy jest nader prostą i z tego chociażby względu zasługuje na zaznaczenie.

Z okazji wystawy przemysłowej odbył się w Berlinie 1896 zjazd przedstawicieli towarzystw kolonji letnich niemieckich. Dwa dni trwały obrady ludzi, którzy poza właściwym zawodem swoim wolne chwile poświęcają i dla nas dziś już żywotnej sprawie kolonji letnich dla biednych dzieci. Poruszano po większej części kwestje lokalne czysto niemieckie, które niewiele nas obchodzą, natomiast dwa tematy obrad posiadają charakter ogólnoludzki i na to

właśnie zamierzamy zwrócić uwagę naszych czytelników.

Sądźmy, że wiadomość ta przydać się może osobom, którzy sprawie biednych dzieci ofiarują swą wiedzę, zabiegi i starania. Niemcy, to naród bardzo praktyczny — i ich doświadczenie każdemu przydać się może.

Pierwszy z tych tematów, to — opieka nad dziećmi po powrocie z kolonji. Kwestja ta nader ważna i już od lat dziesięciu nie przestaje ona zajmować zarządów poszczególnych kolonij letnich niemieckich. Na zjeździe we Frankfurcie w r. 1887, w Lipsku r. 1890, wreszcie na kongresie międzynarodowym w Zurychu rozprawiano szeroko nad nią i dyskutowano nad metodą wprowadzenia jej w życie. O dyskusję — mniejsza; są to sprawy specjalne, dla czytelników naszych obojętne. Zajmującą jednak jest próba wykonania projektu i ta zajmie nas dzisiaj.

Jest kilka obrazów, których nie zapominają ci, którzy się w jakikolwiek bądź sposób kolonią zajmowali. Pierwszy obraz — to wyjazd dzieci z Warszawy. Gromada białych, bezkrwistych, wyżartych przez miazmaty chorób przeróżnych i najstraszniejszą — przez nędzę; obraz bezsłoneczny, na który patrzeć nawet trudno, jak przez lza-



wą mgłę smutku. Obraz drugi—to powrót dzieci ze wsi: gromada, tryskająca życiem, wesołością, opalona od zdrowych promieni dobroczynnego słońca i dobrze odkarmiona. Niejeden z nas, oddając dzieci w ręce rodziców, pomyślał z uczuciem strachu, że oddaje je z powrotem tym samym warunkom zdrowotnym, materialnym, z jakich je wy dobył—aby na chwilę, jakże krótką i znikomą wobec bezmiaru poprzedzających ją i następujących po niej lat całych—zanurzyć je w kąpeli słonecznej, względnego dobrobytu materialnego i moralnego. Czyż wobec tego cała praca nasza nie jest daremną? Pytanie to dręczyło niemieckich kolegów naszych i w odpowiedzi na nie starali i starają się powołać do życia—opiekę nad dziećmi po powrocie ich z kolonji. Oto jak powstała instytucja tego rodzaju w Bremie. Przed 10 laty poświęcono w tym celu niewielką sumę 400 marek, powstała z dochodów, jakie dał koncert amatorski, a dzięki zabiegom kilku oddanych sprawie filantropów udało się oprzeć wydatki konieczne dla wykonania zamierzonego celu na trwalszych podstawach. Dzisiaj postępują bremeńczycy w następujący sposób. Za zbliżeniem się jesieni obchodzą damy z komitetu, które znają już dzieci z czasu wiosennej rewizji sanitarnej, domy ich ro-

dziców i wybierają z pośród ogólnej masy najbiedniejsze. Według wskazówek referenta ilość stanowi zazwyczaj piątą część całości. Dzieci wybrane dzielą się na grupy i każda z owych grup otrzymuje codziennie pomiędzy 4—4½ godziną popołudniową porcję gotowanego mleka ( $\frac{1}{3}$  litra na dziecko) i dużą bułkę pszenną. Wydawanie podobnych podwieczorków rozpoczyna się w końcu października, trwa do Wielkiejnocy i odbywa się w lokalach użyczanych w tym celu przez inne instytucje filantropijne. Unika się sal szkolnych, a to ze względu na niezdrowe panujące tam powietrze. W Bremie opieka ta kosztowała w roku zeszłym około 2000 marek.

\* \* \*

Drugim tematem, który wydaje mi się godnym uwagi czytelników naszych, a który poruszyła odezwa prezydującego w zakończeniu obrad, był projekt następującej treści.

W skromnym nawet budżecie człowieka średnio-zamożnego, utrzymującego się z pracy (nie mówiąc już o wybrańcach losu), figurować może z łatwością pozycja kilkunastu kopiejek tygodniowo — aż do większych sum składanych przez ludzi zamożniejszych, których „nie warto“, albo „nie



opłaca się“ odnosić do „Kurjera“ dla biednych dzieci. Każdy z tych ludzi ma swoje koło towarzyskie, które się zbiera w pewnych odstępach czasu dla spędzenia razem chwil niektórych. I wtedy jest okazja zapukania do serc litościwych o grosik (wdowi chociażby) gwoli ulżenia dzieciom, zarówno głodnym, jak chorym. W tym celu proponuje mówca zaprowadzenie wśród publiczności skarbonek, które przyjmą bez szemrania i bez ironji każdy najmniejszy datek, każdy grosz wytarty.

Skarbonki takie na żądanie wydaje zarząd, oznaczwszy je naprzód znakiem albo literą porządkową. Znak ten wraz z nazwiskiem zbierającego wnosi się do księgi a co pół roku (1 kwietnia i 1 listopada) zaprasza się łaskawego dobrodzieja, otwiera się skarbonkę i... wydatki kolonji zmniejszyły się o jakąkolwiek bądź pozycję. Pomyślmy tylko, że ilość ludzi, w domu których podobne puszki znaleźć się mogą, liczy się na krocie i pomyślmy, że Czesi zbudowali w sposób podobny największe swoje instytucje narodowe.

Wchodzić zaczyna na nowe tory wogóle kwestja kolonji letnich w Niemczech. Dotychczas tam, tak samo jak i u nas i gdzie indziej, pozostawiane one bywały opiece dobroczynności prywatnej. Tymczasem da-

tki prywatne zaczęły napływać coraz wolniej, aż wreszcie doszło do tego, że w roku bieżącym dzieci miasta Lignicy na Szląsku pozbawione zostały zupełnie wywczasów letnich. W Gera tedy wniesiono na posiedzeniu rady miejskiej projekt wyznaczenia z funduszków miejskich sumy 1.000 marek na ten cel. Opozycja była nader słabą, choć wszyscy niezadowoleni oponowali „w zasadzie“ i ustąpili zdaje się tylko dla tego, że żądana suma była niezbyt wysoka. Nadburmistrz zaznaczył mianowicie, że wyznaczając kredyt dla kolonji letnich, miasto przyjmuje tę instytucję na siebie, czyli że ofiarność z prywatnej staje się publiczną, ogólną - społeczną; znamionuje to w jego oczach „przejście do nowego społeczeństwa przyszłości.“ Deputowani, którzy wnieśli projekt ten pod obrady rajców miejskich, poparli go całym szeregiem argumentów, między innemi znacznym procentem dzieci w wieku szkolnym, podkopującym swe zdrowie nadmierną pracą fizyczną. I tak na 4.752 dzieci w wieku szkolnym 13% (573) musiało pracować za opłatą. 26 dzieci liczyło 6—9 lat, 137 dz. 9—12 lat, pozostała ilość 12—15 lat. Rodzaje zajęć, napotykanie najczęściej, były: posługacze sklepowi („posylki“), roznosiciele pieczywa i dzienników, usługujący w kręgielniach,



robotnicy w fabrykach papierosów i t. d. Praca ta rozpoczynała się o 4 $\frac{1}{2}$  rano, a kończyła o 10 wieczór (8—12 rano i 2—4 dzieci zajęte są w szkole). Dzieci te uczą się niedobrze, w szkole są śpiące i nieuważne, często nie przychodzą wcale do szkoły. Wogóle należy zaznaczyć, że praca dzieci w wieku szkolnym, praca nie ciągła, ale chwilowa, lub powtarzająca się regularnie (p. wyżej), coraz bardziej rzuca się w oczy badaczom patologii społecznej w Niemczech.

# IX.

Robotnicy wiejscy w Prusiech.—Pastor Goehre.—Kongres kobiecy w Brukseli. — Międzynarodowy kongres ochrony pracy w Zurychu.

Wiele wrażenia wywołały w Niemczech ogłoszone świeżo szkice z życia robotników wiejskich w Prusach Wschodnich. Autorem ich jest znany pastor Goehre. Stan robotników wiejskich w Niemczech już od lat wielu zwraca na siebie uwagę ekonomistów i działaczy społecznych, całą szpalę możnaby wypełnić tytułami broszur i ciężkich foljałów, które tylko w ostatnim dziesięcioleciu mówiły i mówią o tej kwestji— „burzą brzemiennej“. Nazwiska Knappa, von der Goltza, Webera, Frankensteina, Seringa, Kaergera, Blondela wyobrażają

linje wytyczne poglądów, które w tej kwestji ogłoszone dotychczas zostały. Towarzystwo polityki społecznej (Verein für Socialpolitik) rozpisało w celu wyświetlenia tej kwestji i zebrania świeższego materiału faktycznego ankietę i opracowało ją w trzech przeszło 2,000 stron liczących tomach (1892). Materiałowi zebranemu w tej ankiecie zarzucano na zjeździe r. 1893, na którym roztrząsano kwestję robotników wiejskich, charakter jednostronny: źródłami wiadomości były dla autorów tych opracowań sfery administracyjne, oraz właściciele ziemscy. Główni mówcy i działacze towarzystwa zgodzili się na słuszność tego zarzutu i próbowali wynaleźć drogę, po której spłynęby mogły na pracę dokonaną promienie światła krytycznego. Tą drogą miało być duchowieństwo z formacji najnowszej, młodych, „społecznych“ pastorów. Zdaje się, iż podróż inspekcyjna Goehrego znajduje się w pewnym związku z tą działalnością uzupełniającą towarzystwa. Pastor chciał się naocznie przekonać o tym, jak mieszkają najemnicy junkrów pruskich. Oto obraz, który nakreślił. Na facjacie znajdują się trzy izby, utworzone z jednej całości i podzielone cienkim „przepierzeniem“. W pierwszej liczącej 7 metrów dług. i 2 szerokości znajdujemy 8 t. z. łózek (4 deski zbite



w czworobok wypchany słomą), poza którym niema ani szafy, ani stolka, ani umywalni; nad izbą niema żadnego sufitu, boczne ściany podpierają dach, który dotknąć może ręka średnio wysokiego człowieka, wyciągnięta ze środka pokoju. Izba ta przeznaczona jest dla żonatych; noce spędzają tu cztery pary robotników. Dwie drugie izby łączące się ze sobą (wyjście jest tylko jedno z całego poddasza!) przeznaczone są dla chłopców jedna, dla dziewcząt druga. Ażeby wejść do swojej nory, dziewczęta muszą przechodzić przez izbę mężką. Żadnej lampy; żadne drzwi się nie zamykają. Goehre rzuca na papier obraz istotny, nie pokryty gazą bielącą udanego wstydu, odpowiadający temu, który powstaje na tle tych danych w jego wyobraźni. Tylko Zola nie powstydzilby się przeprowadzić w zwartym szeregu bojowym akcesorji i ofiar nocy przed oczyma czytelnika!

Goehre stwierdza tylko, już dawniej wypowiedziany przez poprzedników swoich na tym polu „aforyzm“, że przegrody dla inwentarza są lepsze na folwarkach junkrów, od mieszkań służby folwarcznej. Publicysta von Gerlach dodaje od siebie do tych wywodów pastora, że tylko zupełny brak świadomości społecznej chroni najemników pruskich od ucieczki ze szponów „idylli wiej-

skiej“ chociażby w sidła emigracji amerykańskiej, albo w piekło kotła fabrycznego w pobliskim mieście. Gerlach wskazuje również na środki ratunku. Ratunek ma się, mianowicie, znajdować w zupełnym unięściwieniu „junkrów“ i tych wszystkich specjalnych warunków, wśród których dojrzuwa kultura tego lasiecznika. Należy nam dodać, że ani Goehre ani von Gerlach nie należą wcale do opozycji zasadniczej. Drugi sam należy z urodzenia do klasy, której tak dobrze życzy; wychował się na wsi wśród rozkoszy, które maluje czarną farbą, na czarnym tle pastor niemiecki. Są to głosy bardzo ciekawe właśnie w chwili bieżącej, kiedy po paroletniej niełasce znów na scenę, w roli bohatera, w pierwszym rzędzie staje stary cień „samotnika z Friedrichsruh“. Wszyscy ministrowie i mężowie stanu, którzy w ubiegłych paru latach wyobrażali nowoczesne prądy społeczne i społeczniające, którzy bronili prawodawstwa robotniczego, stworzyli je i stali na straży jego czystej nieklamanej wykładni, „wymarli“. Padł minister handlu Berlepsch, osierocił komisję państwową statystyki robotniczej, której przewodził, Lohmann, wreszcie w ostatnich tygodniach znakomity dr. Bödiker, którego niespożyte zasługi na polu stosowania ustaw, ubezpieczających zdro-



wie i życie robotników, znane są każdemu, kto się kwestji tych dotykał, Niemiec uznany i wielokrotnie uczczony przez zagranicę ustąpił z urzędu ubezpieczeniowego w Berlinie. Inne czasy, inni ludzie. *Andere Vögel, andre Lieder*—jak śpiewa Heine.

Kongres kobiety międzynarodowy w Brukseli, przeszedł dość spokojnie i cicho; wydał się, jak gdyby arja na flecie po wielokordowym marszu z którejkolwiek opery Wagnera. Stały do apelu delegatki francuskie, niemieckie, angielskie; Ameryka, Austria, Włochy zupełnie nie wysłały przedstawicieli. Pozostałe kraje europejskie dały po kilka, albo po jednym głosie do chóru symfonicznego skarg i pożądań, obrazu rzeczywistości niezadawalającej a ideału wyśnionego. Pierwszy dzień obrad poświęcono wyłącznie stanowisku kobiety wobec prawa cywilnego. Przed obiadem delegatki niemieckie zaznajamiały swe siostrzyce z treścią niektórych, specjalnie je interesujących rozdziałów nowego kodeksu cywilnego Niemiec i z dość niepotrzebną agitacją kobiet niemieckich przeciwko stosowaniu zawartego w nich prawa. Po obiedzie wypłynęła na stół stara kwestja „poszukiwania ojcostwa“, która gra we wszystkich krajach, gdzie obowiązuje kodeks Napoleona (Francja, Holandja, Belgja, Szwaj-

carja francuska. Prowincje nadreńskie Prus, ks. Badeńskie i t. d.) rolę fatalną. Kwestja ta, jak gdyby trzema strumieniami o różnym składzie chemicznym wody, spłynęła na stół prezydjalny: Prof. Bridel, znany i u nas z dobrego podręcznika swego *Le droit des femmes et le mariage* (1893, przekład polski 1895), stanął po stronie zasady przyjętej przez najnowszy kodeks niemiecki, żądał tylko sprawiedliwego unormowania żądań matki nieprawego dziecka i większej sankcji prawa karnego; Pani Schook-Huver (Amsterdam) wymagała zupełnego równouprawnienia dzieci prawych i nieprawych w stosunku do ojca; panna Augspurg (Berlin, dr. jur.), w imię wiekui-stego nieprzejednania, proklamowała poszukiwanie ojcostwa, obowiązek utrzymywania dziecka przez ojca jako niewystarczające, niekiedy nawet szkodliwe środki, natomiast dzieci nieprawe mają korzystać z prawa macierzystego, a w pewnych wypadkach z upaństwowionej pieczy macierzyńskiej. Drugi dzień obrad poświęcono rozprawom nad równouprawnieniem ekonomicznym. Dopuszczenie kobiety do wszystkich zawodów, równa płaca wobec jednakowej pracy, otwarcie dla kobiet sądów handlowych i przemysłowych. Kamieniem obrazy była dnia tego kwestja zastosowa-



nia prawodawstwa fabrycznego do pracy kobiecej. I na kongresie brukselskim znalazła się grupa kobiet, która obstawała jeszcze, za przykładem, zdawałoby się, zapomnianej już ekspektoracji pani Szeligi, za równouprawnieniem pracy kobiet pod względem pracy nocnej i t. d. Dobrze się stało, że większość zgromadzenia zgodziła się na tezę znanego feministy belgijskiego, adwokata Ludwika Franka. Wiele pustych frazesów wypowiedziano na temat powszechnego, międzynarodowego stowarzyszenia kobiet; nie zdobyto żadnej większości, pomimo, że od lat czterech istnieje zarodek takiej organizacji pod nazwą: *International Council of Women*. Na wety dano sejmującym kobietom pięknie opracowany odczyt Juljusza Bois (Paryż), który rozwodził się nad różnicą kobiety anglosaskiej i romańskiej, uznając wyższość pierwszej i widząc w niej odrodzicielkę społeczeństwa angielskiego.

W roku 1890 wiele pustych rakiet frazeologicznych wywołała myśl Wilhelma II zwołania kongresu, czyli konferencji międzynarodowej, mającej na celu debaty nad ochroną pracy. Konferencja, jak wiadomo, nie wydała żadnych rezultatów i pozostawiła po sobie pomnik własnej nieudolności w tablicy środków minimalnych, które za-

stosować należy do pracy kobiet, dzieci w prawodawstwie fabrycznym narodów cywilizowanych. Nawet pośredni wpływ tych, pod osłoną orla czarnego odbytych, obrad był dość mizerny. Przysięgli bowiem dziejopise społeczno-polityczni pruscy przypisują im zaledwie pewne znaczenie w reformach, dokonanych w ostatnim pięcioleciu w prawodawstwie fabrycznym niemieckim, reformach przygotowanych już oddawna. Inne kraje pozostały zupełnie głuche na te pieśni syreny politycznej w pikelhaubie szczero-złotej dlatego chociażby, że ich prawa fabryczne dawno już przekroczyły granice wskazane przez konferencję. Od tego czasu probowano niejednokrotnie zwoływać kongres specjalistów w celu nakreślenia ogólnego planu dróg przyszłego prawodawstwa fabrycznego. Uczeni, bojąc się rezultatów chybionych, odmawiali swego współudziału, aż wreszcie udało się zwołać jednocześnie niemal aż dwa kongresy ochrony pracy. Zebrany w Zurychu zaraz potym przeniesiony do Brukselli zjazd ten, czy też dwa zjazdy przykuły do siebie na czas jakiś uwagę Europy prawodawczej, ekonomicznej, społecznej, robotniczej. Ich obrady zasługują ze wszechmiar na baczną uwagę. Zjazd w Zurychu, zapowiadany i przygotowywany od lat kilku był nader



liczny. Przedstawiciele wszystkich narodów europejskich i wszystkich grup społecznych stanęli do apelu. Najliczniej reprezentowany był świat robotniczy i duchowieństwo. „Nigdy — mówi jeden z uczestników — nie widziano w jednej sali tylu sutann i tylu czerwonych krawatów razem. Grupy robotnicze Niemiec, Austrii, Włoch, Holandji, Anglii, Szwecji i Szwajcarii wysłały swych delegatów, w kilku wypadkach nawet całe ich grupy. Nader licznie wystąpiło też duchowieństwo rzymsko-katolickie. Ze Szwajcarii Decurtins, z Belgii Daens, de Pierre i de Wiart, z Austrii Axman i Bielohlavek, baronowa Vogelsang i ks. Stojałowski — a dalej całe zastępy księży szwajcarskich, południowo-niemieckich i alzackich. Odłam protestancki tego samego ruchu chrześcijańsko-społecznego miał swych rzeczników w osobach Kulemanna (sędzia z Brunświku) i pastora Trauba ze Stuttgartu. Tutaj zaliczyć też można, z pewnym jednak zastrzeżeniem, znanego a pod wielu względami znakomitego publicystę, Rudolfa Meyera. Pomiedzy temi dwiema grupami polityków „wojujących“ znaleźli się prof. Jay (z Paryża), de Seilhac (przedstawiciel „Muzeum społecznego“ w Paryżu), Lambrechts, urzędnik z belgijskiego ministerjum pracy, Schuller znany inspektor fabryczny szwajcar-

ski, oraz przedstawiciele dziesięciu kantonów szwajcarskich. Wyliczamy tylko bardzoj znane nazwiska. W mowie inauguracyjnej rzekł Scherer, radca kantonalny z St. Gallen: „Kongres nie jest dziełem jednej partji politycznej; zaprosiliśmy wszystkich, kto tylko uznaje konieczność ochrony pracy. Nie chodzi nam wcale o teorie i doktryny, lecz o wspólny program działania. Uznajemy opiekę nad pracą robotniczą, jako żądanie higieny i człowieczeństwa“. Pierwsze referaty dotyczyły pracy niedzielnej. Prof. teologii z Fryburga szwajcarskiego, Beck, panując nad całkowitą literaturą przedmiotu, zapoznał zgromadzenie ze wszystkimi warunkami tej pracy, zniewalającemi do najsurowszego jej ograniczenia. Określił międzynarodowy charakter tych ograniczeń, jako centralny punkt całego prawodawstwa ochrony pracy. „Praca niedzielna godzi w rdzeń sił ludu, jest lichwą w stosunku do sił żywotnych, gospodarstwem rabunkowym w zastosowaniu do człowieka. W walce konkurencyjnej zwycięży ten naród, który posiada najmniej zużytych pracą robotników“. Mówca żądał rozciągnięcia odpoczynku niedzielnego i na sobotnie popołudnie i wskazał jako przykład Anglję, gdzie ten zwyczaj jest prawie powszechnym. Drugi mówca, Brandt,



podkreślił bardziej tło społeczne odpoczynku niedzielnego, który ma być dla robotnika chwilą „radosną“, poświęconą zwiedzaniu muzeów, koncertów, czytelnictwu. Charakterystycznie odbijało od mowy Becka żądanie delegatów angielskich, którzy chcieliby przenieść odpoczynek na inny dzień tygodnia; tradycje bowiem angielskie nie pozwalają robotnikowi korzystać we właściwy sposób z tego odpoczynku. Wniosek ten atoli został niebawem cofnięty i zgromadzenie podzieliło mniemania prof. Becka, sformułowane ostatecznie przez deputowanego austriackiego Pernerstorfera. Wnioski te brzmiały: kongres żąda zakazu pracy niedzielnej pod groźbą skuteczną kary dla wszystkich kategorii najemników i pracowników wogóle. Wyjątki dopuszczane być mogą tylko dla tych rodzajów pracy, które są konieczne ze względu na umożliwienie jej bez szkody w poniedziałek, albo dla tych kategorii, które nie znoszą żadnych przerw w produkcji. Granice tych wyjątków powinny być ściśle oznaczone w prawie, a w żadnym wypadku nie można pozostawić przeprowadzenia ich dowolnemu tłumaczeniu władz administracyjnych, jak to się dzieje dotychczas. Robotnicy i pracownicy wogóle, którzy zajęci byli jednej niedzieli, powinni mieć następną

wolną bezwarunkowo, a prócz tego otrzymać inny dzień wolny w tygodniu. Odpoczynek niedzielny powinien obejmować nie mniej, niż 36 godzin.

Pracy dzieci poświęcono kilka referatów. Dr. Gehring (Bern) i Reimann (Kiel) na podstawie dużego materiału, zapożyczonego ze skarbnicy doświadczenia medycznego, żądali usunięcia dzieci z fabryk poniżej lat 15. Najlepszym środkiem dla przeprowadzenia tej zasady będzie przedłużenie do tego wieku przymusu szkolnego. Młodzieńcy od 15 do 19 roku nie powinni pracować w fabryce dłużej, niż 7 godzin dziennie. Grupa konserwatywna obradujących nie chciała się zgodzić na dłuższą granicę wieku „szkolnego“, niż ta, która obowiązuje obecnie w Niemczech (14 lat). Anglik Burrows i docent Reich (z Wiednia) żądali w odpowiedzi jeszcze jednego roku nauki szkolnej, t. j. wymagali zamknięcia fabryk dla młodzieży poniżej lat 16. Wreszcie większością głosów (132 przeciw 75) przyjęto wniosek referentów. Po za tym zjazd postanowił, aby robotnicy młodzi (poniżej lat 19) mieli zupełną możność rozwijania się dalszego w szkołach, uzupełniających wykształcenie początkowe, aby wreszcie—bezwarunkowo wzbronioną była małodzieżą wszelka praca niedzielna.



Kongres uznał wprowadzenie maksymalnego dnia roboczego dla wszystkich robotników, zajętych w przemyśle, rzemiosłach, handlu i rolnictwie, jako konieczne. Wyjątek dopuszczonym być może tylko dla rolnictwa podczas żniw.

Najwięcej stoczono bojów, najwięcej skruszono kopij w dziedzinie pracy kobiet. Belgijczyk, de Wiart, zażądał zupełnego zniesienia ich pracy fabrycznej. Uważa on tę ostatnią, zarówno jak i pracę dzieci (fabryczną) za oburzające pogwałcenie praw przyrody i wymagań moralności. Niechaj nie mówią, że zarobki żony są konieczne dla wyżywienia rodziny: dawny ustrój ekonomiczny nie wypędzał kobiety do pracy po za próg domu bez względu na ujemne strony organizacji rzemieślniczej. Jeżeli na jedną szalę wagi położymy zysk ekonomiczny, płynący z pracy kobiet, a na drugą — jej skutki moralne, to musimy przyjść do wniosku, że te drugie o tyle mają przewagę, że wszelka wątpliwość ustąpić musi. Ci, co bronią pracy matki, przypominają mówcy hr. Ugolina, który pożerał w wieży własne dzieci, aby im zachować przy życiu ojca. Przedstawicielki świata robotniczego, pani Braun (Giżycka) z Berlina i pani Zetkin (ze Stuttgartu) dowodziły, że kobieta nie potrzebuje wcale dobrodziejstw

jej ofiarowanych. Robotnica chce utrzymać w dawnym znaczeniu swe prawo do pracy na równi z mężczyzną i jeśli walczy, to ideałem jej nie jest kobieta, ale człowiek wolny i równy.

Bebel, który stanął po stronie swych rodaczek, zauważył, że żądanie usunięcia kobiet z fabryki, prowadziłoby zamiast do wzmocnienia rodziny, do konkubinatu i prostytucji. „Chcecie wypędzić kobiety z fabryki, ale nie z warsztatu rzemieślniczego, nie z dziedziny przemysłu domowego. Czyż 8 godzin pracy fabrycznej mają być gorsze od 15-tu, spędzonych przy maszynie do szycia? Mamy w Niemczech  $\frac{3}{4}$  miliona kobiet w przemyśle fabrycznym. Jeżeli zamknijemy przed nimi wrota fabryk, wtedy tysiące mężczyzn nie mogą zawierać związków małżeńskich“. Ostatecznie kongres przyszedł do następujących wniosków. Należy dążyć do obszernego i skutecznego prawodawstwa ochronnego dla wszystkich gałęzi pracy niewieściej. Praca powinna kończyć się w sobotę w południe, tak iż odpoczynek niedzielny wynosić będzie 42 godziny. Ścisłe przestrzegać należy, aby robotnice nie brały ze sobą do domu roboty, jak to dotychczas jest powszechnie przyjętym zwyczajem. Położnice powinny być przyjmowane do pracy nie wcześniej, jak



w sześć tygodni po urodzeniu dziecka. Prawo określi rodzaje pracy, z których kobiety brzemiennie bezwarunkowo będą usunięte. Za czas tego odpoczynku robotnica ma otrzymać zapomogę od państwa, albo od gminy, w stosunku do pobieranej płacy. W kwestji służących dążyć należy do zupełnego zrównania ich praw z innymi kategorjami robotnic. Kongres uznaje, jako zasadę, że za jednakową pracę kobieta otrzymywać powinna jednakową płacę.

Prof. Erismann, znany higienista i profesor z Moskwy, wygłosił nader ważny i cenny referat w sprawie pracy nocnej i szkodliwych dla zdrowia rodzajach pracy fabrycznej. Praca nocna, t. j. pomiędzy godz. 8 wieczorem i 6 rano powinna być zupełnie zakazana. Wyjątki dopuścić można tylko dla tego rodzaju pracy, gdzie charakter produkcji nie znosi przerwy, przyczem one dotyczyć mogą tylko mężczyzn dorosłych. Te rodzaje produkcji muszą być określone na drodze prawodawczej. Co zaś do przemysłu, szkodliwego dla zdrowia ludzkiego, to prof. Erismann żądał, aby w każdym wypadku przedsiębiorca przedstawił dowody, że zastosował wszelkie środki, któremi rozporządza technika współczesna w dziedzinie ochrony życia i zdro-

wia ludzkiego. Przedewszystkim powinna być zwrócona uwaga prawodawcy na środki, ubezpieczające organy oddechowe robotników od szkodliwych cząsteczek materjalnych: kurzu, gazów itp. Kobiety i młodzi ludzie poniżej lat 18 nie powinni być wcale dopuszczeni do pracy w takich warunkach. Praca powinna być krótszą, niż w innych dzielnicach przemysłu. Odpowiedzialność za zdrowie i życie robotników spoczywa całkowicie na przedsiębiorcach.

Odmierna zupełnie atmosfera panowała na kongresie zwołanym do Brukseli. Ochrzczono go odrazu następcą „konferencji“ berlińskiej, zwołanej z takim impetem przez Wilhelma II, która jednak dała rezultaty odwrotnie proporcjonalne do nadziei, pokładanych w niej przez jej własnych członków. Namaszczony tedy olejem biurokracyzmu pruskiego, nabrał na pierwszej zaraz chwili odpowiedniego charakteru. Zjechali się tylko posiadający; sfery robotnicze, przedewszystkim zainteresowane w przebiegu rozpraw, miały trzech zaledwie (i to tylko belgijskich) przedstawicieli. O ile w Zurychu zgromadzenie stało na gruncie koniecznego udziału państwa w sprawie ochrony pracy, natomiast w Brukseli przeżywano jeszcze oddaloną już od nas epokę manchesteryzmu, anarchii libe-



ralnej i atonizmu społecznego. Tutaj kilku profesorów niemieckich nader mało „przewrotowych“ — jak: Schmoller, Brentano, Philippovich, Mayr, były minister Berlepsch — uchodzili za przedstawicieli rewolucji społecznej! Kongres nie powziął żadnych uchwał, nie przeprowadzał nad nimi żadnego głosowania: trudno tedy określić, jak licznymi były armie popleczników prawodawstwa robotniczego i jego przeciwników.

Porządek obrad, ułożony z góry, był następujący: Jakie zmiany zaszły w prawodawstwie robotniczym od czasu konferencji berlińskiej w różnych krajach europejskich; jak mianowicie brzmią przepisy, dotyczące pracy małoletnich kobiet, oraz pracy w kopalniach? Czy należy rozciągnąć opiekę i na dorosłych mężczyzn, czy mianowicie należy ograniczyć godziny ich pracy? Czy międzynarodowe prawodawstwo robotnicze jest możliwym do stworzenia? Czy należy zwrócić uwagę na warunki pracy w drobnym i domowym przemyśle? Czy będzie pożytecznym, jeżeli się ujednostajni prawodawstwa specjalne, dotyczące w różnych krajach przemysłu niebezpiecznego dla zdrowia ludzi? Na jakich podstawach trwałych oprzec należy prawodawstwo ochronne? Jakie prawa posiadać winien inspektor fabryczny? Czy jest do ży-

czenia, aby różnokrajowe biura pracy znajdowały się z sobą w związku międzynarodowym i aby statystyka robotnicza otrzymała organizację międzynarodową?

Byłoby to bez pożytku dla czytelników naszych, gdybyśmy zamierzali opowiedzieć tutaj treść obrad, które toczyły się wkoło owych zapytań. Odpowiedzi na nie dał kongres zurychski, odpowiedzi takie, na które się zdobywa nauka nasza, europejska. Prawodawstwo kobiet, dzieci nieletnich, dorosłych i prawodawstwo, dotyczące przemysłów niebezpiecznych dla zdrowia itd. — wszystkie te rzeczy znalazły w Zurychu sympatycznych, uczonych, wyspecjalizowanych rzeczników.

Zostawiliśmy na koniec pewną organizację, która o ile się zdaje, ma wszelkie warunki urzeczywistnienia się, a urzeczywistniona, będzie ważnym rezultatem pięciodniowych dyskusji szwajcarskich. Tą instytucją jest międzynarodowe biuro ochrony pracy. Żądanie stworzenia międzynarodowego prawodawstwa robotniczego jest już starym. Przeszło 40 lat temu (1855) wystąpił z tą myślą jeden z kantonów szwajcarskich i od tej chwili nie przestano agitować na rzecz tego projektu. Ale dopiero w roku 1889 rozesłała Rada związkowa szwajcarska zaproszenie do wszyst-



kich rządów europejskich, proponując zwołanie zjazdu międzynarodowego dla rozbioru tego projektu. Wszystkie państwa europejskie zgodziły się na to i żalować tylko wypada, że na życzenie Wilhelma II zjazd ten odbył się w Berlinie. Szwajcaria ustąpiła zaszczytu swego na rzecz mocarstwa, mniemając, że prawo wygrać tylko może od takiej, popartej piketacją, opieki. Omyliła się. Bo zapal słomiany tylko na chwilę zajaśnieć może siłą pożaru, zostawiając po sobie najczęściej tylko swąd. W roku też 1890 pochowano projekty rządu szwajcarskiego na cały szereg lat, sprawiwszy im tylko pogrzeb pierwszej klasy. I dopiero w roku przeszłym odradzają się one niby feniksy z popiołów. A znowu Szwajcaria w osobie radcy kantonalnego, Th. Curtiego, rzuciła w świat program skryształizowany. Curti, mianowicie, nie zadawałając się wypowiedzianiami przez poprzedników swoich życzeniami stworzenia międzynarodowej ochrony pracy, żąda, aby biuro takie miało przed sobą cele następujące: Naprzód zbieranie i wydawnictwo wszystkich dokumentów prawodawczych, dotyczących ochrony pracy. Powinno ono wydawać je w językach: francuskim, niemieckim i angielskim, a jeżeli język pierwotny dokumentu jest inny, to

i w nim; rozsyłać je do wszystkich inspekcji fabrycznych narodowych, należących do biura międzynarodowego na prawach członków; wreszcie ogłaszać je w wydawnictwach księgarskich i udostępniać dla szerszej publiczności. Powtóre biuro powinno opracowywać porównawczo statystykę pracy, dalej—ogłaszać corocznie sprawozdania z postępów prawodawstwa fabrycznego i ochronnego w poszczególnych krajach, udzielać wszelkich wskazówek osobom, zajętym wypracowaniem odnośnego prawodawstwa fabrycznego, wreszcie urządzać kongresy, któreby dawały obraz działania państw w tej dziedzinie. Nie ulega żadnej wątpliwości, że o ile nakreślony przez Curtiego plan organizacyjny jest znakomitym, o tyle będzie trudnym do wykonania. Zebranie i ogłoszenie materiału prawodawczego w kwestjach ochrony pracy jest rzeczą pierwszorzędną wagi. Ten tylko, kto źródłowo nad kwestjami temi pracował, wie, jak trudno, jak niekiedy zupełnie niemożliwym się okazuje zgromadzenie odnośnych, a podstawowych dokumentów. Jeżeli zaś biuro, niezależnie od tego, miałoby jeszcze sprawozdania ogłaszać z działalności państw europejskich na tym polu, sprawozdania oczywiście nie przypadkowe, ale ciągle, to działalność taka oszczędziłaby niezmiernie



wiele trudu uczonym i prawodawcom, którzy w potrzebie mogliby z łatwością orjentować się w materialem obrobionym z drobniągową ścisłością. Nie mówimy już o zamierzonym zorganizowaniu społecznej statystyki porównawczej. Gdyby się to udało mogło, to korzyści, płynące z tego źródła, byłyby wprost nieobliczone. Biuro bowiem, wskazując pozostającym w tyle prawodawstwom krajowym drogi, któremi kroczyć mają, wskazując metody jednolitej działalności, wpływałoby nietylko zachętą, ale przyspieszałoby urzeczywistnianie czynów, działalność jego stawałaby się tedy twórczą.

Jeszcze przed kongresem kwestja utworzenia podobnej instytucji zaczęła przybierać kształty realne. Na zapytanie, skierowane w tym względzie przez Radę związkową szwajcarską, rządy: niemiecki i włoski zgodziły się na „bliższe rozpatrzenie“ projektu; Austria i Belgja wyraziły chęć przyjęcia z pomocą powstaniu tej instytucji. Niezależnie od roboty w sferze ministerjalnej, postarano się poruszyć sprawę w parlamentach: dnia 1-go czerwca r. z. wniósł dr. Lecher na stół prezydjalny austriackiej Rady państwa, projekt zorganizowania biura międzynarodowego statystyki społecznej. Kongres był tak przejęty ideą konieczności tej organizacji, że mało zajmował się

obradami nad jej potrzebą. Curti tedy poruszył tylko kwestję kosztów. Pod tym względem, jako przykład służyć może biuro telegraficzne międzynarodowe, które z zasiłków państw związkowych otrzymało w r. 1896 sumę 64,000 fr., koszty zaś utrzymania wyniosły około 100,000, przyczym różnica pokrytą została ze sprzedaży druków. O ile tedy droższymi lub tańszymi, albo nawet bezpłatnymi będą wydawnictwa biura, o tyle większymi lub mniejszymi będą zasiłki państw zrzeszonych. „Jeżeli się nie mylę—kończył swą przemowę Curti—sprawa organizacji biura stanęła na pewnym gruncie; kongres wprowadzi ją w ruch energiczny. Otwierając biuro, stwarzamy istotne *Novum Organon* polityki społecznej. Nie zdraśnie ono żadnej doktryny, niczyich przekonań. Pomoże tylko, stojąc na gruncie rozpraw rzeczowych, do organizacji ruchów politycznych. Po filozofii i naukach przyrodniczych umiejętności społeczne wpłynęły na widownię ogólnego intereu —s i w krótkim czasie tryumfy święcić zaczęły. Gdy bowiem niejedno pojęcie moralne i niejednen nakaz etyczny uległy rozprzężeniu, one właśnie budują wały ochronne w kierunku „walki o byt“ i „nadczołowieka“. Niema poprostu innego pola, na którymby większa zgoda panowała, niż w dziedzinie



ochrony pracy. Ona właśnie jest *kategorycznym nakazem naszych czasów*.

Czas pokaże, czy będą owoce pracy najlepszych ludzi chwili obecnej, złożonej tak chętnie, tak entuzjastycznie na ołtarzu miłości bliźniego.



## JAKI POŻYTEK Z MILIONÓW?



Statystyk angielski Mulhall oblicza, że bogactwo kuli ziemskiej wynosi około 703 miliardów rubli. Z tej sumy większa część (513) znajduje się w Europie.

Na pierwszym miejscu widzimy Anglię, która ma posiadać 118 miliardów rubli, następnie idą: Francja (96), Niemcy (80). Rosja (64). Od tych cyfr émi się człowiekowi przeciętnemu w oczach. Alić przejechać tylko trzeba ocean Atlantycki, a w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej znajdziemy aż 163 miljardy majątku narodowego.

Umysł nieprzystawczajony do zastanawiania się nad kwestjami pieniężnymi nie potrafi wcale zrozumieć, co oznaczają te cyfry.

Mulhall oblicza, że gdybyśmy bogactwo całego świata wymienili na srebrne ruble i ułożyli te ostatnie jedne na drugich, to



kolumna taka posiadałaby wysokość, wynoszącą blisko 2 miliony kilometrów. Że zaś od księżyca oddaleni jesteśmy nie na całe 400 tysięcy kilometrów, tedy kolumna ta pięciokrotnie przenosiłaby odległość księżyca od ziemi!

Ameryka, jak wiadomo, jest krajem miliardów i milionerów. Senator amerykański Scherman oblicza, że połowa bogactwa narodowego należy w Ameryce do 40,000 zaledwie rodzin... Miljonerów przytym takich, którzy posiadają nie jeden, a więcej milionów, liczą w Ameryce 70; przeciętnie każdy z nich posiada  $37\frac{1}{2}$  milionów dolarów, a najbiedniejszy ma 20 milionów dolarów.

Za jakie 40 lat—mniema Sherman—nie będziemy już mówić o milionerach, tylko o biljonerach. Miljonerzy bowiem stale łączą się ze sobą i ześrodkowanie kapitałów staje się coraz większe. Sherman widzi w tym obrazie swej ojczyzny na tle złota liczne i okrutne niebezpieczeństwa — upadek obyczajów, zanik życia rodzinnego (w dziedzinie stosunków prywatnych), ogromne ześrodkowanie władzy, przekupstwa polityczne, hegemonje bogaczy. Są to rzeczy wcale nie nowe. Historia przekazuje nam niejedno w tej mierze spostrzeżenie. Pieniądz nie uzdrowił nigdy społeczeństwa,

o ile ono było chorym, a niejednokrotnie zdrowe organizmy polityczne zatrul i powalił.

W stosunku do jednostki sprawa ta gorzej się jeszcze przedstawia.

Zasłużony ekonomista niemiecki Schmoller mówi w pewnej swej pracy: „Nie zdobywa się dziś milionów, nie ocierając się rękawem o mur więzienia“. Dodajmy, że uczony ten nie jest wcale rozczochronym sangwinikiem społecznym, lecz tajnym radcą pruskim i profesorem uniwersytetu berlińskiego.

W tym ogniu, w którym „ludzie“ przepatniają się na „milionerów“, nie przepalają na stal żelaznej rudy swego charakteru, nie wyzbywają się łuski grzechu, nie stają się bynajmniej lepszemi; obserwacja każdodzienna każdego przeciętnie czytelnika pozwoli mu zgodzić się na takie twierdzenie.

Aliści nie wszystkie kruki czarne. Krując nad głową miliardera kopje potępienia, nie mamy na myśli ani Pawła, ani Gawła, lecz tylko oderwany typ. Pomiedzy milionerami bywają wyrodni synowie, których „stan cywilny“ opiewa tylko, iż są niemi, ale duszę mają nie zatrutą, czystą nawet, dobrą nawet. Takiego jednego „wyrodka“, białego kruka między miliardera-



mi amerykańskimi, prezentujemy dziś czytelnikowi. A imię jego—Andrew Carnegie.

Syn robotnika, w młodym wieku emigrował z Anglii do Ameryki, zaczął życie u kotła fabrycznego i „sam siebie stworzył” (self made man). Dziś jest jednym z 70 miliardów; człowiek skromny, spokojny, starający się nawet przeciwdziałać rodzącemu się po zgnieceniu Hiszpani imperjalizmowi amerykańskiemu; czas wolny poświęca rozumnej filantropji i bawi się w literata. Zakłada biblioteki ludowe — i pisze broszury o „obowiązках miljonów”, o „zadaniach filantropji”. Towarzysze jego z pułku siedmdziesięciu uważają go za zdrajcę sztandaru i za pamphleciotę...

Broszurki jego są dość ciekawe i parę słów im poświęcić warto. Carnegie rozpatruje w nich pytanie, co ludzie z majątku swego robią i co z milionami właściwie czynić należy. Zauważył on, że trzy są dziś drogi, po których odpływa majątek, niezużyty na własną potrzebę: po jednej płynie on od rodziców do dzieci, jako spadek; po drugiej—płyne, jako legaty testamentowe dobroczyńców; po trzeciej—odpływa za życia bogacza unieruchomiany w różnych dobroczynnych przedsięwzięciach. Carnegie sądzi, że pierwsza droga jest bardzo niedoskonała. Odziedziczony majątek w prze-

ciwstawieniu do zdobytej pracą fortuny, nie przynosi ani pożytku, ani szczęścia. Przyzwyczają do lenistwa, demoralizuje silniej i głębiej, niż uczynić to potrafi nędza. Dlatego też mniema Carnegie, rozumni rodzice powinni zostawiać dzieciom swym za ledwie majątek warunkujący niezależność, a pozostałym swym majątkiem rozporządzić inaczej.

W ten sposób autor wstępuje na drugą drogę. Zapisy na cele dobroczynne po śmierci testatora, nie znajdują miru u Carnegiego. Legaty takie nie mają, przedewszystkim, moralnej wartości ze względu na osobę samą testatora; majątek bowiem staje się własnością zakładów dobroczynnych, wtedy już, gdy sam testator korzystać z niego nie może. Przytym—najwyraźniejszy zapis testamentowy nie zdolen jest oddać rzeczywistej woli zapisodawcy, a wykonawcy testamentu, pomimo najlepszej woli, rzadko tylko spełnić są w stanie to, co dobroczyńca istotnie zamierzył. A wreszcie zapisy takie nie są żadną ofiarą. Skutkiem tego wszędzie na kuli ziemskiej istnieje dążenie do obciążania spadków coraz to wyższym podatkiem.

Pozostaje tedy — droga trzecia, droga przez autora umiłowana. Oddawać majątki za życia na cele dobroczynne—oto co czy-



nić milionerowi należy. W Carnegie'm bu-  
dzi się nietylko moralista, ale i filozof.  
Oto—woła—droga, która prowadzi do prze-  
ciwdziałania nierówności podziału majątko-  
wego! Oto droga, po której dojdziemy do  
pojednania biednych z bogatemi! Nie ża-  
dajmy od niego zbyt wiele. Nie o jego  
filozofię chodzi, a o czyny raczej. Niechaj  
filozof Carnegie będzie naiwnym, ale mimo  
to, jako człowiek, świecić przykładem może.

Według teorii Carnegie'ego, bogacz jest  
tylko administratorem majątku, którym  
przeznaczenie rządzić mu każe dla dobra  
biedniejszych braci jego. I to pogląd nie  
nowy, już od czasów Ojców Kościoła wy-  
powiadany, ale nie spełniany. Z tego dog-  
matu dobra społecznego, wypływa dla C.  
wniosek jeden: należy przeciwdziałać dobro-  
czynności prywatnej, a nie podtrzymywać ją.  
Nie dawać jałmużny, ta bowiem nie podnosi  
a upadla, poniża, demoralizuje tego, co bie-  
rze, a oszukuje sumienie dającego, bo poz-  
wała mu przypuszczać, że czyni dobrze,  
podczas gdy on nic dobrego nie czyni. By-  
łoby o wiele lepiej rzucić setki i setki mil-  
jonów do morza, niż rozdawać je, po gro-  
szu, ludziom leniwym, niemoralnym i alko-  
holikom.

A więc dobrze, cóż tedy czynić należy,  
zapyta milioner? Carnegie kreśli piękny

plan działalności. Należy *zakładać bezpłat-  
ne biblioteki publiczne*. Opowiada, że w isto-  
cie rzeczy, zawdzięcza swe późniejsze po-  
wodenie materialne, pewnemu zacnemu  
człowiekowi, pułkownikowi Andersonowi  
w Pittsburgu. Ten pierwszy, gdy był je-  
szcze biednym chłopcem, walęsającym się  
po ulicach, wskazał mu drogę do czytania  
książek w publicznej bibliotece. Ameryka  
szczyli się instytucjami tego rodzaju.

Milioner Pratt w Baltimore za życia po-  
darował miastu milion dolarów na urzą-  
dzenie biblioteki publicznej. Dzisiaj *bywa*  
tam rocznie 37 tysięcy czytelników! A w ro-  
ku zeszłym musiano otworzyć już piątą filję  
tej wspaniałej instytucji. Takież biblioteki  
istnieją w Bostonie, w Chicago i t. d.

W New-Yorku milioner Tilden ofiarował  
miastu pięć milionów dolarów na cel po-  
dobny. W tymże mieście istnieje t. zw. in-  
stytut Coopera, łączący w sobie bibliotekę,  
czytelnię i uniwersytet popularny, wszyst-  
ko organizacje darne, urządzone kosztem  
wielu milionów dolarów.

A następnie należy *zakładać uniwersy-  
tety*. W Ameryce większość tych instytucji  
zawdzięcza swe powstanie inicjatywie pry-  
watnej. Senator Stanford w Kalifornji za-  
kłada, chcąc uczcić pamięć zmarłego przed-  
wcześnie syna, uniwersytet, który pochłoniął



już 10 milionów dolarów. To samo dotyczy uniwersytetów ufundowanych przez *Rockfeller'a* w Chicago, *Vanderbilta* w Nashville, *Harvarda*, *Hopkinsa* i t. d. Ludzie nie rozporządzający kapitałem potrzebnym do założenia tak kolosalnej fundacji, powołują do życia instytucje specjalne. Tak np. w Baltimore małżeństwo Turnbull poświęcają pewien kapitał dla uczczenia synka swego Percy, przeznaczając jego odsetki dla znakomitych literatów europejskich, których sprowadzać należy corocznie dla wypowiedzenia kursu „o poezji“. Dalej, były kataryniarz zakłada kosztem 6 milionów dolarów jedno z najlepszych na świecie obserwatorjów na górze Hamilton, pod S. Francisko.

A dalej, należy otwierać *szpitale, kliniki, laboratorja*—instytucje mające na względzie pomoc cierpiącej ludzkości. Tak np. Osborn ofiarował znaczny kapitał na założenie szkoły dla pomocnic i dozorczyń szpitalnych.

Następnie należy budować gmachy dla zebrań i *zabaw ludowych*, zakładać *parki*, fundować *kąpiele ludowe*, wreszcie otwierać *kościóły*.

Taki plan nakreślił dla braci swych w Mammonie — milioner amerykański. Są to, jak widzimy rady „praktyczne“, nie utkane z nici poetyckich utopij, a ilustro-

wane przykładami z życia czerpanemi, z potrzeby życiowej wypływające, celom społecznym służące. I dlatego warto się nad niemi zastanowić nie nam tylko literatom, ale i wam—milionerzy nasi!





W OJCZYŹNIE BOERÓW.



Szkic niniejszy ogłoszony był pierwotnie w czerwcu i lipcu 1900 r. (w „Prawdzie”) w dobie największego napięcia energii wojowniczej z jednej i drugiej strony. Dziś, stoimy już wobec mogiły, która pochłonęła nadzieje nie tylko Boerów, ale i optymistów całego świata humanitarne. Poniższe karty w części nie ekonomicznej są jak gdyby wspomnieniem pozgonnym. Nie opowiadamy sposobem kronikarskim wszystkich szczegółów tego dramatu, boć on żywy jeszcze w pamięci czytelników gazet politycznych, ale nie wolno nam nie przytoczyć na tym miejscu słów dziennika angielskiego „Morning Leader” wypowiedzianych pod datą 1 czerwca 1902 r. „Ten fakt nie da się pokryć milczeniem, żeśmy brutalnie, przemocą pozbawili wolności lud, który dowiódł, że był jej godzien. Nawet, jeśli się nam powiedzie z walczących nieprzyjaciół uczynić lojalnych współobywateli, zabór republik boerskich pozostanie haniebną kartą w dziejach naszych.

Dwa i pół roku z okładem trwał „spacer”, imperializmu angielskiego—do Trans-



walu. Tak nazywały dzienniki inspirowane przez Chamberlain'a i jego klikę wyprawę wojenną przeciwko Rzplitym południowo-afrykańskim. Dziś bez względu na to, co się stało, muszą oni uznać, że „spacer nie udał się“.

Dwa i pół roku dzienniki żyły transwalską awanturą. Ciekawość Europy nie słabła ani na chwilę. Jedni mieli „osobiste rachunki“ z Anglią wogóle, inni z imperializmem czy *jingoizmem* Chamberlain'a, inni wreszcie z owymi magnesami (już nie specjalnie angielskimi), które przyciągają złoto i brylanty Transwalu do ogniotrwałych skarbców kapitalizmu europejskiego. Pozatym cieszyli się dostawcy intendentur wojskowych, handlarze koni i t. d. Nakoniec i to czynnik nie najslabszy, działała ogólnie światowa ciekawość dla żołnierza i bitwy szczególnie podniecona odległością, z której kule biją: zabawa przyjemna i bezpieczna. Czegoż filistrom więcej trzeba? Ciekawość ta atoli ma i swoją dobrą stronę. Jej pewnie możemy zawdzięczać bogate żniwo literackie w zakresie południowego krańca Afryki. Mnożą się traktaty i ulotne broszury; nigdy nie byliśmy tak dobrze poinformowani o geografii, geologii, etnografii, o stosunkach ekonomicznych i politycznych Afryki Południowej, jak dzisiaj. Prawie

cała ta literatura jest efemeryczna; to jednodniówki, których życie zamyka się w granicach wschodu i zachodu słońca. Są tam jednak wyjątki, u których kolebki nie stała spekulacja, jeno uczciwa ciekawość, poważne badanie, polityczny rozum — i talent. Zaś wśród tej dobrej, zaufania godnej literatury, stanowisko pierwszorzędne zajęło dzieło znakomitego polityka i publicysty angielskiego *James'a Bryce'a: Impressions of South Africa* (Wrażenia z Afryki południowej). Dzieło to wydane po raz pierwszy w r. 1897, powielokrotnie odbitym zostało i ukazało się jednocześnie w przekładzie niemieckim.

Bryce przedsięwziął do Afryki podróż w towarzystwie żony i nie szczędził trudów, aby dokładnie i poważnie zapoznać się z polem walki najnowszej narodu, do którego należy. Z Kapsztatu udał się kolejną na Kimberley do Mafeking, gdzie w owym czasie (na jesieni 1895 r.) linia kolejowa kończyła się. Stąd trzeba było posuwać się dalej rzemiennym dyszlem, poczęści nawet wozem zaprzężonym w woły, brać ze sobą nietylko zapasy żywności, ale i przygotowaną wodę. Tak bez żadnej eskorty wojskowej, bez broni, w towarzystwie tylko woźnicy (holendra z kolonii Kapu) i jego pomocnika, murzyna, zwiedzili małżonko-



wie Bryce kraj Beczuanów i Matabelów, wojowniczego, dwa lata zaledwie przedtym zwyciężonego plemienia afrykańskiego, udając się nasamprzód do Bulawayo; a następnie do Fort Salisbury. Do ostatniego punktu, a stąd do Beiry podróżowano poczęści koleją, poczęści łodzią, albo małym parowcem. Z Beiry odwiedzano Lourenço Marques, skąd znowu na zatokę Delagoa zwrócono się do Durbanu w Natalu. Następnie zwiedził Bryce Pretorję, cały prawie Transwal i Oranję; z Bloemfontein'u udał się również do kraju Basutów.

Na podstawie nie tylko tego, co czytał, ale włączając i wyniki osobistej obserwacji daje nam autor w 27 rozdziałach najobszerniejszy, jaki mieliśmy dotychczas opis kraju, ludzi i wypadków. Pole obserwacji — wálki, obszerny szmat ziemi pomiędzy oceanami, a rzeką Zambesi leżący, połowie Europy równający się. Przyroda niebogatą. Prawie siedm ósmych zajmuje płaszczyna zaraz w pobliżu wybrzeży pod ostrym kątem idąca w górę, aż do wysokości 3 do 5000 stóp, następnie przechodząca w płaskowzgórze, ciągnące się wiele set mil angielskich na północ i południe, na zachód i wschód: drzewa prawie niema wcale; ku zachodowi zupełna pustyń, pozatym niekoniecznie soczyste pastwiska, wymagające

skutkiem tego wielkich przestrzeni. Na tle tego fizykalnego krajobrazu konieczną się wydaje małe, niegęste wcale zaludnienie kraju. Przez większą część roku panuje tutaj susza, największe rzeki wysychają. Jedynie tylko pas ziemi wzdłuż wybrzeży Oceanu Indyjskiego przedstawia wartość pod względem rolnym; wálki w Kapie, rozszerza się znacznie w Natalu, wzamian czego jednak daje na skutek wilgoci — malarję. Dodać należy tutaj: szarańczę, białe mrówki, oraz jadowite muchy *tse-tse*, wreszcie zarazę na bydło. Czegóż w tym niebogatym kraju szukać przyszli awanturnicy europejscy? Cóż ich nęciło? Bryce opowiada, że południowa Afryka posiada powietrze, o jakim zamarzyć tylko może Europejczyk, takie czyste, ożywcze, a w związku z czystością powietrza zapewne wspaniałe wschody i zachody słońca, nigdzie w takiej okazałości nie napotykane. Wydelikaczną wyobraźnia uczonego angielskiego znalazła i pozatym w przyrodzie Afryki południowej wiele uroku. Jest to kraj samotności i ciszy. Wszystko tam jest naiwne, jak gdyby niezmienione od chwili, kiedy powstało. Pozostawiając za sobą ognisko kulturalnego życia w Kapie podróżny odnajduje je znowu na drugim końcu swej wędrówki wśród kopaczy złota w Witwaterstrandzie,



około Johannesburga. Pozatym widzi tylko sine szczyty gór, ginące w przestworzach czystego przez ośm miesięcy lazuru, z oddali — bezkresny, grzejący piasek pustyni Kalakari; zrzadka tylko napotyka na zapuszczonych ścieżkach tubylca, albo niewielką gromadę chat. Wszystko wokoło kąpie się w jakiejś dziewiczej, pierwotnej ciszy i osamotnieniu.

Na tle takiej przyrody, wśród milczących i smutnie uroczystych płaszczyzn, urobiły stulecia „duszę“ Bura, potomka holenderskich Afrykandrów, którzy przed laty 60 wyzwolili się z pod jarzma angielskiego i pociągnęli do puszczy. Wiara w swoje siły niezłomna, odwaga wobec niebezpieczeństwa szalona, surowość obyczajów, brak wszelkich porywów szlachetności i miłosierdzia w stosunku do dzikich pramieszkańców puszczy—oto są cechy charakterystyczne ich psychiki, o której niejednokrotnie jeszcze mówić będziemy niżej.

Jeżeli chcemy zrozumieć usposobienie jakiegoś narodu, naturę jego rządu i politycznych zagadnień, które rozwiązać mu są dane, należy poznać jego historję. Ten ogólnik stosuje się w dużym stopniu do południowej Afryki; mało jest krajów, gdzieby wspomnienia przeszłości i tradycje taką grały rolę, jak tutaj. Cztery narody eu-

ropejskie brały w posiadanie te dzielnice. Pierwsi przybyli Portugalczycy. Diaz odkrył przylądek Burz (1488, przylądkiem Dobrej Nadziei przezwano go Jan II), Vasco de Gama dwukrotnie krążył wokoło tych nieznanych lądów a w r. 1502 odwiedził port Sofalę, zajęty przez Arabów, którzy znali i eksploatowali te strony, ponoć jeszcze przed Mahometem. Ci ostatni ustąpić musieli przed sprawnością kopiecko-wojskową Portugalczyków, którzy w r. 1505 ufortyfikowali Sofalę i za pośrednictwem Arabów ściągali z głębi kraju wszystko złoto i kość słoniową, jaką wydostać się tylko udawało. Gdyby chcieli, mogliby byli zając całe południe Afryki, w one czasy jednak monarchowie europejscy i ich wielkorządcy nie myśleli o kolonizacji, ani o zdobyczach, jeno—o złocie. I dlatego też nie osiadali wcale w zdrowych okolicach ziemi przylądkowej i Natalu, a tylko w malarycznych nizinach powyżej Zwrotnika Koziorożca. Co najwyżej starali się z tubylcami nawiązać stosunki misjonarze portugalscy, dominikanie. Z biegiem czasu, atoli misje przestały działać, forte popadały się i pod koniec XVIII stulecia porzuciła Portugalia wszelką myśl o dalszych podbojach. Wpłynął na to przedewszystkiem niezdrowy klimat. Febra dziesiątkowała



karawany handlowe i załogę, osłabiała przedsiębiorczość kolonistów. Pozatym w braku kobiet pochodzenia portugalskiego łączyli się z tubylczymi plemionami i nader szybko zasymilowali się najzupełniej z niemi.

Na początku XVII stulecia przybywają do Afryki Holendrzy i Anglicy. Rok 1620 przynosi tu dwu angielskich kapitanów, w r. 1646 — spędza w Kapsztacie kilka miesięcy garść rozbitków holenderskich. Mieli nasiona ze sobą. Urodzaj był dobry i po powrocie do domu zwrócili uwagę współziomków na daleką gościnną ziemię. Oto i w r. 1652 przybywają w te strony na trzech okrętach holenderskiej wschodnio-indyjskiej kompanji wychodźcy pod wodzą Jana van Riebeeka. Zakładają tu ogrody warzywne, mając na widoku zaopatrywanie w jarzyny przepływające obok okręty angielskie i holenderskie. Z tych właśnie ogrodów rozwinęło się panowanie Anglików i Holendrów w Afryce połudn. Wychodźcy atoli pracować nie chcieli i wnet postarali się o niewolników-murzynów, których szeregi kompanja powiększyła o dość znaczną liczbę malajczyków, których powoziła z posiadłości swoich na archipelagu wschodnio-indyjskim. Z połączenia tych różnorodnych czynników rasowych powsta-

ła grupa etnograficzna t. z. „bydło robotnicze“, dziś wypełniające odległe przedmieścia i zaułki Kapsztatu. Europejczycy w Afryce połudn. cięższą pracą nie zajmują się wcale; od 250 lat zapomnieli o niej zupełnie.

W r. 1689 przybywa z Europy nowa odzież, 300 hugonotów francuskich, częśćka emigrantów francuskich, którzy po edykcie nantejskim szukali ucieczki w Holandji; ludzie uczciwi, inteligentni, przywiązani szczerze i gorąco do protestantyzmu i wolności. Dziś najlepsze rodziny w Kapsztacie wywodzą się od nich. Początkowo tworzyli odrębną gminę, używali publicznie i w domu języka francuskiego. Ale w połowie XVIII w. francuszczyzna w kolonji wymarła: hugonoci utonęli w morzu holenderskim. Szybko też zaczął się wytwarzać specjalny typ kolonisty południowo-afrykańskiego. Nigdzie też tak prędko nie zaginał wszelki związek z ojczyzną, jak tutaj. Pierwsi osadnicy nie byli to owi „Pilgrims Fathers“, ludzie przekonani, tysiąckrotnie związani z metropolją, którzy osiadali na wybrzeżach afrykańskich, chcąc uporczywie „czcić Boga na swój sposób“. Owi emigranci holenderscy byli to prostacy, często gęsto podszyci jakimś specjalnemi rachunkami z sumieniem i sądem.



Żadnych stosunków z ojczyzną nie podtrzymywali. Hugonoci zaś nie mieli żadnego oparcia za sobą w Europie. Francję musieli opuścić, Holandja, która ich zagarnęła, była im obcą—ze splotu tych wszystkich warunków zrodziła się narodowość „południowo-afrykańska“.

Ludność wzrastała, trzeba było szukać nowych warsztatów pracy, ziemi i pastwisk. Pomogła tu Europejczykom ospa, która dwukrotnie, 1713 i 1755 r., wymiotła hotentotów i oddała ich siedziby w ręce Europejczyków. Cały XVIII wiek wypełniony jest wyprawami w głąb puszczy. Osadnicy prowadzą tam życie zupełnie pustelnicze, większą część życia spędzają na wozie, który jest zarazem szalasem, na którym wraz z rodziną posuwają się, szukając coraz to nowych pastwisk dla trzody. Życie takie czyniło z nich doskonałych strzelców, zręcznie tępiących dzikie zwierzęta. Dawały im się we znaki i lwy pustyni i buszmeni, którzy częstowali ich nierzadko zatrutymi strzałami. W tym życiu były źródła odwagi, pewności siebie i dążenia do niezależności. Ale ten rodzaj bytowania odcisnął swoje piętno na obyczajowości Boerów. Dzieci rosły w zupełnej niewiedzy, kobiety potraciły najzupełniej zmysł czystości, którzy wyniosły były z Holandji (pracowali

bowiem tylko murzyni), mężczyźni stawali się surowymi, dzikimi bigotami, zupełnie obojętnymi na komfort życia. Stałą towarzyszką ich była Biblia. Mowy tu być nie mogło o jakiegokolwiek bądź organizacji. Rząd holenderski ustanowił tu wprowadzić *landdrostów*, koczownicy jednak nie uznawali ich, oni też żadnej kontroli nad osadnikami, niemającymi stałych miejsc zamieszkania, nad t. z. Treck-Boerami, wykonywać nie umieli. Jedyną organizacją, jaką narzuciły im wypadki, była obrona (zaczepno-odporna) od Buszmenów. Rząd popierał takie przez wytrawnych strzelców przedsiębrane wyprawy i wyznaczał od siebie komendantów i *feldkornetów*. Te nazwy zachowały się po dzień dzisiejszy i stanowią podstawę samorządu lokalnego u Holendrów południowo-afrykańskich.

Rok 1779 przyniósł pierwszą wojnę z Kafirami, uwieńczoną powodzeniem. W tym samym czasie koloniści niezadowoleni z rządów kompanji handlowej, która dzięki monopolowi wyzyskiwała ich straszliwie, żądali udziału w zarządzie kolonją. Wprawdzie Boerzy, mieszkający w puszczy, nie odczuwali wcale ucisku rzeczywistego urzędników; ale oni też najsilniej przechowali tradycje wolności i domagali się zniesienia zależności. Długo ciągnęły się pertraktacje:



nie było żadnego rezultatu i w r. 1795 wybuchła walka. Urzędników kompanji holenderskiej wypędzono. Potworzyły się wszędzie niewielkie republiki; każda otrzymała swoją radę ludową (Volksraad). Jednocześnie atoli dał się kolonistom we znaki wpływ angielski.

## II.

W r. 1781 i 1795 podczas wojny z Holandją zajmowała Anglja Przylądek; o ile w pierwszej dacie bezskutecznie, o tyle pod drugą, poprostu znaczną siłą wojskową zajęła Kapsztad i posunęła się w głąb lądu, ale 1802 r. musiała ustąpić przed przewagą traktatu pokojowego, zawartego w Amiens; powróciła atoli w r. 1806, a w 1814 otrzymała kolonję na własność od Holandji za cenę sześciu milionów funtów. Początkowo stosunek był formalnie dobry, Anglicy popisywali się swoim zamiłowaniem do wolności i protestantyzmu i Boer im wierzył. W Kapsztadzie i w innych bardziej zaludnionych miejscowościach zaczęło się dokonywać coś w rodzaju asymilacji. Prędko jednak sen skończył się! Angielskim najezdcom chodziło oczywiście o bardziej gruntowne, nie zewnętrzne tylko — na papierze — ugruntowanie swej władzy, i zaczęli powoli mieszać się do wszystkich spraw

wewnętrznych. Większość Boerów, rozrzucana po kraju według rewirów pastwiskowych, nie robiła sobie wiele z apetytów zaborczych świeżego przybysza. W r. 1815 nastąpiło jednak smutne spotkanie: oto na granicy wschodniej Boer samowolnie ukał był służącego swego, murzyna. Anglicy ujęli się krzywdy czarnego, chłopca osadzono w więzieniu; wszakże znaleźli się jego obrońcy, wybuch powstanie, które kończy się śmiercią na szubienicy pięciu przywódców. W Londynie uważano ten czyn heroiczny za objaw „konieczności“, był on atoli kamieniem węgielnym owego muru nienawiści, który dzieli obecnie Anglików od Boerów. Dziś jeszcze, gdy ostatni odczytują listę pretensyj swoich do synów Albionu — na pierwszym miejscu wymieniają: *Slagters Neku* wspomnienie.

Potym rozpoczęła Anglja działalność cywilizacyjną. Zniesiono dawny samorząd, przyczem w nowym ograniczono prawa holendrów, wprowadzono język angielski jako urzędowy, podczas gdy zaledwie szóstą część ludności nim mówiła. Boerzy toczyli od r. 1779 wojnę z Kaframi i za najwyższy nakaz swojej etyki kolonistów uważali — zupełne wytępienie tych licznych a walecznych plemion. Powoływali się przytym na potrzebę rozszerzania pastwisk swoich...



Najsilniejsze utarczki odbyły się w r. 1834, kiedy Kafrowie ze stanowiska obronnego przeszli w zaczepne, gęstym rojem spadli na kolonje Boerów i przyrządzili sobie krwawą kąpiel z białych. Po długich walkach, w których czynny udział brały władze angielskie, udało się ich przepędzić na drugi brzeg rzeki Keikama. W Londynie atoli, oczywiście dla względów zupełnie moralnych, nie udzielono poparcia polityce gubernatora kapskiego i pozwolono, aby murzyni wrócili do dawnych siedzib swoich. Odtąd uważają Boerzy urząd kolonialny angielski za osobistego swego wroga.

Dalej — przyszła sprawa niewolników. Niewolnictwo istniało w kolonji od samego początku i wszelkie próby czynione przez misjonarzy w kierunku wyzwolenia pracowników-niewolników nie dawały żadnych rezultatów. Ruch emancypacyjny w Europie i Anglii na początku bieżącego stulecia odbił się w Kapie tylko silniejszym napływem misjonarzy, którzy wytrwale i natarczywie prowadzili swoją propagandę. Niezadowolenie Boerów było wielkie. Kiedy zaś w r. 1828 rząd angielski nadał równe z niemi prawa Hotentotom i innym murzynom i kiedy w r. 1834 nastąpiła emancypacja niewolników we wszystkich kolonjach angielskich i Boerom przyznano

odszkodowanie w ilości 75 funtów za głowę niewolnika, kiedy brak rąk do pracy uniemożliwił wszelką gospodarkę na roli — wtedy zawrzało. Postanowiono emigrować. I istotnie kilka lat następnych wypełni wielki pochód Boerów na północ. Obliczają, że w ciągu dwu lat wyszło ich z dawnych siedzib 6 — 10 tysięcy. Ostatni prezydent, Paweł Krüger, liczył wtedy lat dziesięć i pędził wraz z innemi stada swojego ojca ku bardziej gościnnym prerjom północy.

Po wielu krwawych walkach z tubylcami, po ujarzmieniu Matabelów, zdobyli Boerzy ziemie pomiędzy Oranje i Limpopo. Tu sformowane zostały załóżki przyszłych republik południowo - afrykańskich. Jednak cała ta praca dokonana była *pour le roi de Prusse*. Władze angielskie nigdy nie wyrażały swojej zgody na okupację nowych krajów przez Boerów, a przeciwnie nie zapominały w proklamacjach zaznaczać zasadniczych praw swoich do nowych siedlisk. Zaledwie zajęta została ziemia obcego Natalu, kiedy zgłosiło się po władzę dominialną nad nią wojsko angielskie i zamiast upragnionej ziemi wolności otrzymali Boerzy znowu prawa obywateli angielskich. (Wbrew protestom Boerów Natal został ogłoszony jako kolonja 1845 r., początko-



wo jako dodatek do ziemi Kapskiej, następnie jako samodzielna kolonja 1856 r.).

Niekoniecznie lepiej działało się innemu oddziałowi Boerów, który szukał szczęścia na zachodniej stronie gór Smocznych. Ilość ich ulegała ciągłym zmianom. W r. 1843 było ich 15 tysięcy, następnie część wyginęła w ciągłych walkach z murzynami, ale ubywających z szeregów zastępowali coraz nowi towarzysze z emigrującej z Kapsu i Natalu ludności niezadowolonej. Zajęli oni ziemie leżące pomiędzy Winburgiem, Pretorją i rzeką Vaal od południa a Lydenburgiem i rzeką Limpopo od północy, zagarnęli przestrzeń liczącą 1,100 kilometrów długości i 500 kil. szerokości, zamkniętą tylko od południo-wschodu górami Smoczemi, pozatym od północy i zachodu zupełnie otwartą i opierającą się aż o fale Atlantyku z jednej i rzekę Zambesi z drugiej strony. W rzeczywistości praktycznej byli zupełnie niezależni, żadnych stosunków z urzędem kolonialnym nie mieli; ten zaś nie mógł marzyć o organizacji administracyjnej niezmiernych a wcale nie zaludnionych obszarów (ogółem około 4 tysięcy mężczyzn dorosłych). Pozatym materiał ludzki nie nadawał się bynajmniej do jakiegokolwiek bądź organizacji. Boerzy byli pewni siebie, odważni, indywidualiści

aż do szpiku kości; laknęli nie tylko niezależności, ale i zupełnego odosobnienia; jeżeli się ewentualnie zgodzili na rząd, to ten musiał być ultra - demokratycznym, a kontrola, jakaby względem nich wykonywał, prawie — żadną. Mieli specjalny talent nieposłuszeństwa. Lubili powtarzać, oni, co tylko jedną mieli księgę — Biblię, że ich ideałem są owe czasy w dziejach żydowskich, kiedy „każdy czynił, co uważał za stosowne“. Dwie tylko rzeczy zdolne były zczepiać ich w gromady i do wspólnego działania pobudzać: obrona od krajowców i nienawiść do Anglii. Że jednak życie robiło swoje, więc zmusiło ich do sformowania rządu; w ten sposób powstało kilka niewielkich republik, w których „Volksraad“ — rada narodowa — zastępuje ogólne zgromadzenie obywateli każdej zosobna.

W Londynie obrzydły już rządowi sprawy afrykańskie; wywierał on tedy nacisk na władze w Kapsztadzie, aby Boerów po za rzeką Vaal pozostawić ich własnemu losowi.

Inaczej działało się z Boerami po tej stronie rzeki, w okolicach Colesbergu. Tutaj walka kolonistów z Basutami i mieszkańcami urodzonymi ze związku Holendrów i hotentotek, t. zw. Griguasami, nie ustawała ani na chwilę. Anglicy chcieli sko-



rzystać z odpowiedniej chwili i zagarnąć owoce wieloletnich trudów Boerów i weszli w porozumienie z przywódcą Basutów—Moszeszem i naczelnikiem Griguasów—Adamem Kokiem. Sojusz ten, który uznawał niezależność jednych i drugich, nie trwał długo i w roku 1848 nastąpiła nowa formalna aneksja całego kraju pomiędzy rękami Oranje (pomarańczową) i Vaal, który otrzymał nazwę „Oranje River Sovereignty“. Boerzy nie dali za wygraną, pod wodzą Andries'a (Andrzeja) Pretoriusa wyszli w pole, zajęli Bloemfontein, gdzie rezydował angielski garnizon i jakkolwiek początkowo pobici, w roku 1852 zawarli traktat, mocą którego Anglja uznała ich niezależność administracyjną; obiecała nie zawierać więcej żadnych przymierzy z plemionami murzyńskimi, zezwoliła na zakup broni i amunicji w kolonjach angielskich i wymówiła sobie tylko, aby nigdy tam więcej nie wprowadzano niewolnictwa. Od tej chwili datuje się niepodległość Republiki Południowo - Afrykańskiej, uznana przez Anglję. Oranje pozostawało atoli angielskim i tylko przypadek zdarzył, że stało się inaczej. Sojusz zawarty przed kilku zaledwie laty z Basutami okazał się pisany na wodzie, a sprzymierzeniec Moszesz — zdrajcą; po sromotnej porażce wojsk an-

gielskich, urząd kolonialny i parlament angielski postanowili zrzec się „sovereignty“ nad niewdzięcznym, zasadzek pełnym krajem. Pod datą 1854 roku stanął w Bloemfontain układ, w myśl którego Anglja ogłosiła niezależność zupełną mieszkańców. Treść traktatu była podobną w szczegółach do dawniej zawartej umowy. Zagwarantowano również różnorakie przywileje celne.

Taki był początek republik południowo-afrykańskiej i Orańskiej. Dalsze dzieje tych krajów są mniej lub więcej znane: wielokrotnie przedstawiano je w prasie naszej przy licznych okazjach, jakie wpływały z rzutów polityki bieżącej. Zwróćmy się obecnie do poszczególnych charakterystyki ludzi i rzeczy, natury i kultury południowo-afrykańskiej, a przy sposobności będziemy musieli zwracać uwagę i na polityczne wypadki. Boera musimy sobie zawsze przedstawiać na koniu, ze strzelbą w rękę i z odwiedzionym kurkiem. Wszystko tu już od najdawniejszych czasów pachnie wojną. Wszystko też — praca ludzka, zdobycze cywilizacji, obyczajowość — cały obszar zwykłego życia ludzkiego na tym południowo-afrykańskim obrazie cofa się na plan dalszy: miejsce główne, naczelne, pańskie — zajmuje polityka.

~~~~~


III.

Kolej żelazna wychodząca z Kapsztatu w odległości 500 mil angielskich przy De Aaz Junction rozchodzi się w dwie przeciwnie strony. Pójdziemy nasamprzód na zachód — i tam w oddaleniu nowych 150 mil napotykamy pierwsze środowisko ludzkie po Kapsztacie — Kimberley. Nędzna wioszczyna gwałtownie wzrosła po r. 1870, kiedy to po raz pierwszy odnaleziono tutaj djamenty. Przemysł rozwijał się atoli nieprawidłowo: produkcja niezorganizowana, rozrzucona pomiędzy nadbiegłe rzesze wiatrem zewsząd spędzonych awanturników i krajowców, wogóle w dużej ilości ludzi, nie zdających sobie bynajmniej sprawy z „istotnej“ wartości kamieni — upadać zaczęła. Dopiero sprytu djabelskiego Cecil Rhodes'a trzeba było, aby ją nanowo na nogi postawić. Dokonał on mianowicie ześrodkowania kopalni w jednych rękach spółki akcyjnej „De Beers Consolidated Mining Company“ (1885). Od tego czasu wydobywanie djamentów dokonywa się według pewnego planu; ilość bywa z góry określana, taka mianowicie, którą spotrzebować mogą rynki Europy i Ameryki Północnej. Ceny dają się skutkiem tego osiągać możliwie wielkie. Fizjonomia miasta z chwi-

lą ześrodkowania produkcji uległa zasadniczej zmianie. Zamiast licznej, bezrządnej kohorty awanturników — dziś Kimberley posiada doskonale zorganizowaną administrację spółki, niewielu stosunkowo tylko licząc urzędników; dawne budy kramarskie i szynki pozapadały się; miasto poniekąd wyludniło się. Dla Europejczyków, zajętych w kopalniach, stworzył Cecil Rhodes osobne przedmieście Kenilworthy, gdzie wśród australijskich drzew gumowych wybudował długie szeregi domków na modłę europejskich wznoszonych. Najcięższe atoli roboty znajdują się w rękach Kafirów. Wydobywanie djamentów połączone jest z wielu trudnościami. Ogółem za przeciąg 25 lat sprzedano djamentów za cenę 120 milionów rubli.

Murzyni pracują pod surowym dozorem, w miejscowości zamkniętej, ściśle strzeżonej; wzdłuż muru okalającego kopalnię ciągną się ich domki, zamieszkałe przez 2,500 murzynów, pochodzących z przeróżnych plemion rozrzuconych od Natalu na południe aż do jeziora Tanganjka na północy. Nęcą ich z tak dalekich stron wysokie płace wynoszące od 9 — 15 rubli tygodniowo. Ażeby ich zachęcić do uczciwości, zarząd kopalni ofiaruje im 10% wartości znalezionego i dobrowolnie zameldowanego dozoru-

cy kamienia tytułem wynagrodzenia. Pewien misjonarz angielski opowiada, że pewnego razu jakiś Basuto nawrócił się pod wpływem następującego zdarzenia. Znalazł był dużej wielkości djament i zajęty był właśnie rozłupywaniem „skorupy“, gdy zobaczył zbliżającego się dozorcę. Zdjął go paniczny strach, kary bowiem za kradzież są nader ciężkie. Tymczasem dozorca przeszedł i nie zatrzymał się wcale. „Wtedy właśnie poznałem Boga, gdyż on mnie uratował“. Kiedy czarny dorobi się sumy pieniędzy, jaką zdobyć pragnął, co mu się w szybkim czasie dokonać udaje, zabiera swoje „suwereny angielskie“—moneta najbardziej walor mająca pomiędzy murzynami—i wraca do domu. Za suwereny nabywa woły, a za woły kupuje sobie żonę—i pędzi resztę dni swoich w szczęściu, t. j. w lenistwie.

W Mafekingu kończyła się kolej i trzeba było cofnąć się o kilka stuleci wstecz—do woza i wołów boerskich. I znowu czas długi a nużący przygląda się podróżny krajobrazowi stepu i pustyni, spowitej w zupełną ciszę cmentarza. Niebawem znalazł się on w Palapszwje, stolicy Khamy. Jest to największe na północ od Zambezi miasto murzyńskie, liczące około 20 tys. mieszkańców. Powstało niedawno. Khama po

powrocie z wygnania, na które skazał go był ojciec z tytułu jego nawrócenia się na wiarę chrześcijańską, stanął na czele plemienia Bomangwatów i przeniósł jego siedziby w to miejsce. Khama, znajdował się chwilowo w Anglii, gdzie protestował w urzędzie kolonialnym przeciwko uroszczeniom Towarzystwa brytańsko-afrykańskiego, którego administracja objęła w posiadanie jego ziemie i postanowiła zbudować kolej z Mafekingu do Bulawayo. Chciał on, mianowicie, uchronić swoich poddanych od „wpływów zbrodniczych napojów wyskokowych“, któreby z pewnością zapanowały z chwilą opanowania kraju przez białych“. Pisał on w liście do komisarza angielskiego: „Mniej boję się Lobenguli, aniżeli wódki. Przeciwnie Lobenguli walczyłem i pokonałem go. Nigdy nie sprawił mi bezsennej nocy. Więcej drzę przed napojem białego człowieka, niż przed *Wasagajem* Matabelów, od których ginie ciało. Zaś człowieka spaja djabeł i niszczy nie tylko ciało, ale i ducha zarazem“. Liczy ten przedziwnie sympatyczny „kurator trzeźwości“ około 70 lat i jest jednym z najpotężniejszych wogóle Kafrów. Za młodu nawrócony na chrześcijaństwo, wytrwał w tej wierze pomimo długiej drogi udręczeń, jakie z tego powodu przejść musiał. Nie chciał

żyć w bigamji i za to został banitą. Ale nietylko z tytułu został chrześcijaninem: stale wykazuje tyle taktu i rozumu, że mogliby mu zazdrościć Chamberlain'owie.

W Bulawayo panuje Cecil Rhodes. Po złamaniu potęgi Lobenguli miasto zakwitło. Przybywają coraz to nowe dzielnice, już czysto angielskie. Żyły złota, ciągle odkrywane na nowo, zciągają zewsząd kopaczy, awanturników, budzą „święty głód złota“, wpływają na wzrost sklepów, zajazdów i t. d. W mieście jest prócz złota inna jeszcze. powszechną budzą ciekawość, kwestja, Chodzi o tubylców. Zdawało się Anglikom, że dzicy, raz pokonani nie powstaną, że poznają się na dobrodziejstwach oręża angielskiego. Tymczasem omylili się. W Maszona panowało wrzenie z powodu uciążliwego podatku „podymnego“ pobieranego od każdej chaty w ilości 5 rubli. Dzicy uważali, że to jest podatek na „pilność i zamożność“, płaci go ten, „kto pracuje i ma własną osadę, zaś leniwy i próżniaczę życie prowadzący czarny—nie nie płaci“. Nie brakowało też innych źródeł niezadowolenia. „Chartered Company“ rościła pretensje do całej rogacizny Matabelów, powołując się na to, że stanowić ona miała własność Lobenguli. To samo w zakresie własności ziemskiej. Tej nie znali pod-

dani Lobenguli. Anglicy zaś podzielili ją na parcele i rozpoczęli sprzedawać więcej dającemu. O ile przypadkowo na sprzedanej parceli znalazła się wioska murzyńska, prószono mieszkańców z przyspieszającym ruchem o łaskawe przesiedlenie się w inne, tymczasem niepotrzebne, miejsce. A wreszcie—wielce czcigodny (very reverend) Anglik, który od stu lat walczył z niewolnictwem, zaczął popierać po cichu pracę niewolniczą. Budowle publiczne i kopalnie prywatne wymagają znacznej siły roboczej, zażądano tedy od plemienia Indunów, aby dostawili młodych, silnych robotników. Że zaś ci nie widzieli w tym wielkiego honoru, tedy, jak to stwierdził wbrew zapewnieniom Kompanji Sir Ryszard Martin w raporcie złożonym parlamentowi (1897) zastosowano gwałt i siłą wypędzono do roboty młodych Kafrów z ich „Kraalów“. Powstanie nie dało na siebie czekać i krew Europejczyków obficie zrosiła trawę stepową.

Upały południowo-afrykańskie zdwajają niechęć powszechną do pracy, Europejczyk tedy domaga się, aby ciężką, brudną pracę w kopalniach w jego zastępstwie spełniał dziki. Natomiast ofiaruje mu trochę monety i łachmany skrojone na modłę angielską. Dziki nie rozumie: moneta mu

na nic, „karros“ (płaszcz ze skór uszyty) i trochę kukurydzy i zboża, które sieje i zbiera—wystarczają mu aż nadto do szczęścia doczesnego. Oczywiście w oczach Europejczyka jest „bydłociem“; domagają się tedy argonauci specjalnych praw, nakazujących przymusową pracę murzynom, dla których przecież „praca byłaby największym dobrodziejstwem“. Że zaś jest dobrodziejstwem, rzeczą moralną, tedy wszystkich dróg należy użyć, aby negra do taczki zaprządź. Proponują tedy ułożenie skali wynagrodzenia, oczywiście tak wielkiego, aby nie zapomniano i o korzyściach przedsiębiorcy, a bardziej opornych przynagli do pracy—batożek.

Bryce na podstawie osobistych spostrzeżeń i doświadczeń przychodzi do przekonania, że postępowanie władz angielskich i ludności napływowej musi się zasadniczo zmienić, jeżeli istotnie próby krwawego oporu nie mają się powtórzyć. Właściwym zadaniem administracji angielskiej powinno być: 1) wychowywanie tubylców, przyzwyczajanie ich do stałej, ciągłej pracy; 2) nakładanie pewnych hamulców na przybyszów awanturniczych, którzy tu na granicy wszelkiej cywilizacji, nie czując wkoło siebie żadnej kontroli społecznej, pastwią się, jak złe hjeny, nad czarnym człowie-

kiem. Mowy być nie może o jakimkolwiek bądź przymusie do pracy, jedyna droga do zdobycia robotnika, to — dobra płaca, szlachetne obcowanie z nim, miłosierna opieka. Bryce przepowiada znaczną przyszłość tym krajom i niezależnie od rozwoju kopalń złota—którego dziś jeszcze przewidzieć nie można—przepowiada rozkwit innych gałęzi przemysłu. Polityczna przyszłość kraju zależeć będzie od wzrostu ludności. Jeżeli napłyną liczne rzesze białych, to kwestja samorządu stanie się aktualną. Przybysze oczywiście nie zadowolą się stanowiskiem takim, jakie wyznaczono ziemiom Beczuanów i nie dadzą się przyłączyć do kolonji Kapu. Tymczasem (od r. 1898) zarząd kraju stanowią: *administrator* mianowany przez kompanję po porozumieniu się z urzędem dla spraw kolonjalnych; *rezydent*, wyznaczony przez ministra kolonij i od niego wyłącznie zależny; *rada wykonawcza*, złożona z czterech osób, mianowanych przez Towarzystwo, administratora i rezydenta, oraz *rada prawodawcza*, do której pięciu członków mianuje Towarzystwo, a czterech obierają wyborcy, t. j. ludność zamieszkująca kraj Matabelów i Massony. Policja w ilości 1,200 osób zależną jest od władzy komisarza naczelnego. Ziemię powyżej Zambezi podzielono na Ro-

dezję północno-wschodnią i północno-zachodnią. Anglja może być istotnie dumną z opanowania tych krain. Pod względem klimatycznym jest to część Afryki południowej najlepsza. Zarówno rolnictwo, jak i hodowla bydła może tu kwitnąć o wiele lepiej, aniżeli w Transwaalu, Kaplandzie, kolonjach niemieckich i portugalskich. Portugalska sfera posiadania wieje febrą, niemiecka—jest często bezpłodną i malaryczną. „Nie ulega żadnej wątpliwości, że silny, odważny człowiek, który bez pomocy swojego rządu założył Towarzystwo południowo-afrykańskie i wyrąbał nową drogę dla kolonizatorów angielskich, uczynił jeden z najbardziej ważnych kroków, na jaki kiedykolwiek zdobył się mąż stanu albo zdobywca Afryki“.

IV.

Do złotych pól Witwatersrandu jedzie się przez Lourenço Marques, miasteczko tak nazwane od imienia kapitana portugalskiego, który zbadał okolicę w r. 1544 (Vasco da Gama był tu już 1502). Miasto jest niezdrowe, okolica malaryczna, porządki miejskie—portugalskie. Punkt nie tylko pod względem strategicznym, ale i handlowym niezmiernie ważny; niedarmo Anglja

od wielu już lat starała się ograbić Portugalję z zatoki Delagoa, nad którą miasto leży. Z chwilą, kiedy portugalczycy, przynaglani potrzebą, ustąpili przed wszechmożnym sąsiadem, miasto bezsprzecznie rozwijać się zaczyna. Kiedy mowa o Lourenço Marques, należy wspomnieć również o stolicy Natalu, Durbanie, która odznacza się nie tylko swoim handlem, ale i polityką wewnętrzną zarządu miejskiego. W Anglii wskazują niekiedy na Durban, jako na hasło przyszłości. Zarząd miasta bowiem, pragnąc, aby ono rozwijało się według pewnego z góry ułożonego i celowego planu, zakupił ziemię w okolicy starego miasta się znajdujące, zaprowadził tam wszelkie możliwe ulepszenia hygieniczne i oddaje i oddzierżawia parcele zamożniejszym mieszkańcom, którzy sobie tam budują wille. Zyski otrzymywane z tego źródła pozwoliły na znaczne zmniejszenie podatków miejskich, oraz na przeprowadzenie różnorodnych reform w zakresie spraw samorządu.

Natal, jako kolonja angielska, zdobył sobie najpóźniej samorząd (1893). Rządy sprawują: gabinet, liczący 5 ministrów, dwie izby, jedno „zgromadzenie“ (37 członków) i „rada“ (11 człon.). Dwie pierwsze organizacje wybierane są na 4, członkowie dwu

drugich mianowani bywają przez gubernatora na 10 lat. Dotychczas niema właściwego życia politycznego, partyjnego: wszyscy biali mieszkańcy Natalu żądali zgodnie, aby tubylców kafrów i przybyszów indusów nie dopuścić do urny wyborczej. Życie płynie w cichej materialnej pracy. Mieszkańcy zajmują się hodowlą bydła, rolnictwem zaś w małym tylko stopniu (zaledwie $\frac{1}{40}$ część ziemi znajduje się pod pługiem, pracują na roli wyłącznie tylko czarni). U wybrzeży duże dochody daje trzcina cukrowa, a od niedawna uprawiają herbatę.

Europejczyków liczą w Natalu zaledwie 50 tysięcy, co wobec ilości kafrów (460,000) jest cyfrą niezmiernie małą, nic dziwnego, że czują wobec tubylców pewien niepokój i że niechętnie patrzą na zasadę równoprawnienia. Gubernator ma wprawdzie prawo udzielania prawa wyborczego kafrom, o ile ci siedem lat żyją pod prawem europejskim; takie wypadki atoli są niezmiernie rzadkie. Indusi (50 tys.) dzielą się na dwie grupy. Z jednej strony *kulisowie*, sprowadzani z Indji gwoili pracy na plantacjach cukrowych. Po upływie kontraktu wracają do domu, albo osiadają po wioskach i zajmują się ogrodnictwem albo rzemiosłem. Druga klasa składa się z inteligentnych, zamożniejszych, t. zw. „Arabów“,

t. j. mahometan z dawien dawna osiadłych w Bombaju, a także z Zanzibaru. Zajmują się drobnym handlem i ześrodkowali w swoich rękach cały wogóle handel z negrami. W dużej części są oni bardzo zamożni. Są przedmiotem powszechnej nienawiści i ograniczenia praw wyborczych mają ich przedewszystkim na względzie. W r. 1897 wydane prawo głosi, że z wyjątkiem Europejczyków pozbawieni są prawa wyborczego wszyscy ci mieszkańcy Natalu, którzy są albo tubylcami, albo po mieczu pochodzą od tubylców, albo też przywędrowali z takich krajów, gdzie niema jeszcze urzędów parlamentarnych. Jak zaznaczyliśmy wyżej, gubernator może jednak w oddzielnych wypadkach czynić wyjątki na rzecz pewnych jednostek. Inne prawo z r. 1897 określa bliżej te wyjątki, a mianowicie „gubernatorowi wolno nie dopuszczać imigrantów z wyjątkiem tych, którzy potrafią literami europejskimi skreślić list do niego, w którym proszą o zwolnienie od skutków tego prawa“.

Posuwając się w głąb kraju, podróżny napotyka dwa punkty o historycznym znaczeniu: Laings Nek i Majuba Hill. Pierwszy, to 300 stóp wysoka skała. Za nią rozpoczyna się główna droga, prowadząca

z Natalu do Transwalu. Kiedy w grudniu 1880 r. wojska angielskie wyruszały z Natalu dla pacyfikacji Transwalu, który znowu za broń chwycił, musiały — dla braku kolei — obrać tę drogę. Boerowie w liczbie tysiąca osaczyli skalę po drugiej stronie i roznieśli wojsko angielskie, pnące się po stromej, kamiennej ścieżce w górę. Strzały Boerów, skierowane do celu leżącego pod niemi, zgottały wielką ucztę sępom. Kilka tygodni później (26 lutego 1884 r.) powtórzyli Anglicy atak trochę dalej na górze Majuba Hill (900 stóp), gdzie nie umieli wyzyskać swego stanowiska i sromotnie pokonani zostali. Zginęło ich 92, naliczono 134 ranionych, do niewoli wzięto 59; straty Boerów wynosiły: 1 zabity, 5 ranionych. Na wierzchołku Majuba Hill'u, w kotlinie, którą natura jak gdyby umyślnie między skalami wypłukała, usypano mogiłę dla biednych żołnierzy angielskich. „Miejsce milczenia i samotności, z wysokości przylgające się dalekiej, lysej, brunatnej płaszczyźnie, ciągnącej się w nieskończoność na wschód, zachód i południe, bez najmniejszego śladu życia ludzkiego. Trudno wyobrazić sobie miejsce, któreby wniejszym stopniu nadawało się na widownię namiętności ludzkich, strachu i rozpaczyl. A jednak ma ono swoją stronicę w historii

niezwykłych pól walki w czasach nowszych i wywiera dziś jeszcze silne wrażenie“.

W odległości 4 — 5 mil ang. za temi miejscami tryumfów w strategii boerów zaczyna się granica Transwalu. Naga płaszczyzna, leżąca prawie wszędzie na wysokości 5,000 stóp nad poziomem morza, prawie że zupełnie pozbawiona ludzi, zabudowań i roślinności — takie wrażenie odbiera naprzód podróżny za kopcem granicznym Transwalu. Wrażenie to znika atoli w okolicach stacji kolejowej Elandsfontein, gdzie wre życie przemysłowe. Zewsząd patrzą na podróżnego wysokie kominy, gromady rudy wyrzucanej z szacht i transportowanej do kotłów, wypłukujących jej cenną zawartość złotą. Po spokoju, w którym tonęła dotąd Afryka południowa, zanurza się podróżny odrazu w wir i zgiełk piekielny przemysłowego miasta Anglii czy Ameryki północnej. Przed piętnastu laty nie było tu śladu siedzib ludzkich; Boer wysyłał tu stado swoje pod opieką małych murzynów i byłby szczęśliwy, gdyby mógł być sprzedać miejsce, na którym stoi dziś Johannesburg, za 100 funtów. Gdyby kopalnie te zostały odkryte sto lat wstecz, zapewne byłyby wnet porzucone, eksploatacja ich bowiem nie opłacałaby się wtedy wcale. Że dziś się opłaca, należy zawdzię-

zczać metodom chemji, które pozwalają z dużym skutkiem wydobywać czyste złoto z takiej rudy, któraby się dawniejszym metodom nie poddała wcale. O postępach tych metod świadczy fakt, że podczas gdy koszt wydobywania złota z tonny rudy wynosił w 1892 r. 1 funt 15 szyl 6 pens., w r. 1898 wyniósł już tylko 1 f. 8 sz. 1 pens; w tym samym czasie dywidenda od tonny z 8 sz. podniosła się do 13 sz. 2 p., a wydajność złota z 19 na 32%. Ogólna suma wypłaconej dywidendy urosła z 794,474 funt. (1892) do 4,847,505 f. (1898). Produkcja zwiększa się tedy z szaloną szybkością. Specjaliści inżynierowie obliczają, że kopalnie mogą być czynne 50—80 lat. Wartość złota, które można będzie wydobyć, oceniają na 700 milionów funtów, przyczem czysty zysk wynosić będzie około 200 milionów, a pozostałą sumę pochłoną koszty eksploatacji. W r. 1896 wydobyto złota za 7,864,341 funt., w 1898 za 15,141,376 f., w pierwszych ośmiu miesiącach 1899 r.— za 12,485,032 funtów szterlingów. Jeżeli przyjąć, że przeciętnie rocznie otrzyma się złota za 15 mil. f., w takim razie kopalnie wyczerpane zostaną po upływie 46 lat. Rzeczpospolita południowo-afrykańska zajmuje dzisiaj pomiędzy krajami produkującymi złoto pierwsze miejsce (za nią idą:

Ameryka, Australja, Rosja), ogólna suma otrzymanego złota wynosiła na kuli ziemskiej w 1898 r. 59,617,945 funt. ster.

W kopalniach Witwatersrandu najcięższą pracą zajęci są murzyni. W ogólnej sumie 88,000 zajętych w r. 1898 robotników było 65,000 Kafrów. Przeciętny zarobek murzyna wynosił w 1896 r. 37, w 1898 27,9 sz. Białych zajętych w kopalniach było 1896 r. zaledwie 5,430 (przeciętny zarobek miesięczny 24 f.), w 1898 r.— 9,476 (przeciętna płaca miesięczna 26 f.). Pracy dla białych byłoby znacznie więcej, nią jednak gardzą, twierdząc, że tylko Kafrowie godni są ją spełniać. Marzeniem dyrektora każdej kopalni jest obniżyć możliwie płacę roboczą: pierwszą drogą ku temu celowi prowadzącą jest nadmierna podaż siły roboczej. Tutaj jednak niezmiernie ważną przeszkodę tworzy wielka drożyzna wiktuałów, wywołana przez politykę celną. Maszyny i chemikalia, a przedewszystkiem dynamit obłożone są cłem wysokim. Fabrykacja dynamitu jest zmonopolizowana. Pełno też skarg w kopalniach na ucisk sfer rządzących, a największe pretensje wytaczane bywają przeciwko zarządom kolei i polityce frachtowej.

Johannesburg, położony wysoko w miejscowości lysej, suchej, pustynnej i wietrz-

nej, istnieje lat 20 i liczy dzisiaj 100,000 mieszkańców, w tej liczbie połowę białych. Okolice jest niezdrowa, miasto zawsze pokryte kurzem, pozbawione wody, niewesołe, niesympatyczne. W przeciwstawieniu do głównego miasta, gdzie się „robi majątek“, przyjemne wrażenie sprawia przedewszystkiem siedlisko klasy bogatej. Piękne wille toną tutaj w morzu zieleni—pieniądź bowiem zdołał i na skałach rozrzuścić ogrody. Ludność Johannesburga przedstawia mieszaninę Niemców, Francuzów i Włochów, po części i Indusów, mówiącą żargonem angielskim, pracowitą, wiecznie śpieszącą się, niespokojną i żądną zabawy. Ludność ta prędko zdobywa majątek i równie szybko go trwoni, a cała opanowana jest przez „febrę złota“, oddana na pastwę spekulacji akcjami kopalnianemi. Giełda znajduje się na placu otwartym, otoczonym balustradą z łańcuchów, nazywa się też „Między łańcuchami“. Różnie tam bywa na owej afrykańskiej placówce korsarstwa spekulującego. Nie brak i bokserów. Wobec z całego świata nadbiegłej hołoty, małych i wielkich łotrzyków, zdziwił Bryce'a brak domów gry, tak licznych w kopalniach amerykańskich. Nie słychać również o lynchu i zabójstwach. Dość liczną jest klasa inteligentna. Składa się ona z An-

glików i Żydów angielskich, Amerykanów i mniej licznych Niemców, po największe części należących do wyznania żydowskiego. Holendrzy i Boerowie zajmują tylko posady urzędowe — po za tym nie widać ich wcale. Mało rzucają się w oczy Kafrowie, jakkolwiek liczą ich około 5,000. Boerowie z okolicy przywożą codziennie do miasta jarzyny. Wogóle podróżny czuje się, jak gdyby w angielskim, a właściwie anglo-semickim mieście. Dlatego też Anglicy, bez względu na czas pobytu swego w Johannesburgu, uważają to miasto za swoje, za swoją, z prawa im przypadającą, własność.

V.

W zupełnym przeciwstawieniu do gorącego Johannesburga znajduje się senna Pretorja, stolica polityczna kraju, założona przed czterdziestu kilku laty a od r. 1863 siedlisko rządu. Miasteczko, liczące dwanaście tysięcy mieszkańców (8,000 białych), leży w ciepłej dolinie, trzydzieści mil na północo-wschód od Johannesburga, ze wszystkich stron otoczone gajami drzew gumowych i soczystemi łąkami. Z niewysokich pagórków, ubranych od r. 1896 w uroczyste djademy baterij armatnich, roztacza się piękny widok na okolicę. Uli-

ce są szerokie, zupełnie pierwotne, domy nieprawidłowo zbudowane i nieestetycznie rozrzucone, tylko pałac rządu, w którym zasiada Volksraad, odznacza się bogactwem i wspaniałością architektury (kosztował 200,000 funt.). O ile Johannesburg jest angielskim, o tyle Pretorja nie jest holenderską, jakkolwiek mieszka tam dużo Boerów i Holendrów i słyszy się bezustannie język holenderski na ulicach. Pretorja nie posiada wcale przemysłu, a jej obroty handlowe są niezmiernie nikle. Jest ona właściwie siedliskiem administracji i sądu, rzecz dziwna tylko, że wszyscy adwokaci są pochodzenia angielskiego; jest to bądź żywiol napływowy z Anglii, bądź też z Kaplandu. Spory sądowe pomiędzy towarzystwami kopalnianymi w Johannesburgu są niezmiernie liczne i cała ulica, zwana „Sępm gniazdem“, zajęta jest przez kancelarie obrońców. Adwokaci i sędziowie stanowią inteligencję Pretorji. Podróżnik odczuwa wiele rozkoszy, przebywając w towarzystwie tych kół, napotykając tam tylu rzeczywiście zdolnych i odczytanych ludzi. Johannesburg zawiera całe bogactwo i połowę białej ludności Transwalu, kraju tak dużego jak Wielka Brytania. Pretorja i pustynie na północy, wschodzie i zachodzie obejmują pozostałą część ludności i korzy-

stają z całkowitej władzy politycznej kraju. Wprawdzie inteligencja mieszka w Pretorji, stanowiąc atoli ludność napływową, pozbawiona jest wszelkiej powagi politycznej, praw wyborczych i t. d. Prezydent Krüger zamieszkuje dom, który otrzymał w podarunku od rzeczypospolitej, nie różniący się niczym od innych. Otrzymuje 70,000 rubli pensji, prócz t. z. dodatkowych pieniędzy na „kawę“, t. j. na reprezentację.

O prezydencie krążą zazwyczaj w prasie europejskiej najróżnorodniejsze opowieści, bardzo często wkraczające w dziedzinę humorystyki.

Rzecz ma się trochę inaczej. Krüger jest doskonałym uosobieniem natury Boera w złym i dobrym znaczeniu, przyczem niektóre najbardziej charakterystyczne rysy przyjmują formę karykaturalną. Każdy, kto przyjeżdża do Pretorji i rozmawia z Krügerem, a przygląda się jego milczącej twarzy z fajką w ustach, z których rzadka śród kłębów dymu wychodzą sentencje biblijne, ten zastanawia się nad pytaniem, kto zacytował ten starzec. „Czy to pobożny patrijota, żołnierz, myśliwy, farmer, pchany okolicznościami nagłemi a niespodzianemi ku zagadnieniom wyższej polityki i przystosowujący swoją sprawną, chłop-

ską naturę do sidła dyplomacji, gdy chodzi o uratowanie ojczyzny, czy też jest to chytry, stary hipokryta, który wygodnie, miękko usłał sobie gniazdo pierzem wszelkiej korupcji politycznej i który używa wszelkich zasadzek i fałszów, aby tylko utrzymać w rękach monopol władzy publicznej?“ *).

Krüger jest zamkniętym w sobie, z zastygłym dogmatem w duszy, chłopem purytańskim. Całymi dniami nic nie mówi. Przed kilku laty przyjmował na audjencji znanego członka parlamentu angielskiego i na wszystkie zapytania tegoż odpowiadał tylko „tak“ lub „nie“. Nic dziwnego, że po takich przyjęciach Anglicy, piszący o Transwalu grube książki, mają dla Krügera tylko słowa nienawiści i wzdąry. W rozmowie z Hobsonem, znanym autorem „Dziejów kapitalizmu“, kiedy wojna z Anglią miała lada dzień wybuchnąć, skarżył się, że nie sposób jest przystać na propozycję gabinetu angielskiego. „Zawsze starałem się nakłonić przybyszów, aby pełnili obowiązki obywateli; prosiłem ich, aby wspólnie z nami dźwigali ciężary—napróżno; oni chcą tylko praw, ale bez obowiąz-

*) Idziemy tu za doskonałą charakterystyką J. A. Hobsona w jego książce *The War in South Africa*, 1900.

ków. Ale po za tym, czy pan sądzisz, że ta zewsząd nadbiegła hołota johannesburska może pełnić jakiekolwiek bądź obowiązki? Oni zaraz pierwszego naszego obowiązku, obrony kraju od Kafrów, pełnić nie są w stanie“. Może też Krüger ma trochę racji: owe ptaki niebieskie uważają Transwal nie tyle za kraj, za ojczyznę, za ziemię, którą kochać należy, ile za żyłę złotą, które aby prędzej wytopić, a w pierze obrócić, uciekać, skąd przyszły.

Uczciwość Krügera niejednokrotnie stawiano pod pręgierzem. Są istotnie pewne dane, zmuszające do zastanowienia się nad jej treścią. Wrogowie zarzucają mu poprostu kradzież funduszków publicznych. Hobson, który starał się pod tym względem zebrać możliwie dokładne informacje, nie zdołał wyrobić sobie ostatecznego poglądu, tak silnie krzyżują się w tym kierunku opinie w Pretorji. Co do pewnych zarzutów, to wymieniają przedewszystkim trzy: raz, że od zarządu kolei przyjął i skłonił do przyjęcia innych członków rady—t. zw. procentów, czyli, mówiąc poprostu, łapówek; powtórnie, rola jego w sprawie zmonopolizowania fabrykacji dynamitu była nader niewyraźna; potrzecie, zarzucają mu dziwny istotnie nepotyzm. Dużą ilością członków swojej rodziny poobsadzał Krüger

ważne posady w Transwalu, i tak: Piet Grubler, wnuk, człowiek wielkiej energii, ale małego doświadczenia, zajmował odpowiedzialne stanowisko podsekretarza stanu i wywierał znaczny wpływ na politykę wyższą. Inny wnuk, Piet Krüger, został bez wszelkich kwalifikacji powołany na posadę najwyższego członka sądu; jeden z młodszych synów prezydenta oraz często wymieniany jego siostrzeniec, Frickie Eloff trzęśli zarządem finansów, inny znowu był nadinspektorem kolei żelaznych, inny wreszcie dowódcą forticy w Johannesburgu. Widzimy istotnie, że Krüger popierał „swoich“.

Wiele mówiono zawsze o pobożności Krügera. Nic w tym dziwnego. W kraju, który nie posiada własnej wybitnej kultury umysłowej i stoi pod względem intelektualnym na stanowisku, które zajmowali przodkowie Holendrzy i purytanie z czasów Kromwela, interesy religijne muszą zajmować stanowisko dominujące. W ich granicach ześrodkowują się wszelkie zatarci natury umysłowej i tutaj wrzały silne walki pomiędzy Baptystami i przedstawicielami kościoła reformowanego. W przeciwstawieniu do Kaplandu, gdzie panuje ostatni, w Transwalu rządzą Baptysci pod nazwą sekty Doppers'ów i w ich to kaplicy od czasu do czasu wygłaszał swoje ka-

zania Krüger. Kiedy Bryce zapytywał przedstawicieli tej sekty o artykuły ich wiary, odpowiedziano mu, że noszą długie kamizelki i nie uznają śpiewów w kościele. Są to istotnie staromodni purytanie zastygli w swoich obyczajach towarzyskich i w ogólnym dogmatyzmie, ale zarówno jak ich imiennicy z XVII stulecia odznaczają się siłą i niezłomnością charakteru, który może nieklamany podziw budzić w porównaniu z przekonaniowemi zdechłaczkami naszego „fin de siècle'u“. Krüger jest najdoskonalszym wyrazem takiego uporczywego dogmatyzmu i pod tym względem, opowiada Hobson kilka charakterystycznych, aczkolwiek już na karykaturę zakrawających, anegdot. Zdarzyło się pewnego razu, że zamieszkali w Pretorji Żydzi otwierali bóżnicę. Zaproszony na poświęcenie Krüger zajął wraz z sekretarzem swoim honorowe miejsce, ale zdjął kapełusz i nie zwracał żadnej uwagi na ostrzeżenie adjutanta, że Żydzi za złe mu wezmą ten brak poszanowania dla ich liturgicznych zwyczajów. Kiedy następnie, w toku uroczystości, udzielono głosu prezydentowi, ten po kilku konwenansowych frazesach rzekł: „Otwieram ten dom modlitwy na chwałę Zbawiciela naszego Jezusa Chrystusa“. Innym znowu razem zdarzyło się,

że Niemcy reformowani, zamieszkali w Pretorji, uzyskali od prezydenta móg ziem pod budowę kościoła. Wtedy przedstawiciele gminy żydowskiej wystąpili również z podobnym żądaniem. Krüger najchętniej obiecał poprzeć ich życzenie w Volksraadzie i istotnie po pewnym czasie Izraelici otrzymali—*pół* morga ziemi. Interpelowany przez członków dozoru kościelnego, dlaczego Żydzi nie zostali tak szczerze obdarowani, jak wyznawcy Lutry, Krüger miał odrzec: „Oni uznają całą biblię — Stary i Nowy Testament, a wy tylko Stary; jeżeli tedy oni otrzymali móg ziemi, to wy możecie rościć pretensje tylko do połowy tej powierzchni“. Krüger zna *jedną* tylko książkę, ale ta książka jest Biblią. Tam czerpie wszystkie swoje natchnienia, jej zapytuje o radę w zwątpieniu i w niej pokłada wszystkie swoje nadzieje. Nasze wielojęzyczne, rozgadane czasy nazywają go pewnie—analfabeta. Trudno jednak, pomimo całego szacunku dla wiedzy, odmówić pewnego charakterystycznego i dodatniego, co więcej, stanowiska nieszczęsnemu „Chamowi“ transwalskiemu, który zginąć musiał pod naciskiem wszechmożnej, banknotami podszytej cywilizacji angielskiej. Lord Salisbury wygłasza znakomite rozprawy z zakresu filozofji przyrodoznawstwa w Kró-

lewskim Instytucie W.-brytańskim; zapewne, że Krüger nie rozumie wcale, że istnieje na świecie jakowaś „Ewolucja“, o którą staczać walki można i dlatego jest analfabeta, ale historia stosuje inną miarę sądów, niż współcześni, otumanieni wielkością mężów stanu, co chwilowo mają powodzenie. I dlatego pewnie wspominać będą historycy „głupiego“ Krügera wtedy jeszcze, kiedy po lordzie Cecil—Salisbury nie zostanie żadnego więcej wspomnienia.

VI.

Należy nam zajrzeć jeszcze do republiki Orańskiej, która prawem kaduka przestała wprawdzie istnieć, jako i niezależny wolny kraj, mimo to zachowała po dzień dzisiejszy swoją kulturalną odrębność i nie wiadomo, wcale czy prędko i tak łatwo przystosuje się do kroju angielskiego munduru.

Tubylcy, powiększej części z plemienia Beczuanów, przewyższają liczebnością swoją dwukrotnie Europejczyków. Jak w całej południowej Afryce i tutaj tubylcy zajmują się tym, czym ludność europejskiego pochodzenia zajmować się nie chce: uprawiają ziemię, służą u Boerów za pasterzy

i—pozbawieni są wszelkich praw politycznych, stosunki jednak muszą być znośne, Beczuanie bowiem nie skarżą się wcale i na ogół są spokojni. Tytułem wynagrodzenia otrzymują przeciętnie 30 szylingów miesięcznie, jak wszędzie atoli, gdzie są pomieszani z białymi, czarni wymierają szybko, siły robocze ulegają stale zmniejszeniu tak, iż specjalne prawo wymaga aby Boer, pojedynczo wzięty, korzystał z pracy co najwyżej dwudziestu pięciu Kafrów. Biali są pochodzenia holenderskiego i językiem krajowym jest narzecze holenderskie, językiem atoli warstw inteligentnych jest mowa angielska. Jedynie tylko Bloemfontein, siedzisko Rządu, zasługuje na miano miasta; liczy około sześciu tysięcy mieszkańców, w połowie białych; posiada okolicę malowniczą, powietrze czyste i zdrowe, czystość wyjątkową, samorząd miejski doskonały. Miasteczko kąpie się w ciszy i, jak twierdzą, w społecznym błogostanie: niema biednych i niema wcale bogatych; niema przemysłu i niema kapitalistów; niema zatym korupcji politycznej i niema żądzy władzy; niema wcale partji; podatki są niskie i państwo nie ma długów. Godłem państwa jest drzewo pomarańczowe, z obu stron którego znajduje się lew i baranek, a napis głosi: „Wolność, imigracja, cier-

pliwość, odwaga“. Konstytucja jest prosta w 62 krótkich, dobitnych artykułach spisana i składa zarząd kraju w rękach prezydenta Rady administracyjnej i Rady ludowej (Volksraad). Prawo obywatelstwa posiadają wszyscy biali, bądź urodzeni w Oranji, bądź od trzech lat zamieszkali, bądź też od trzech lat posiadający własność ziemską wartości 150 funtów. Prezydent bywa obierany co pięć lat, zasiada bez prawa głosu w Volksraadzie, jest wobec niego odpowiedzialny i rządzi republiką. Rada administracyjna składa się oprócz prezydenta z pięciu członków, a mianowicie: z sekretarza stanu i z magistratu, których mianuje prezydent i z trzech członków, wyznaczanych przez Volksraad. Ten ostatni bywa wybierany co 4 lata, składa się z jednej izby, w której obecnie zasiada 58 deputowanych, zbiera się raz do roku i jest najwyższą władzą prawodawczą kraju. Prosta forma rządu ześrodkowuje całą władzę w rękach prawodawcy, t. j. Volksraadu. Pomimo to jednak w rzeczywistości najwięcej wpływu wywiera prezydent i, jak dotąd, wpływ ten był stale dobry (Brand 1863 — 88, Reitz 1888—96 i Stejn od 1896 r., zmarł w sierpniu 1902 r.). Do roku 1895 związek pomiędzy Transwalem a Oranją był bardziej

duchowej, rasowej natury i polegał na sympatjach wzajemnych, dopiero najście doktora Jamesona skłoniło rządy obu republik do zawarcia sojuszu zaczepno-odpornego. W dobie ostatniej, bohaterskiej walki przeciwko najazdowi angielskiemu Transwał szedł z Oranją ramię przy ramieniu.

* * *

Bez względu na warunki polityczne, jakie losy niedobre zgotowały republikom południowo-afrykańskim—dwie „kwestje“ pozostają otwarte: stosunek białej ludności do czarnej i przyszły rozwój ekonomiczny Afryki południowej.

Kilkakrotnie już w toku opowiadania naszego słyszał czytelnik, że główny ciężar pracy spoczywa w Afryce południowej na barkach ludności czarnej. Należało to już do czynników rozwojowych tego nieszczęsnego kraju, że biali go kolonizowali, nieprzyzwyczajali się jednak zupełnie do pracy fizycznej. Robotnikiem do r. 1834 był czarny—niewolnik, po tym zaś terminie pozostał nim, nominalnie tytułowany—robotnikiem wolnym. Przed 1834 r. Europejczyk nie potrzebował pracować, dziś zaś nie może i nie chce przyzwyczaić się do cięższej pracy. Rzemieślnicy, przyby-

wający dziś tu z Europy, przystosowują się w krótkim czasie do zwyczajów krajowych: stolarz, idący na robotę, każe sobie murzynowi nosić narzędzia, mularzowi podaje cegłę przy robocie czarny pomocnik. W kopalniach nawet przy zakładaniu min górnik angielski albo australijski zajęty jest tylko przy zakładaniu lontu; łożysko dynamitowe, wymagające pracy, łożbi murzyn; to samo dotyczy gospodarstwa rolnego i pasterskiego. Pasterzami, ratajami są tylko Kafrowie, biały zaś jest ich naczelnikiem. Kafrowie, jakkolwiek pod względem towarzyskim wzgardzeni, są w dużej części inteligentni i sprawni. Pewien wysoki urzędnik kolejowy, opowiadał Brycowi, że Kafrowie nadają się doskonale na maszynistów i t. d. i, że tylko przesady białych zamykają przed nimi takie stanowiska. Kafrowie, pracujący wśród białych, zarzucili zupełnie obyczaje plemienne, przyjęli wraz z chrześcijaństwem strój europejski, a wielu z nich otrzymało wykształcenie początkowe w szkołach misyjnych. Stosunek pomiędzy nimi a ludnością białą jest ohydny, wcale nie ludzki. Nawet inteligentni Anglicy, pod innym względem prawdziwi przedstawiciele cywilizacji europejskiej na dalekim południu, nie umieją zupełnie opanować nienawiści, którą w nich bu-

dzą tubylcy, a jednak uczucie to nie da się tak łatwo wytłómaczyć. Nie odpowiada ono nienawiści Amerykanów do murzynów, którzy z chwilą wyzwolenia zdobyli wszystkie prawa polityczne. Pozatym współczesne pokolenie białej ludności nie znało już wcale niewolników; nie może też być mowy o jakimkolwiek bądź współzawodnictwie handlowym. Odrzucając tedy takie i temu podobne czynniki, możemy domyślać się tylko, że wchodzi tu w grę po części wstręt fizyczny „białego“ do „czarnego“, pogarda dla ludności, która uosabia antropologicznie różny typ dawnego niewolnika, zasadnicze różnice charakteru i temperamentu, które dzielą mieszkańców południowej Afryki, a wreszcie — *last not least* — nienawiść rasowa, która zdaje się głęboko zapuściła korzenie swoje w naturze ludzkiej i stanowi przypuszczalnie żywy, a tragiczny przeżytek owych czasów, kiedy jedna rasa istnieć mogła tylko jedynie pod warunkiem zupełnego wymordowania innej. Dwie tylko sfery Europejczyków starają się stosunkowi swojemu do tubylców nadać inny charakter: po części urzędnicy angielscy, oraz duchowieństwo. Małżeństwa czarnych z białymi są niezmiernie rzadkie, a nawet dzikich małżeństw nie wiele tylko policzyć można. Stosu-

nek wzgardy przybiera niekiedy formy karykaturalne, zdarza się np. że biedny Europejczyk zostaje służącym u bogatego Kafra i wtedy stosunek ich wzajemny nie ulega żadnej zmianie. Bryce słyszał o białym robotniku, który domagał się od chlebobdawcy, aby ten tytułował go „boss“ (panie): tak zwykle przemawiają robotnicy do swoich panów. Szkoły lepsze, utrzymywane dla zamożniejszej dziatwy, są dla dzieci tubylców zamknięte. Nienawiść nie kończy się nawet u wrót kościoła, gdzie znajduje ona sobie liczny wyraz. Nigdy Europejczyk nie przyjmie do towarzystwa swojego Negra, chyba w charakterze służącego, nigdy się murzyna nie przyjmuje w domu, a tylko na werendzie. Kiedy Khama potężny naczelnik plemion murzyńskich bawił w 1895 r. w Anglii i był bardzo uprzejmie podejmowany przez wysoką arystokrację angielską, cała „Europa“ afrykańska wrzała oburzeniem. Zdarza się np. na zebraniu urządzanym przez biskupa angielskiego, że, kiedy wchodzi na salę pastor-czarny, wnet większa część gości rozbuchodzi się śpiesznie na wszystkie strony. I dziś jeszcze zdarza się na odległej kolonji, że Boer w okrutny sposób pastwi się nad służącym u niego murzynem, a gdy pociągnięty do odpowiedzialności, uwolnio-

ny przez sąd zostaje, obecna publiczność odprowadza go do domu przy dźwiękach tryumfального marsza.

Nie wolno Kafrowi posiadać ziemi, ani podróżować bez paszportu, nie wolno mu być przysięgłym. Wolno mu tylko być posłusznym i pracować.

Jak ułożą się stosunki z Kaframami w przyszłości? Bryce pod tym względem rysuje obraz przypuszczalnego rozwoju o charakterze następującym. Kafrowie pozostaną tam, gdzie są i w dalszym ciągu stanowić będą większą część ludności całego kraju. Kafrowie, dziś rozpadający się na liczne plemiona, mówiący różnemi językami — dażą za wygraną swej odrębności międzyplemiennej, z imienia chrześcijanie, zaczną najpewniej mówić po angielsku — i jako zwarta, jednolita, czarna masa, będą w dalszym ciągu równie od białej ludności dalecy, jak to dziś ma miejsce. Ilość małżeństw mieszanych nie będzie się zwiększała. Przykład Stanów Zjednoczonych, gdzie od czasów emancypacji niewolników statystyka małżeństw takich wykazuje stałe zmniejszenie, dowodzi, że i tutaj prawdopodobnie wzrostowi wolności murzynów odpowiadać będzie cofanie się raczej cywilizacji fizycznej.

Czarni będą coraz częściej i obficie otrzymywali wykształcenie w szkołach pu-

blicznych; wzory amerykańskie wskazują, że w rzemiosłach nie zdobędą oni zręczności i uzdolnienia Europejczyków i tylko w niektórych zawodach stworzyć będą zdolni rzesze współzawodników. Pewna częsteśćka odda się nauce, wytworzy grupę właścicieli ziemskich, może pewien odsetek zdobędzie większe, niż dzisiaj, prawa polityczne. Nie ulega żadnej wątpliwości, że wyjdą z ich łona przywódcy ich przysli w zakresie spraw politycznych i towarzyskich. I dzisiaj już talenty krasomówcze wśród murzynów rzucają się w oczy.

W ten sposób powoli, niezmiernie powoli, wytworzy się w Afryce zwarta, silna przeciwstawnością do otoczenia innobarwnego, masa ludności tubylczej; większość jej członków będzie zapewne biedna; cała produkcja krajowa wystarczy zaledwie na jej wyżywienie; mowa tu jest tylko o produkcji rolnej, o kopalniach bowiem w tym czasie już mowy nie będzie: będą wyczerpane. Oczywiście, że czasy to bardzo odległe; zmiany i przeobrażenia, którym podlegać będzie charakter ludności tubylczej w jaknajmniejszym stopniu zależne będą od czynników politycznych i od społecznych jakichkolwiek bądź kataklizmów. Zmiany te leżą w sferze wpływów antropologicznych, fizycznych, gdzie rządzą prawa

obojętne na wolę ludzką, gdzie mierzy się nie na lata, jeno na stulecia.

Bryce przypuszcza, że pod wpływem tych powolnych zmian w XXI stuleciu mogą zajść różnice w ustosunkowaniu wzajemnym Europejczyków i tubylców. Gdyby pierwsi poglądów swoich na rasę czarną nie zmienili, to mogłoby stać się, że cierpliwość, posłuszeństwo, serwilizm czarnych wobec pogardy i wstrętu białych znajdzie swój koniec w oporze natury ludzkiej, która wreszcie zacznie żyć w świadomości swojej nędzy. A wtedy może się z łatwością stosunek odwrócić; władza z jednych rąk przejdzie w drugie. Pod tym względem Ameryka nie jest przykładem właściwym. Tam bowiem murzyni stanowią zaledwie wąziutkie obszycie, brzeg ubarwiony odmiennie—wielkiej, białej masy; tu zaś porządek kolorów jest odwrócony: biali stanowią obwódkę zaledwie wielkiej, czarnej masy. Rozumniejsi ludzie wśród białych w Afryce południowej zdają sobie już dzisiaj doskonale sprawę z gęstej sieci antagonizmów, którą tka powoli ale nieustannie wielki pająk Czasu, a która pokryje kiedyś cały mikrokosm stosunków wzajemnych ludów, zamieszkujących południowy kraniec Afryki. Mniemają oni, że należy już dziś i krztać się koło kilku podstaw

polityki wewnętrznej: należy trzymać czarnych zdala od napojów wysokowych, stworzyć prawa agrarne i robotnicze, któreby przeszkodziły gromadzeniu się proletariatu niepracującego — po miastach, a wreszcie zakładać szkoły rzemiosł. Takich ludzi rozumnych jest jednak niezmiernie mało: natura ludzka w swej ograniczoności zdolna jest myślać sięgnąć zaledwie o lat kilkanaście naprzód. Najlepsi rodzice myślą tylko o swoich dzieciach, co zaś będzie z wnukami, prawnukami, piątym i dziesiątym pokoleniem — za słaby jest umysł ludzki i zbyt skromny, aby mógł i chciał puścić wodze fantazji i tę odległą, we mgłach ukrytą, przyszłość antycypować.

* * *

W jednym z poprzednich rozdziałów, mówiąc o klimacie Afryki południowej, zauważyliśmy, że deszcz jest tam wszyskim, ale deszczu niema, skutkiem czego nader niewielka tylko część powierzchni, nadającej się pod uprawę, dostała się pod pług. Zaledwie tysiączna część Kaplandu bywa obsiewana, a w innych częściach Afryki południowej stosunek ten jest jeszcze gorszy. Z natury rzeczy tedy wypływa myśl zaprowadzenia sztucznej irygacji i gdyby ta ostatnia dała się urzeczywistnić,

to nie ulega żadnej wątpliwości, że bogactwa naturalne kraju wzrosłyby z szaloną szybkością, warunki bowiem geologiczne nadają się tu do plantacji pszenicy, kukurydzy, owoców, trzciny cukrowej, tam— tytoniu, owdzie wreszcie — bawełny. Już dzisiaj wywóz owoców zwiększa się z rokiem każdym. Drugim źródłem bogactwa kraju jest hodowla bydła, prowadzona nad wszelki wyraz ekstenzywnie, skutkiem czego fermy hodowców zajmują niezmiernie dalekie przestrzenie, niezajdujące się w żadnym stosunku do korzyści, osiąganych ze sprzedaży przychówku. W 1893 r. liczono w Kaplandzie 2 miliony, w Natalu 725 tysięcy, w Oranji 900 tysięcy, w kraju Boczuanów—tylko jedno plemię Khamy — liczyło 800 tysięcy sztuk bydła. Owiec liczono w Kaplandzie 1896 r. około 20 milionów i 225 tysięcy strusiów. Trzecim źródłem bogactwa są minerały. Powyżej mówiliśmy obszerniej o produkcji złota i diamentów—wspomniemy tedy tutaj o żyłach węgla i żelaza, które jednak czekają jeszcze eksploatacji. Dziś nikt o tych kopalniach nie myśli: złoto ogniskuje wszystkie zabiegi, przyjdzie jednak czas i na to. W związku z ostatnim rodzajem produkcji znajduje się pytanie, czy Afryka południowa nadaje się do przemysłu fabrycznego.

W dzisiejszych warunkach jest to pytanie czysto akademickie, wszystko bowiem: tkaniny, wyroby metalowe, napoje wysokokowe i gazowe przychodzą z Europy. Pomimo tego i bez względu na odporność Boerów i na zupełny brak inicjatywy u nich w tym kierunku, można przypuścić, że i w Afryce południowej ludzie zwrócą się do budowania fabryk. Jakie i czy są warunki po temu, możliwość przemysłu w większym stylu zależy od rynków zbytu, od taniości maszyn i robotnika. Pierwsze dziś prawie że nie istnieją, spożywcami bowiem są tylko Europejczycy, a tych, jak wiadomo, niezmiernie mało. Maszyny sprowadzać trzeba z Europy i Ameryki, motory naturalne (np. siła wodna) są niezmiernie rzadkie, pozostaje tedy czynnik ostatni — praca ludzka. Robotnik wykwalifikowany jest w południowej Afryce niezmiernie drogi, bo rzadki, a nie uczony, również drogi, bo niedobry. Czarni są niezręczni, mieszańcy (t. zw. „cape—boys“) używani bywają za woźniców, pracują na liniach kolejowych, Kafrowie pracują w zakładach ciesielskich i tartakach. Złożone atoli, wymagające wytrwałości i przytomności umysłu prace, nie nadają się dla nich wcale. Pracując, najczęściej otrzymują najniższe wynagrodzenie: 10—20 szylingów miesięcz-

nie, prócz pożywienia, a jednak pracodawcy twierdzą, że robotnik europejski, otrzymujący znacznie wyższą płacę, kosztuje taniej. Biali zarabiają od 3—8 funtów tygodniowo, względnie do sprawności robotnika, co w dwójnasób przewyższa wynagrodzenie robotników angielskich, wtrójnasób — belgijskich i niemieckich, a nawet płace pobierane w Stanach Zjednoczonych. Rzecz jasna, że drożyzna robotnika nie wpływa dodatnio na rezultaty współzawodnictwa przypuszczalnego przemysłu południowo-afrykańskiego z produkcją angielską i amerykańską. Ostatecznie tedy nie ma wielkich widoków, ażeby się przemysł kiedykolwiek rozwinął, a w związku z tym ludność biała pozostanie zawsze w mniejszości. Dziś w kolonjach angielskich i w państwach Boerów liczą około trzech osób na dwie mile kwadr. ang., a stosunek ten w innych częściach kraju jest jeszcze gorszy. Afryka południowa, o ile sądzić można z tego co o niej wiemy, pozostanie zawsze stepem dzikim, na którym tu rzadziej, tam nieco gęściej rozsiane będą oazy. Biali zawsze nierównomiernie tylko rozrzuconeni będą po tych oazach. Obecnie z 730 tysięcy mieszkańców jedna czwarta zamieszkuje Witwatersrand, $\frac{1}{6}$ — miasta portowe, na wybrzeżach południowych i południo-

wo-wschodnich, pozostałe zaś $\frac{7}{12}$ rozrzucone są między wielką ilością samotnych osad i małych miasteczek. Stosunek ten pozostanie bez zmiany tak długo, póki złote pola nie zostaną zupełnie wyjałowione, wtedy biali zwrócić się będą musieli do innych źródeł pracy i zysków, przedewszystkim do rolnictwa. Rozwój zaś rolnictwa, jak widzieliśmy wyżej, zależy od tyłu i tak różnorodnych, nie zawsze dziś jasnych, czynników, że ułudną i nieprawdopodobnie ryzykowną rzeczą byłoby dla nas sięgać myślą w przyszłość tak odległą.

K O N I E C



47711